

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 3/366**

**1978**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

CHOCHOŁ: **PROGNOZY CHOCHOŁA**

**ROZMOWA ZE STEFANEM KISIELEWSKIM**

E. BETTIZA: **CARILLO I MOSKWA**

ZB. BYRSKI: **ROK CARTERA I CO DALEJ?**

B. OSADCZUK: **CO SIĘ DZIEJE W NIEMCZECH?**



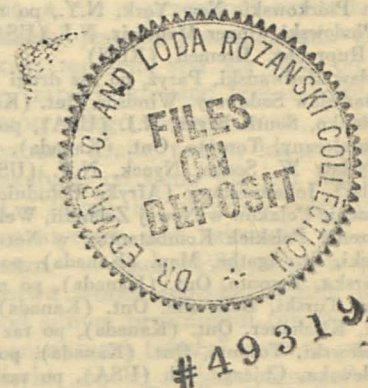
## SPIS RZECZY

Chochół:	<i>Prognozy Chochóła</i> .....	3
Redaktor „Kultury”:	<i>Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim</i> ..	14
Enzo Bettiza:	<i>Carillo i Moskwa</i> .....	23
Zdzisław Bau:	<i>„Salus” i konspiracja Klimkowskie- go (2)</i> .....	31
<b>WIERSZE</b>		
Ryszard Krynicki:	<i>Wiersze</i> .....	42
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Zbigniew Byrski:	<i>Rok Cartera i co dalej?</i> .....	47
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli i z... Warszawy</i> ..	55
<b>OBSERWATORIUM</b>		
—	<i>Listy z Kraju</i> .....	64
<b>K R A J</b>		
Z. M.:	<i>Salon i kuchnia PRL</i> .....	69
M. Borowska:	<i>Podróż do Polski</i> .....	74
M. Borowska i J. Święcicki:	<i>Wywiad z prof. Sten Johanssonem</i> ..	79
—	<i>Prasa samizdatowa w Polsce</i> .....	84
—	<i>Towarzystwo Kursów Naukowych</i> ....	86
<b>SĄSIEDZI</b>		
Bohdan Osadczuk:	<i>Co się dzieje w Niemczech?</i> .....	88
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	94
—	<i>List A. Sacharowa do „Kontinentu”</i> ..	101
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	102
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Jerzy Jankowski:	<i>Sprawa pomnika</i> .....	104
—	<i>Z działalności POSK'u</i> .....	106
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Wacław Jędrzejewicz:	<i>Tadeusz Katelbach</i> .....	109
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Józef Czapski:	<i>Konstanty Brandel 1880 - 1970</i> .....	112
—	<i>42-gi Kongres PEN-Clubu</i> .....	116
—	<i>Konkurs Związku Pisarzy na Obczyźnie</i>	117
<b>KSIĄŻKI</b>		
Włodzimierz Odojewski:	<i>Głos młodszeo pokolenia</i> .....	119
Adam Sutkowski:	<i>„Postludia” Zygmunta Mycielskiego</i>	124
Benedykt Heydenkorn:	<i>Mniejszości narodowe w W. Brytanii</i> ..	127
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Opus magnum” Jana Kowalika</i> ....	131
A. S.:	<i>O Polsce na Zachodzie</i> .....	133
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> .....	135
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	137
◆		
Zb. Drzewiecki, M. Grudziecki, K. Gruszka, A. J. Hardy- Mikucki, Kisiel, J. J. Lipski, T. Podgórski, St. Radwań- ski, J. Sramek, W. Wy- twyckij:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	145
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	156
—	<i>Sprostowanie</i> .....	156
◆		
—	<i>DOKUMENTY Krajowe</i> .....	157

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1978



INSTYTUT



LITERACKI



## WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, Calif. (USA), po raz 10-ty	F. 72,00
Andrzej Barański, Broendby Park (Dania)	F. 86,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, Ill. (USA), po raz 13-ty	F. 48,00
Anna M. Cienciąła, Lawrence, Kansas (USA), po raz drugi	F. 200,00
Czytelnik z Polski, po raz ósmy	F. 30,00
Jan Drownowski, Haga, po raz czwarty	F. 180,00
Julio de Castellacio Dzianott, Rosario (Argentyna), po raz drugi	F. 22,00
E. Frąckowiak, Leicester (Wielka Brytania)	F. 8,50
Jerzy Gintel, Caracas, po raz osiemnasty	F. 90,00
Aleksander Grzonka, Gossau (S.G.) (Szwajcaria), po raz 27-my	F. 44,00
Inż. Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 4-ty	F. 90,00
E. Kowalewski, Kelowna, B.C. (Kanada), po raz czwarty	F. 64,00
Franciszek Lachocki, Elisabeth, N.Y. (USA)	F. 23,00
L. Laskowska, Chatham, N.Y. (USA)	F. 78,10
Dr M. Lawina, Dubendorf (Szwajcaria), po raz trzeci	F. 44,00
Dr Tadeusz Lisik, Lozanna (Szwajcaria)	F. 253,00
Witold J. Łukaszewski, Huntsville, Texas (USA), po raz 10-ty	F. 48,00
R. Mossakowski, Lions Bay, B.C. (Kanada)	F. 21,00
Dr Stefan Nędzyński, Genewa (Szwajcaria), po raz siódmy	F. 230,00
Jerzy Jan Piórkowski, New York, N.Y., po raz czternasty	F. 48,00
Tomasz Płodowski, Upper Monclair, N.J. (USA), po raz dziesiąty	F. 110,00
Ryszard Ruprycht, Bremen (RFN)	F. 35,00
Dr Stanisław Radwański, Paryż, po raz drugi	F. 100,00
Zofia i Stanisław Sadowscy, Windsor, Ont. (Kanada), po raz 4-ty	F. 433,00
Michaś Sienko, South River, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 24,00
L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty	F. 100,00
Dr Władysław W. Socha, Nyack, N.Y. (USA)	F. 22,00
S. Stachelski, Johannesburg (Afryka Południowa), po raz szósty	F. 275,00
Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii, Wellington, po raz 4-ty	F. 48,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Norwegii, Oslo	F. 250,00
S. Szynalski, St. Agathe, Man. (Kanada), po raz drugi	F. 85,00
Józefa Turska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 63,60
Dr Marian Turski, Belleville, Ont. (Kanada), po raz 31-szy	F. 553,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 84,00
A. Waroczewski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 14-ty	F. 85,00
Lucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz dwunasty	F. 312,00
Janusz Zembrzusi, Angelet (Francja), po raz dwudziesty ósmy	F. 100,00
Anonimowo z S. Miami, Fla. (USA)	F. 60,00
Bezimiennie z Brisbane (Australia)	F. 28,19
Bezimiennie z Canberra (Australia), po raz trzeci	F. 85,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria), po raz piąty	F. 66,00
Bezimiennie z Finlandii	F. 39,50
Bezimiennie z Grinnel, Iowa (USA), po raz trzeci	F. 42,50
Bezimiennie z Kalifornii	F. 63,00
Bezimiennie z Latowicza (Polska)	F. 200,00
Bezimiennie z Moss (Norwegia)	F. 73,00
Bezimiennie z New Mexico (USA), po raz dziesiąty	F. 24,00
Bezimiennie z New Yorku, po raz trzeci	F. 24,00
Bezimiennie z Paryża	F. 10,00
Bezimiennie z St. Gallen (Szwajcaria), po raz drugi	F. 22,00
Bezimiennie ze Szwajcarii, po raz drugi	F. 22,00
Bezimiennie z Toronto, po raz trzeci	F. 50,00

(Ciąg dalszy na str. 160-tej)

## Prognozy Chochoła

Uwagi te są poświęcone przyszłości Polski, mierzonej latami, to znaczy — przyszłości bliskiej. Chodzi przy tym o przyszłość najbardziej prawdopodobną, a nie o przyszłość najbardziej pożądaną. Piszący te słowa daleki jest od pomniejszania wagi tych wszystkich poczynań, jakich terenem stał się kraj od czerwca 1976, gdyż poczynania te, zapoczątkowane powstaniem KOR'u, oznaczały kres trupiej niemoty całego społeczeństwa, a tym samym próby ocen politycznej sytuacji kraju, próby, idące wreszcie od Polaków w kraju zamieszkałych, co samo już jest nie byle jaką nowością w historii PRL. Mimo to naczelną przesłanką tych uwag jest całkowicie pesymistyczna, jako założenie, że — mniejsza o to, dla jakich przyczyn — władze PRL, idąc w jakichkolwiek kwestiach na ustępstwa wobec narodu, czyniły to i będą nadal to czynić jedynie pod silnym przymusem (groźby strajków, potrzeby ratowania „humanistycznej fasady” ustroju przed światem, póki dominantą polityki „obozu socjalistycznego” jest „odprężenie”, itd.) i że będą się starały każde ustępstwo unicestwić, gdy tylko wyda się im to możliwe. Inaczej mówiąc, zakładam, że gra polityczna będzie się nadal toczyła z przeciwnikiem zasadniczo nieuczciwym, skorym do kłamstwa, jako też dawania obietnic w zarodku fałszywych, a zwłaszcza — w bezwzględności swego postępowania ograniczanym wyłącznie aktualną koniunkturą polityczną. Tym samym zakładam, że żyjemy i będziemy żyć w ustroju z natury swojej NIENAPRAWIALNYM, który ani politycznych, ani ekonomicznych aspiracji narodu nie ziści.

Całościowe podobieństwo „fazy Gierkowskiej” do „fazy Gomułkowskiej” usprawiedliwia ten ponury wniosek. Schemat obu faz był taki sam: obudzenie wielkich nadziei społecznych, zryw społeczny, krótki okres „małego dobrobytu” i jego upadek, po-



łączony z gwałtownym wzrostem represyjnej polityki władz. Niewątliwe różnice tych faz nie mogą zatrzeć ich całościowego podobieństwa. Sprowadza się ono do nieziszczalności projektów, mających za cel „konsumpcyjną pacyfikację” narodu polskiego — niejako formę przekupstwa: w zamian za rezygnację z wszelkich polityczno-wolnościowych aspiracji, w zamian za posłuch i pilną pracę miał naród dostąpić znacznego wzrostu stopy życiowej. Projekt ten nie dał się urzeczywistnić.

Przyczyny, dla których projekt ten znów się nie powiódł, nie będą w niniejszych uwagach omawiane szerzej, lecz traktowane raczej jako „dopust Boży” albo — gdyby ktoś wolał — jako nieusuwalna właściwość panującego nam ustroju. Nie będziemy omawiać tych przyczyn nie dlatego, iż są nierozpoznane. Wręcz przeciwnie. Nie będziemy ich omawiać dla tego, ponieważ zostały już rozpoznane niezliczoną ilość razy w rozmaitych publikacjach, krajowych i emigracyjnych, polskich i niepolskich, tj. np. autorstwa dysydentów sowieckich, czechosłowackich, NRD'owskich itd. Wszelako wiemy już wybornie, że na wszelkie takie rozpoznania jest władza sowieckiego typu bezwzględnie głucha. Ma ona zawsze na podreędziu system przemianowań, będący zwyrodniałą pochodną teorii marksistowskiej, którym „unieważnia” wszelkie rozpoznania nazwanego rodzaju jako „wrogie głosy”, „kalumnie”, „wichrzycielstwo”, „szkalowanie socjalizmu” itd. Sto, a może tysiąc razy pisali już fachowcy i niefachowcy o samobójczym charakterze opętańczego forsowania inwestycji wielkoprzemysłowych, których front na koniec trzeba zamrozić z miliardowymi stratami społecznymi. Mimo to po Gomułce z kolei Gierek musi zamrażać taki front inwestycyjny, i różnica cała w mianownictwie, bo doradcy Gierka wymyślili na tę okoliczność hasło „manewru gospodarczego”. Oczywiście jest to manewr a nie kryzys, podobnie jak socjalistyczne kartki na cukier to nie kartki, lecz „bilety towarowe”, lecz w demaskowanie podobnie prymitywnych chwytów, zakładających że Polacy są narodem złożonym z samych kretyńców, nie będziemy się wdawali.

Pod względem zarządzania gospodarką jest władza w PRL bodajże bardziej nieudolna, niż w niektórych innych KDL'ach (Węgry, NRD). Jednakże są to różnice stopnia nieudolności, a nie różnice zasadnicze. Władze PRL nie działają, jak wolno sądzić, z intencją rozmyślnego dewastowania kraju i jego zasobów, masowego demoralizowania ludności — nie dają np. podwyżek płac pracującym z takim rozmysłem, aby te podwyżki możliwie prędko odebrać. Lecz ich „zacne intencje” — przynaj-

mniej gospodarczej natury — nic nas nie obchodzą, liczą się bowiem powszechnie widome wyniki faktycznego gospodarowania, a te są koszarne.

Prawdą jest też, iż kolejny — gierkowski — kryzys gospodarczy trafia polską ekonomikę w stadium „wielkiego rozkręcania”, w ruchu, w toku rozpoczętych prac nad dalszym uprzemysłowieniem kraju, nad masową motoryzacją obywateli, a więc rozbudową sieci dróg, całego transportu, itp., itd. Ten kryzys przychodzi, kiedy konsumpcyjne nadzieje zostały silnie rozbudzone, i uderza nas niejako na wyższym pięttrze rozwoju, niż to zaszło za Gomułki. Niestety — od tego stwierdzenia nie będzie nam lżej. Wyższe piętro rozwoju społeczeństwa nowożytnego oznacza przede wszystkim wyższą sprawność organizacyjną, wzrost złożoności procesów produkcji i dystrybucji dóbr, i dlatego fatalne skutki kryzysu muszą być tym dotkliwsze, im bardziej skomplikowany jest organizm produkcyjny społeczeństwa, w którym do kryzysu dochodzi.

Z uwagi na to w nadchodzącym czasie winniśmy się spodziewać dalszych zaburzeń w sferze produkcji i dystrybucji dóbr. Te drakońskie czy spartańskie środki, jakich ima się i będzie się imać władza, aby ratować bilans handlu zagranicznego, obciążony gigantycznym zadłużeniem ponad 10 miliardów dolarów wobec Zachodu, nie dadzą żadnych istotnych wyników jako poprawy sytuacji ekonomicznej państwa. Te wszystkie restrykcje — zwłaszcza konsumpcyjnego importu dóbr — wzmogą jedynie stan rozprzeżenia, korupcji, marnotrawstwa, przyspieszą ucieczkę społeczeństwa od waluty krajowej ku „walutom wymiennalnym”, będą wskrzeszały, jak już wskrzeszać zaczęły, struktury podaży dóbr rodem jeszcze z czasów okupacji hitlerowskiej (nielegalny ubój i handel mięsem, nielegalne obiegi towarowe, nielegalne transakcje finansowe, czyli, jednym słowem — „kwitujące podziemie gospodarcze”). Będzie tak dlatego, że wszystko, co można przyszczędzić restrykcyjną polityką importową, jest niewspółmierne z głębokością kryzysu, w który PRL dopiero wchodzi. Mając po części nadszargany, po części roztrwoniony kredyt na całym świecie, zwłaszcza na Zachodzie, przywódca PRL nie składają bynajmniej „przyjacielskich wizyt” (ostatnim czasem), w NRD czy na Węgrzech, lecz zwyczajnie jeżdżą z prośbami o jałmużnę, o kredyty, a spotyka ich odmowa, ponieważ przywódcy NRD czy WRL już to nie mogą, już to nie chcą pakować swego dorobku w interes tak niepewny, jakim jest ekonomika PRL. Zresztą kraje te, „z ZSRR na czele”, mają własne swoje kłopoty



i trudności, tyle, że nie tak jawne, masowe i gwałtowne, jak PRL.

W obliczu niezaspokojonego i nie dającego się zaspokoić rynku władze PRL przechodzą i nadal będą konsekwentnie przechodziły do działania według zasady DIVIDE ET IMPERA. Ponieważ żadnych dóbr nie starczy dla wszystkich, powstaną, bo już powstają, selektywne formy dystrybucji dóbr deficytowych, czyli dające przywileje pewnym grupom społecznym ze Służbą Bezpieczeństwa i Milicją Obywatelską na czele. Tak więc nawet w dziedzinie czysto gospodarczej nasili się obraz Polski jako państwa policyjnego, w którym policja nie będzie tylko posłusznym wykonawcą rozkazów władzy, ale zyska przywileje przede wszystkim ekonomiczne i zostanie silniej włączona do „klubu właścicieli PRL”. Już dziś pracownicy SB i MO nie muszą na nowe mieszkanie czy na auto czekać latami jak zwykli obywatele. Proces ten będzie się nasilał i będzie ogarniał coraz to dalsze sfery życia ekonomicznego. Prawdopodobnie z usługami włącznie.

Gdyby nawet przez jakiś czas nadchodzący jawny, nagi terror policyjny nie miał się masowo nasilać, to jednak będzie się nasilał „terror pośredni” jako nacisk natury ekonomicznej. Motywacją pracy miały być nadzieje konsumpcyjne Polaków i ich spełnienia (mieszkanie, auto, minimum życiowego komfortu, dostęp powszechny na uczelnie itd.) — motywacją pracy będą jednak nie takie nadzieje i ich spełnienia, lecz „czynniki negatywne”. Inaczej mówiąc — trzeba będzie pracować, aby nie zostać zwolnionym z pracy, wysługiwać się władzom dla uzyskania tego, co będzie przywilejem wyróżnionych przez nią osób albo grup. Przywileje tego typu, w ich udzielaniu grupom społecznym, wymusza na władzach PRL sytuacja: to ona powołała do życia „kielbasiane pogotowie”, „dorzucające” kielbasę czy mięso tam, gdzie powstaje groźba strajku — a ta jest poważna najpierw w wielkich zakładach produkcyjnych. Więc i inne artykuły pierwszej potrzeby mogą dostać się w obręb „puli towarowej” przeznaczonej dla „uprzywilejowanych” przy czym nieważne będzie, czy „przywilej” idzie od władzy znajdującej się pod przymusem nagłym i krótkotrwałym (jak w obliczu strajku) czy też pod naciskiem nieustającej sytuacji (jak w przypadku aparatu przemocy policyjnej, gdyż zrezygnować z uprzywilejowania tego aparatu władze nie będą mogły w najmniejszym nawet stopniu). W pewnym sensie należy więc oczekiwać takiej „symbiozy” aparatu represji

policyjnej z aparatem władztwa partyjnego w PRL, jakiego odpowiednikiem w ZSRR jest „symbioza” wojskowego dowództwa z partią komunistyczną ZSRR. Różnica partnera (tam wojsko, tu policja) idzie stąd, że ZSRR ma na widoku cele imperialne, których PRL najoczywiściej jako państwo satelickie samoistnie mieć nie może, i gdy naczelnym zadaniem władz ZSRR jest dążenie ku militarnej przewadze nad antagonistami ze świata kapitalistycznego, to naczelnym zadaniem władz PRL będzie po prostu porządne trzymanie za mordę własnego społeczeństwa. Równanie: im gorzej ekonomicznie, tym więcej policji — należyćie opłacanej, ekwipowanej i pieszczonej — będzie się więc w nadchodzących latach spełniało coraz wyraźniej i coraz bardziej jawnie. „Milicyjne pochodzenie” może doskonale zastąpić dawne plusy „pochodzenia robotniczego”. Sytuacja ta będzie jednak — należy sądzić — w znacznej mierze zakłamana przez propagandę, ponieważ oficjalnie władza od doktryny marksistowskiej, będącej jej jedyną legitymacją, odstąpić nie może, a doktryna ta dyktatury policji nad proletariatem nie przewiduje. Należy podkreślić, że ów proces uprzywilejowania aparatu nadzoru i przemocy nie będzie po prostu powrotem do stalinizmu, ponieważ jedną z naczelnych właściwości stalinizmu było „samopożeranie się” aparatu władzy oraz aparatu represji (nikt, czy to ze szczytów partyjnych, czy NKWD, nie miał żadnej rękoi przed pochłonięciem go przez następną falę masowych represji), i dla rządzących jest zachowanie tych gwarancji, które im, oraz ich poplecznikom, zapewniają egzystencjalną pewność, jedną ze spraw najważniejszych.

Formy i tryb działania aparatu represji będą zależały od głównych wytycznych polityki ZSSR, w szczególności od tego, czy odpreżenie będzie kontynuowane jako dowolny wariant kooperacji z Zachodem, czy też zostanie jako koncepcja, mająca wzmacniać „obóz postępu i pokoju”, ze wszystkim pogrzebane. W wypadku pierwszym formy, w jakich może się ujawniać terror, będą nadal „bandyckie”: więc mogą być np. reżyserowane „nieszcześliwe wypadki” osób nieprawomyślnych, potajemne napaści, szkalowanie, infiltracja środowisk, których władza się lęka i w których będzie uprawiać politykę rozbijacką, prowokacja, itp. W wypadku drugim terror może stać się daleko bardziej jawny, a osłaniający go listek figowy propagandy ideologicznej stanie się czymś zaiste szczałkowym.



W obrębie samej produkcji najszerzej pojmowanej również dojdzie do narzuconych zróżnicowań. Starania o zachowanie najwyższej jakości produkcji będą się koncentrowały na przemysłach wytwarzających dobra eksportowe, i tam głównie kierowane będą konieczne tj. nieodzowne dobra importowane (licencje, surowce, produkty). Rynek wewnętrzny będzie tracił na wadze i znaczeniu, będzie na nim coraz więcej lichoty i namiastki. Wszystkie kroki inwestycyjne „zbędne” zostaną zaniechane, a do takich będą należały np. ratowanie i ochrona życiowego środowiska, wymagające działań kosztownych, które regularnego zysku finansowego państwu rychło nie przynoszą; władza będzie się również dyskretnie wycofywała z zapowiadanych przedsięwzięć, które miały dobitnie zwiększać dobrobyt (np. rozbudowa zaplecza motoryzacyjnego, służby zdrowia etc.). Jednym słowem wprowadzane oszczędności będą najmocniej odczuwane przez wszystkich nieuprzywilejowanych obywateli PRL.

Pogorszenie się sytuacji ekologicznej (już teraz w licznych regionach kraju zatrucie środowiska przekroczyło wszelkie normy i standardy) wraz z nasilającym się niedoinwestowaniem służby zdrowia (obciążenie importu leków, urzędzeń medycznych itd.) poczyni pod koniec lat osiemdziesiątych coraz wyraźniej wpływać na stan zdrowia ludności i spowoduje skrócenie przeciętnej życia, lecz nasilanie się kłamstwa w publikowanych statystykach wszelkiego rodzaju, może zjawiska takie przez długi czas wcale skutecznie maskować i będą na ów temat krążyć tylko niesprawdzone pogłoski.

Trend powyższy jako zespół „pogorszeń” nie może ostatecznie nie odbić się również na wyjątkowo pielęgnowanych działach przemysłu pracującego na eksport. Nie wystarczy zachowywać osiągniętej jakości produkcji, innowacja jest na skalę światową procesem nieustającym, a wartość konkurencyjna artykułów eksportowych będzie się zmniejszać w miarę jak będą one przetwarzane w naszym kraju; stąd powstanie nacisk, aby Polska pozostała eksporterem energii, surowców oraz półsurowców. Władze z tym naciskiem będą naturalnie walczyły, ale swoboda ich „manewru” w tej dziedzinie będzie ograniczona sytuacją na rynkach światowych. Należy uznać za możliwą „rozpaczliwą wyprzedzą PRL”, czyli poszukiwanie rynków zbytu zastępczych dla artykułów niskiej jakości, „porywanych” z rynku wewnętrznego; może to powodować zaskakujące luki w podaży wszelkich dóbr. Nigdy akcje takie nie będą zapowiadane i prawdopodobnie nie będą

nawet usprawiedliwiane prawdą czy kłamstwem w masowych środkach przekazu.

Spadek motywacji w pracy zawodowej też będzie pogarszał ogólną sytuację społeczeństwa. Zjawiska alkoholizmu, marnotrawstwa, „chomikowania”, płynności siły roboczej, korupcji, fikcyjnego wykonywania ogólnie narzuconych planów produkcyjnych, lichoty wszelkiego produktu, nieuczciwości producenta względem zwykłego nabywcy dóbr i usług, będą się nasilały. Może to prowadzić do dalszej restytucji i do dalszego umocnienia się działań nielegalnych, które będą żywo przypominać praktyki okupacyjne. Zadne intencje władzy w zakresie odnowy rzemiosła na przykład będą narażone tak bardzo na swank (nie będzie bowiem środków materialnych dla tegoż rzemiosła), że można oczekiwać powolnej agonii.

Możliwe jest podejmowanie krótkotrwałych nieprzemysłanych dobrze ekonomicznych eksperymentów, a też manipulowanie przez władzę ustawodawstwem w zakresie podatkowym oraz finansowym (sprawa walut obcych!), które będą raczej niepokoiły społeczeństwo, aniżeli budziły nadzieje poprawy stanu gospodarki. Jeśli to w ogóle jeszcze możliwe, dojdzie do dalszego wzrostu niewiary w każde publicznie przez władzę głoszone słowo.

Zawsze w ustroju tym pomiatana kultura osiągnie wreszcie swoje dno niżu. Przez kulturę rozumiem tutaj całość oświaty podstawowej i wyższej, produkcję książek i czasopism wszelkiego rodzaju, filmy, oraz wszelką inną produkcję artystyczną. Naiwna, być może w znacznej wierze głoszona przez licznych partyjnych działaczy kultury koncepcja sprzed kilku lat, podług której lata 80-te miały być latami rozkwitu kultury i skupienia na niej największej uwagi (jako że sprawa zaspokajania potrzeb materialnych społeczeństwa miała przestać być wtedy naczelnym palącym zagadnieniem) spełni się dokładnie na opak. Waga spraw oświaty i kultury będzie coraz mniejsza w oczach władzy. Już obecnie fikcyjność nauki polskiej, to jest lichota wszystkich omalże jej kadr poczynając od Polskiej Akademii Nauk, a kończąc na Naczelnej Organizacji Technicznej, jest dla każdego obznajmionego z sytuacją nauki w świecie najzupełniej oczywista. Zjawisko pozornych odkryć, pozornych sukcesów naukowych i technicznych, pozornych usprawnień, wynalazków, etc., będzie dominowało.



Dla naukowców z prawdziwego zdarzenia będzie coraz mniej pola do działania w PRL. Także propaganda zastępująca oświatę w szkołach podstawowych i średnich będzie się prymitywizowała i zarazem nasilała. Przymus uczestnictwa w tej szkole kłamstwa będzie powszechny i trwały. System ustrojowy bowiem, w jakim przyszło nam żyć, reaguje irracjonalnie, poniekąd „magicznie” na wszelkie własne zapaści czynnościowe, gospodarcze, społeczne i polityczne. Być może, władcy PRL będą wciąż jeździli do różnych królów i różnych królowi w PRL przyjmowali, albowiem każdy chwyt jest dla nich dobry, jeśli zdaje się jakoś przysparzać im autorytetu i powagi. Będzie zatem znacznie więcej niż dotąd złych książek, filmów, podręczników, przedstawień teatralnych, i ostatki autentyczności będą tylko trwały w rezerwatach sportu i rozrywki masowej typu cyrkowego; rozrywka taka nie przypadkowo jest faworyzowana w ZSRR, jako iż kulminuje w bezmyślności.

Demoralizacja środowisk dziennikarskich i zbliżonych (umasowienie kultury) będzie postępowała. Ponieważ nikt nie będzie nic robił tutaj z przekonania o wartości sprawy, posunie się dalej sprostytuowanie takich środowisk, przy czym wyraźne będzie jednoczesne zjawisko ich „pauperyzacji”. Władza będzie udzielała im zaiste mikroskopijnych już przywilejów, wiedząc, że środowiska te i t a k są zdane na pilne kolaborowanie z nią, jako że nie mają żadnego innego wyjścia. Działanie cenzury, obliczone na dziś i tylko na dziś, bez pamięci o wczoraj i bez antycypowanego jutra, będzie się dalej wznosiło, prowadząc do wzrostu nonsensowności w tej dziedzinie.

Osobno trzeba rozważyć los tej enklawy w kulturze narodowej, jaką tworzy działalność typu „podziemnego” (nielegalne kółka oświatowe, dyskusyjne, publikacje typu SAMIZDAT, jednorazowe bądź periodyczne, manifesty i programy polityczne, sprawozdania, nielegalne występy artystyczne itd.). Prawdopodobnie nastąpi prędzej czy później „kontratak” władzy na tę nowopowstałą sferę aktywności społecznej, być może zapoczątkowany jakąś prowokacją, czy fałszerstwem, które by miały na celu wewnętrzne skłócenie tej działalności w jej źródłach. Władza nie będzie mogła tolerować przez czas dłuższy takich niezależnych od niej źródeł informacji gdyby nawet (co skądinąd wątpliwe) chciała. Rzecz w tym, że typ dziennikarza, publicysty bądź teoretyka, będącego „zimnym szubrawcem”, niewrażliwego na wszelką w ogóle rzeczową kontrargumentację, w 100 % cynicznego, jeszcze się u nas nie rozpowszechnił „należycie”. Sytuacja więc,

w której każde łgarstwo propagandowe może być niezwłocznie wytknięte, zdemaskowane i przygwożdżone, jest ogromną niewygodą dla reżymowych pracowników pióra, mikrofonu bądź ekranu TV. A więc i takie czysto praktyczne względy będą ponaglały władzę do „kontrataku”. Panująca na razie względna bierność organów SB i MO w tej domenie tłumaczy się nie ich liberalną wyrozumiałością, lecz jest zabiegiem taktycznym, przejętym od analogicznych organów ZSRR (zresztą o pięknej, bo od ochrony idącej tradycji). Zezwalając na proliferację nielegalnych pism, wydawnictw itp., władza sprzyja zarazem ich ujawnianiu się, ponieważ produkcja i kolportaż takich tekstów, jak i organizacja nielegalnych zebrań czy spotkań, odbywają się z tym mniejszym nakładem wysiłków zabezpieczających ich tajność, im bardziej organy ścigania praktyki owe tolerują. Zarazem stan taki ułatwia infiltrację źródeł owych poczynań — poprzez werbunek donosicieli i wprowadzanie tam prowokatorów. W każdym razie ta jakby rozejmowa cisza panująca w tej dziedzinie nic dobrego, moim zdaniem, nie wróży. Może być nareszcie i tak, jak w ZSRR, że likwidacja owej działalności będzie uzależniona od jej rzeczywistej „szkodliwości” — z punktu widzenia władzy oczywiście. Każdy głos, zabarwiony nutką autorytarną, nacjonalistyczną, czy aż skłonnością do totalitaryzmu, jest oku władzy miłszy, niż głosy „heretyków” i „kacerzy”, pragnących napraw Rzeczypospolitej w duchu demokracji, albo, uchowaj Boże, wręcz socjalizmu.

Wszystko dotąd powiedziane sugeruje zatem, że Polska będzie się wewnętrznie upodabniać do ZSRR. Wbrew pozorom i wbrew prymitywnej wersji kapitalizmu, jaki lansuje propaganda obszaru sowieckiego, nowożytnie państwa kapitalistyczne są demokracjami t a k ż e i przez to, że w nich nic oprócz stanu posiadania ludzi nie różnicuje. Natomiast w ustroju typu sowieckiego pieniądź gra rolę podrzędną względem warstwy, grupy, klasy, kasty, do której jednostka należy; można być, podług zasług lub grzeszków, zaliczonym do takiej bądź innej kategorii uprzywilejowanych albo prześladowanych; skoro dla nabycia dóbr (np. auta) nie wystarczą pieniądze, lecz potrzebne są nadto protekcje, przydziały etc., stwarza to bogate możliwości „feudalizowania” całej społecznej struktury. Nadto pojawiają się zróżnicowania społecznego statutu, w obrębie uprzywilejowanych, zależnie od tego, czy dany fach jest na łaskę władcy zdany bez reszty (jak dziennikarstwo), czy też jest on tej władzy m o z n y m, bo częściowo suwerennym względem niej poplecznikiem, czy nawet jej „zbrojnym ramieniem” jak SB i MO. Twórcy i działacze kultury spadają w społecznej hie-



rarchii gdyż ich rola w procesach produkcji (eksport!) jest znikoma, lub żadna zgoła. To samo dotyczy służby zdrowia, choć ta sprzyja reprodukcji siły roboczej. W modelu sowieckim jednak ten, kto jakoś w sprawowaniu politycznej władzy nie partycypuje, do obywateli pierwszej klasy nie może należeć, chyba jako sezonowa marionetka (w rodzaju jakiegoś Stachanowa bądź superdojarki). Ideałem dla tego rodzaju władzy jest sytuacja, w której od postanowienia władzy zależy cała wartość danego człowieka czy grupy ludzi: kiedy poetą, dyrektorem, ministrem, członkiem KC, filozofem, wynalazcą, geniuszem bądź zdrajcą zostaje się z mianowania, i tyle tej funkcji, ile trwałości tego mianowania. Ten, z kogo partia zdejmuje namaszczone ręce, powinien szczeniść, jakby go nigdy nie było. Dlatego taką niewygodą są ludzie, posiadający pozapartyjne, pozapaństwowe, „zagraniczne” żyra swej wartości (zawodowej, ludzkiej, kapłańskiej, czy jeszcze jakiejś innej). Z tą fatalnością władza musi się jednak chęć nie chęć liczyć, póki trwa „odprężenie”. Ale też wszelka od niej niezależna wartość jednostki była i jest solą w jej oku. Oczywiście w tym postępowaniu przejawia się skrajny, irracjonalny antypragmatyzm sowieckiego modelu władzy.

Oportuniści, arrywiści i inni po trupach idący szmatławcy, którzy przy sprzyjającej koniunkturze (marzec 1968) zajmują miejsca autentycznych organizatorów, lekarzy, uczonych, pisarzy, konstruktorów, rugując autentycznych fachowców, z największą szkodą gospodarki narodowej, życia ludzkiego, zdrowia, jakości i imienia nauki polskiej, sztuki i tak dalej. Lecz tak przejawiający się klucz sławetnej „selekcji negatywnej” jest właśnie plagą ustroju; nie może on sprawić cudu i miłych sobie, „totalnie dyspozycyjnych” kanalii, w zamian za ich oportunistyczną skwapliwość służenia, uczynić użytecznie uzdolnionymi specjalistami. Dogłębne zakłamanie władzy sowieckiego typu ujawnia się właśnie w tym, iż wie ona o postępującym stanie porażenia wszelkich takich miejsc społecznego organizmu, w których wysokie kwalifikacje są wprost nieodzowne dla sprawnego funkcjonowania całości: władcy, kiedy sami zapadają na zdrowiu, nie wzywają lekarzy, ozdobionych dyplomami za partyjną wysługę, lecz sprowadzają sobie prawdziwych profesorów medycyny — najchętniej jeszcze z kapitalistycznej zagranicy. Zjawisko to jest dla rozpoznania istoty sowieckiego modelu nad wszelki wyraz doniosłe, bo obala przypuszczenie jakoby władza, stosując zasadę negatywnej selekcji, sama nie zdawała sobie sprawy z tego, co czyni. Ona o tym doskonale wie, przynajmniej na „wysokich szczeblach”. Postępuje tak właśnie, ponieważ woli uzależnić od siebie ludzi sposobem totalnym, i tym samym panować nad nimi bez ograniczeń aniżeli ponosić ryzyko tworzenia grup zawodowych, które

mogą znaleźć oparcie poza kręgiem działania tej władzy. Tylko „autentyczny profesor” podpisze list protestujący przeciw nadużyciom władzy — profesor z nadania, które jest tym samym, czym był w feudalizmie nadany tytuł wraz z lennem, zachować się w tak buntowniczy sposób nigdy nie będzie w stanie. A więc to, co z punktu widzenia ogólnonarodowego interesu jest irracjonalizmem władzy, działaniem na społeczną szkodę, z punktu widzenia samej owej władzy jest jej korzyścią polityczną.



Sytuacja Kościoła w Polsce w latach nadchodzących nie daje się obecnie przewidzieć. Zależy w daleko większym stopniu od linii politycznej ZSRR, aniżeli od jakichkolwiek postanowień, zmian czy stałości w obrębie rządzącej Polską ekipy biurokratów. Można przypuszczać, że dopóki „duch Helsinek” będzie choć trochę zipał, katastrofa Kościołowi w Polsce nie będzie zagrażała, jakkolwiek jego bytowanie nie będzie lekkie.

Jasne natomiast wydaje się, że wewnętrznemu upodobnieniu się struktury społecznej PRL do ZSRR będzie towarzyszył wzrost uzależnienia Polski od Rosji. Polska wewnętrznie słaba, ale porządnie od wewnątrz spacyfikowana, jest idealnym dla Kremła stanem rzeczy, gdyż Kreml polskich nieobliczalnych postępów zawsze się obawiał. Zwłaszcza frakcyjne skłócenie wewnątrz PZPR jest z pozycji Kremła dość mile widziane, byle żadna z frakcji nie miała nad wszystkimi innymi szans zwycięstwa, zapowiadającego jakąś stabilizację polityczno-społeczną, przez naród a p r o b o w a n ą. To wszystko, co rozmaici publicyści antykomunistyczni powiadali nieraz o stosunkach ZSRR-PRL, w szczególności suponując, że Rosja życzy sobie mieć w Polsce silnego sojusznika, jest według mej opinii zupełnym nieporozumieniem. Rosja nie życzy sobie tylko, by ją „awantury Polaków” miały kosztować; nie chce nieść Polsce ani pomocy ekonomicznej, ani politycznej — na czołgach. Jednakże i tego ostatniego koszmaru nie da się wykluczyć na przyszłość. W szczególności uważam za możliwe jakieś PROWOKACJE, podejmowane w toku walk frakcyjnych wewnątrz PZPR, które miałyby skompromitować obecnie rządzących, poprzez wzniecenie akcji terrorystycznego typu, skierowanych przeciw PRL... A nie da się takich aktów wykluczyć, gdyż chodzi o ludzi, którym każdy, i krwawy sposób może być dobry jako atut w walce o władzę, czyli o posadę wiernego ZSRR dozorczy Polaków.

CHOCHOŁ



## Rozmowa ze Stefanem Kisielewskim

*Redaktor Kultury:* — Korzystając, że jest Pan znów w Paryżu chciałbym zadać Panu kilka pytań na temat sytuacji politycznej w Polsce.

*Stefan Kisielewski:* — To zabawne, bo akurat przeglądałem sobie numer *Kultury* z roku 1957 (Nr 116), gdzie jest tak samo rozmowa ze mną. Byłem wtedy świeżo posłem „Znaku”, po Październiku 56 nurtowały nas różne nadzieje (Pańa też, he, he!). Ale wie Pan co? Choć minęło prawie 21 lat, mój ówczesny wywiad wydaje mi się zupełnie aktualny. Co najwyżej cyfrę 3 miliardy dolarów kredytu, którą wtedy dla Polski proponowałem, trzeba zmienić na 14 miliardów, jakie podobno wynosi dzisiaj polskie zadłużenie. Mówię „podobno”, bo cyfr takich nasza prasa nigdy nie podała — to nie są widać wiadomości dla „plebsu”. Po tylu latach i tylu różnych inflacjach między cyfrą 3 a 14 miliardów nie ma znów takiej różnicy jakościowej. Prawda?

*Kultura:* — Z tym, że ani 3 miliardy wówczas ani 14 miliardów teraz wiele w polskiej sytuacji gospodarczej nie pomogą...

*S.K.:* — Zgadza się, Polska niby rośnie, a poziom życia nie bardzo, tyle, że zatrudnia się miliony ludzi. Wszystko pożerają nierentowne, częstokroć olbrzymie a zawsze nieprzemysłane inwestycje i nieproporcjonalne koszty maszyny państwowej. Upadek rolnictwa, kryzys mieszkaniowy i ogólny bałagan dopełniają obrazu. Rzeczywiście wątpię, abyśmy się z tego mogli szybko podnieść i nie pomoże tu nic seria przeróżnych, nerwowych zarządzeń, które nie zastąpią przecież autentycznej, gospodarczej żywotności oraz ekonomicznej kalkulacji. Na rynku jest masa

złotówek, towaru brak, a dewizy przepadły w inwestycyjnym tyglu. Toć nawet dziecko potrafi wyciągnąć z tego wnioski!

*Kultura:* — A czy nie sądzi Pan, że niektóre wielkie inwestycje, jak np. huta „Katowice” robione są pod kątem „sojuszniczych” zbrojeń?

*S.K.:* — Bardzo Pana przepraszam, ale na to pytanie nie odpowiem. Po pierwsze, bo mi skóra miła i nie jestem już nietykalny, po drugie, bo naprawdę nie wiem. O kalkulacjach huty „Katowice” nikt w Polsce nic pewnego nie wie, a pisać o tym nie wolno, cenzura wszystko zżąbie. Więc...

*Kultura:* — Dobrze, wróćmy zatem do sytuacji politycznej. Czy zgodzi się Pan, że właśnie zmiany polityczne i psychologiczne, liberalizacja, ruchy opozycyjne i wymuszone czy dobrowolne reformy ustroju mogłyby przyczynić się do uzdrowienia sytuacji?

*S.K.:* — Oczywiście, tylko jakieś widoczne zmiany polityczne mogłyby zbudzić i ożywić zubożnięte, zmęczone i zdemoralizowane (nie czarujmy się!) społeczeństwo. Ale takich zmian nikt nie wymusi, ani nikt nie wprowadzi. Tego ustroju nie da się już poprawić, za bardzo zastętył w swej biurokratyczno-partyjnej rutynie. Proszę zauważyć, że chcąc nie chcąc podtrzymuje go i utrwała 2.700.000 członków i kandydatów Partii — proszę to policzyć wraz z rodzinami: ci ludzie tak czy owak stanowią podporę systemu, to nie są sami Wallenrodzi, innego życia sobie nie wyobrażają. A że żadną siłą ustroju obalić się nie da, więc...

*Kultura:* — Skąd te apodyktyczne stwierdzenia, skąd ten skrajny pesymizm?

*S.K.:* — A właśnie. Jestem skrajnym pesymistą, ostrzegam Pana, że nie należy się do mnie zbliżać bo zarazę. Niedawno w *Narodowcu* jakiś pan Borowicz, z racji mego felietonu w *Kulturze* „Moje proroctwo” (fałszując zresztą i przekręcając mój tekst nie gorzej, niż to robią w Warszawie, a także nie podając miejsca jego druku) opłuł mnie co się zowie, twierdząc, że muszę być czymś agentem, bo szerząc tezy pesymistyczne podgryzam ducha wiary i oporu, działam destrukcyjnie. Słowem zarówno w kraju jak i na emigracji hołduje się pogładowi, że jeśli termometr wskazuje gorączkę to należy go stłuc, najlepiej jeszcze przed obejrzeniem. Wobec tego...

*Kultura:* — Nie musi Pan przecież tak strasznie przejmować się panem Borowiczem i jego pisaniami...



S.K.: — Oczywiście, wiem — to taka emigracyjna schizofrenia. Nie mniej ostrzegam Pana przed moim pesymizmem!

*Kultura:* — *Ale jakież są jego źródła? A może to jakaś poza czy psychiczne asekurantwo?*

S.K.: — Proszę Pana, źródła mojego pesymizmu są, najogólniej biorąc, banalnie historyczne. Powiem parę truizmów. W czasie Drugiej Wojny Światowej (słyszał Pan o niej, prawda?) kraje Zachodu, Anglia, Francja, Ameryka etc., nie chcąc i nie mogąc nadmiernie się wykrwawić w walce z Hitlerem, z wdzięcznością przyjęły rosyjską (wymuszoną zresztą) ofiarę krwi. Za ofiarę tę zapłacono Rosji Wschodnią Europą — naszymi krajami. Zrobiono to zresztą bez specjalnego żalu: nasze kraje nigdy (od dawna?) nie były na Zachodzie znane ani cenione, w każdym razie co najmniej od Kongresu Wiedeńskiego bardzo lubiano je poświęcać. Transakcji, przeprowadzonej z Rosją po Drugiej Wojnie nigdy nie odwołano, mimo przejściowych dąsów w okresie tzw. „zimnej wojny”. A teraz? Do Warszawy przyjeżdżają wciąż z całego świata prezydenci, kanclerze, ba, królowie i cesarze i zaklinają się, że marzą tylko o tym, aby wszystko u nas zostało tak jak jest, aby „porządek panował w Warszawie”. Po czym wycalowują się z dubeltówki z kim się da, popłaczą pod pomnikiem Bohaterów Warszawy, zostawią nam (to znaczy naszemu rządowi) pieniądze — o czym zresztą prasa nie donosi — i zadowoleni wyjeżdżają. Tacy na przykład Amerykanie zachwyceni są w gruncie rzeczy, że Rosja pilnuje porządku na wschodzie Europy: cóżby to był za kłopot, gdyby w naszych krajach zaczęły się fermenty! A koncepcja dzisiejszej Polski, jej granic i systemu politycznego wymyślona została przez Stalina. Cóż dziwnego, że pilnują jej komuniści i któż ma się starać o zmianę tego stanu rzeczy?! Dzięki nam, na naszych karkach utrzymuje się w Europie pokój, a to dla zachodnich sybarytów jest najważniejsze.

*Kultura:* — *Wybaczy Pan, ale zapędził się Pan wręcz nieprzytomnie. To są nonsensy i właśnie całkowicie a-historyczne. Nikt nie liczy na zewnętrzną interwencję, jak liczone na pomoc francuską w roku 1863. Prawdziwa dynamika historii zawiera się wewnątrz systemu i wewnątrz narodów. Muszą nastąpić polityczne zmiany w samej Rosji, to narasta i tylko ślepiec może tego nie widzieć. A w Polsce? Choćby ostatnie wydarzenia z roku 1976, Radom i Ursus pokazały że...*

S.K.: — Proszę Pana ja o wewnętrznych sprawach w Związku Radzieckim niczego prawie nie wiem, to są dla mnie gruszki na wierzbie. W ogóle mało kto u nas coś o tym wie (leżymy niby

w Bloku Wschodnim, a odcięci jesteśmy od Rosji jeszcze bardziej niż przed wojną — tak w totalizmie bywa). Nie lubię mówić o czymś, czego nie znam. Jeśli natomiast chodzi o Ursus i Radom to wydarzenia te udowodniły moim zdaniem coś przeciwnego, niż Pan zapewne sądzi.

*Kultura:* — *Mianowicie?*

S.K.: — Moim zdaniem były to pierwsze w Polsce Ludowej rozruchy robotnicze, które nie przyniosły żadnych zasadniczych rezultatów, żadnych zmian polityczno-strukturalnych. Proszę sobie przypomnieć: rok 1956 zatrzęsł Polską i przyniósł zmiany, z których do dziś korzystamy (rolnictwo, Kościół, zreformowanie działalności Bezpieczeństwa etc.). Rok 1970 w parę dni zmiotł władzę Gomułki i towarzyszy. A rok 1976 w polityce nie dał nic. Wie Pan dlaczego?

*Kultura:* — *No, ciekaw jestem.*

S.K.: — Bo nie było w Partii nikogo takiego, kto by rzecz podchwycił. Rok 1956 był w ogóle w dużym stopniu dziełem pewnej grupy partyjnej, która chcąc się ratować, z góry „wyszła naprzeciw”, łagodząc cenzurę, powstrzymując policję i wiele rzeczy wręcz inspirując. W roku 1970 istniały w Partii co najmniej dwie grupy niezadowolonych i czekających na przejście władzy, którym rzecz cała była na rękę: moczarowcy i gierkowcy. Tymczasem dzisiaj opozycja w Partii została zniwelowana, jakiejś bardziej popularnej alternatywy nie ma, przyszli do aparatu nowi ludzie (po to była m.in. zmiana struktury administracyjnej kraju), którzy cieszą się ze swojej władzy i nie chcą niczym ryzykować. Oto i źródła fiaska roku 1976.

*Kultura:* — *To już jakaś „spiskowa teoria” polityki doprowadzona do absurdu. Czyż zupełnie Pan nie wierzy w społeczeństwo, czyż nie ma sił dynamicznych poza Partią? A przecież z zajęć robotniczych 1976 roku zrodził się i KOR, i ROBCiO, i PPN, wielki ferment młodzieżowy, rzadkie w Polsce przymierze między robotnikami a inteligencją twórczą. Czyż to jest nic?*

S.K.: — A właśnie. Wiedziałem, że do tego dojdzie. Żeby nie było nieporozumień: fermentem wśród młodzieży i inteligencji twórczej się zachwycam, to jest naprawdę coś, co wśród obłądnej powodzi zalewającej nas od góry „drętwej mowy” z jednej strony, a wśród płytkiego, egoistycznego pragmatyzmu wielu grup społecznych z drugiej, pozwala mi odzyskać nieco wiary w człowieka i chęci do życia, pozwala otrząsnąć się na chwilę z absurdu. Ale patrzmyż na to we właściwych proporcjach. W numerze



11-tym *Kultury* (1977) w rubryce „Kraj” przeczytałem takie zdania: „Rok 1976 jest datą przełomową w historii Polski powojennej. W kraju powstała opozycja, która po raz pierwszy nie okazała się efemerydą, jak to np. było z *Po prostu*”. Otóż uważam to stwierdzenie za wierutne głupstwo. *Po prostu* w okresie swego rozkwitu miało wielki nakład, moźnych protektorów w partii i tłumy wiernych czytelników w społeczeństwie, jego rewelacje przeorywały opinię, wpływały na władzę, jego „poprawki historyczne” dotyczące wojny i okresu stalinowskiego funkcjonują w kraju po dziś dzień. Natomiast dzisiejsza „Korowska” czy „Robciowa”, ewentualnie „PPN-owska” opozycja to grupy elitarne i oderwane, nie dysponujące poza radiem „Wolna Europa” żadnymi masowymi środkami przekazu do społeczeństwa, a i to „dysponowanie” dosyć jest wątpliwe. Powielaczowe pisemka to rzecz wzruszająca i cenna, ale nie przełamanie ona inercji społeczeństwa, któremu po roku 1970 zastrzyknięto bakcyła bezideowego pragmatyzmu i które, wystając w kolejkach czy tłocząc się w autobusie, marzy tylko o zaopatrzonym rynku, o własnym mieszkaniu czy ewentualnie o samochodzie, a więc o doraźnym awansie społecznym nie zaś o „wolności słowa” lub „prawach człowieka”, bo społeczeństwo wychowane w totalizmie nie kojarzy już tych rzeczy ze sobą i hasło z marca 1968 „Nie ma chleba bez wolności!” to dla nich czysta abstrakcja. Pisma takie jak *Zapis* czy np. lubelskie *Spotkania* uważam za niezwykle cenne, lecz ich oddziaływanie społeczne jest jak na razie prawie żadne i to nie tylko ze względów technicznych lecz również psychologicznych. Bariery psychiczne bywają absurdalnie nieprzekraczalne, proszę nie zapominać, że żyjemy przecież nad Wisłą, w świecie Orwell’a i to realnie, na co dzień.

*Kultura*: — *Zatem Pan nie przypisuje dzisiejszej opozycji żadnych możliwości działania politycznego? A jeśli w Polsce nastąpi żywiołowy wybuch oddolnego niezadowolenia z powodów, jak Pan mówi, pragmatycznych, czyli upraszczając rzecz „o kiełbasę”? Czy wtedy opozycja młodzieżowo-inteligencka też, Pana zdaniem, nie odegra żadnej roli? I w ogóle jak się zachowa?*

S.K.: — Trudno jest mówić za młodzież, do której jak Panu wiadomo nie należę. Jeśli zaś chodzi o prorocтва, to myślę, że awantur robotniczych o kiełbasę już nie będzie, bo Radom i Ursus pokazały, że od rozruchów kiełbasy nie przybywa (z pustego ani Salomon ani Gierek — mimo różnicy rasy — nie należy). Co zaś do naszej opozycji, np. KOR-owskiej, to ma ona pewną specyfikę, która czyni ją w Polsce Ludowej nieco egzotyczną. Oto ważną jej komórkę stanowi około stu ludzi, pozbawionych w PRL dożywnotnio prawa do pracy. Tych stu ludzi to literaci, którzy

chcieliby pisać o Polsce współczesnej czyli o komunizmie, sam zresztą do nich należę. Tych stu ludzi ma działalność skutecznie zablokowaną przez Wielką Trójkę złożoną z pp. Jerzego Łukasze-wicza, Macieja Szczepańskiego i Janusza Wilhelmięgo. Rozumiem gniew i gorycz tych stu literatów, ale przyzna Pan jednak, że z literatami polityki się nie robi.

*Kultura*: — *Więc z Panem też nie!*

S.K.: — Oczywiście, że nie, dawno zrezygnowałem. Tyle, że sobie trochę pogadam i popiszę. Dla własnej osobistej satysfakcji. Sacharow powiedział kiedyś amerykańskiemu dziennikarzowi, że nie wierzy w społeczny skutek swoich działań, a to co robi, robi dla własnej moralnej satysfakcji. No właśnie.

*Kultura*: — *Ale wróćmy do spraw ogólnych. Jeśli jednak ów, nie przewidywany przez Pana oddolny bunt „kiełbasiany” wybuchnie, jak się wówczas zachowa inteligencka opozycja?*

S.K.: — Oczywiście spróbuje się włączyć — tak jak to było z KOR-em w roku 1976. Myślę też, że nie jeden z „leaderów” owej opozycji na taką okazję pilnie czeka. Jak napisał kiedyś mój przyjaciel Andrzej Micewski, polityka jest to długie czekanie na okazję bez gwarancji doczekania się. Wszyscy zresztą na coś czekamy — inaczej życie byłoby niemożliwe. Gdy rządzący Rosją starsi panowie powymierają, to na pewno coś się zmieni — nie wiadomo tylko w jakim kierunku (odpukać!). Jedno jest pewne: działalność młodzieży i twórców w postaci wydawania pism, biuletynów, nawet książek, organizowania prywatnych kursów i wykładów, komitety uczelniane etc., to działalność znakomita, wychowuje ona grupę inteligentów żywych, wyłamujących się z panującego orwellizmu, chcących myśleć samodzielnie, świadomych zakłamania historii, polityki, literatury, jakie u nas panuje. Podziwiam tych młodych ludzi, ratują nasz honor i naszą duszę, a ileż odwagi i samozaparć potrzeba, aby ryzykować całą swą „karię”, aby wyrzec się normalnego życia i zdecydować się żyć na marginesie, w dodatku niebezpiecznym, boć władze nie wyrzekną się represji, chociaż chwilowo, dla celów taktyki międzynarodowej, się wycofały. Ale w polityce, w realnym wpływniu na sytuację kraju, te grupy — na razie przynajmniej — roli nie odgrywają. Zaś charakterystyczną dominantą sytuacji kraju w ostatnich latach jest odwrót od resztek demokracji: połączenie i unifikowanie organizacji młodzieżowych, reforma szkolnictwa i programów nauczania, zaostrenie cenzury do granic absurdu, likwidacja szczątków autonomii wyższych uczelni, no i wielkie



inwestycje, uzależniające nas gospodarczo całkowicie od Rosji, to chyba dosyć...

*Kultura:* — Ale w tym czarnym obrazie, który Pan tutaj z takim smakiem maluje, jest przecież i coś odmiennego, a zgoła potężnego: Kościół katolicki. Pan jako publicysta i działacz związany od lat ze środowiskami katolickimi, przede wszystkim z grupą Tygodnika Powszechnego, ma chyba na ten temat coś do powiedzenia. Zwłaszcza, że ostatnio dużo się mówi o rozmowach Kościoła z państwem, o spotkaniach w Rzymie etc. To chyba nader ważna problematyka i na pewno w jakimś stopniu polityczna?

S.K.: — Oczywiście. Dzięki powiązaniu z krakowską grupą i Tygodnikiem Powszechnym ja jeszcze jakoś tam publicznie w Polsce egzystuję, choć „dzięki” cenzurze nic merytorycznego napisać nie mogę. Ale trzeba z naciskiem podkreślić jedną rzecz: chociaż Kościół katolicki jest od wieków tak silnie związany z polskim życiem patriotyzmem, obyczajem, kulturą, to jednak przede wszystkim jest instytucją religijną i to światową, o własnych celach i metodach działania. Rola polskiego katolicyzmu w walce z grożącą nam duchową sowietyzacją i totalizacją (której naród w wielu swych grupach już ulega) jest olbrzymia, ale jest to rola z natury swej defensywna i inną być nie może, zwłaszcza wobec ścisłego zamknięcia społecznego katolicyzmu wewnątrz kościelnej kruchty. Kardynałowie Wyszyński i Wojtyła to na pewno wielcy Polacy, ale przede wszystkim depozytariusze religijnej misji Kościoła Powszechnego i wszystkiego za nas nie zrobią, nie odtworzą nam historii, polityki, publicystyki, informacji, tego wszystkiego czego w Polsce brak. Tymczasem nawet tak inteligentny i głębszy od innych endeckich „geopolityków” publicysta jak Wojciech Wasiutyński nie ustrzegł się w swej książce potraktowania Kościoła jedynie jako instrumentu przetrwania narodowego czyli jako narzędzia politycznego. Bardzo mnie to zgorszyło, choć jestem tylko „katechumenem”. Katolicyzm w polskim życiu to potęga, ale to nie jest wszystko, zwłaszcza że nie wierzę, aby komuniści — mimo rozmów w Rzymie czy gdziekolwiek — wypuścili nasz katolicyzm z kościelnego zamknięcia i zezwolili mu na życie społeczno-polityczne (nie mówię oczywiście o mikroskopijnych koncesjonowanych grupkach). Tym większą rolę przywiązuję do WYCHOWAWCZEJ narodowej roli, jaką samodzielnie zapragnęły odgrywać grupy KOR-u, ROBCiO’a czy PPN-u.

*Kultura:* — Widzę, że wymienia Pan zawsze te trzy grupy razem. Czy nie dostrzega Pan między nimi różnic politycznych?

S.K.: — Wiedziałem, że i do tego dojdzie! Proszę Pana, jak najgoręcej protestuję przeciwko jakimkolwiek rozróżnieniom politycznym, „napuszczaniom”, wbijaniom klina, zwłaszcza dokonywanym na emigracji, wśród ludzi którzy Polskę widzieli ostatnio przed wojną i bawią się w stare podziały. Mówienie, że jedni z polskich „kontestatorów” (głupie słowo, ale się przyjęło) to lewicowcy czy byli marksiści, a drudzy to narodowcy czy nacjonaści to absurd, pomijając zresztą fakt, że „nacjonalizm” w naszej sytuacji nie jest obelgą, lecz komplementem. Nie dajmy się zwariować; zastanawianie się kto lepiej dzieli skórę na biegnącym jeszcze po lesie niedźwiedziu, rzucanie podejrzeń czy oskarżeń to polska schizofrenia; rozumieniem ją jeszcze na emigracji, gdzie nie bardzo jest co robić, ale pożałowania byłoby godne, gdyby takie sekciarstwo miało udzielić się grupom młodzieży w kraju. KOR na pewno ma największe zasługi, bo był jednym z pierwszych inicjatorów, bo siedział w ciupie, bo prowadzi teraz szeroką (oczywiście w znaczeniu względnym) działalność interwencyjną i oświatową. Ale ROBCiO ze swym odważnym „krzykiem” politycznym też jest bardzo dobry, a PPN chce głębiej i spokojniej myśleć — świetnie. Wszyscy są potrzebni, wszystkich powinniście popierać — zresztą zauważyłem, że *Kultura* to właśnie robi.

*Kultura:* — Popierać? Więc taką rolę wyznacza Pan łaskawie emigracji politycznej?

S.K.: — A co najmniej nie przeszkadzać. Najbardziej mnie drażni, gdy jacyś rzekomi neoendecy bredzą coś o „sowieckich czołgach”. Sowieckie czołgi wjeżdżają, gdy zbuntuje się wyższy aparat partyjny, jak to było na Węgrzech czy w Czechosłowacji, nie zaś wtedy, gdy ktoś odbija sobie na powielaczu powieść Konwickiego lub Brandysa. Niedrukowane powieści odbija się i w Rosji! A poza tym to my żyjemy w kraju Orwella i po nas, a nie po nich przejadą owe rzekome „czołgi”. Jak ktoś znudził się życiem w naszym prasowym domu wariatów i chce raz odechnąć normalnym powietrzem, robienie z niego zamachowca, który ściągnie na Polskę wszelkie nieszczęścia jest kompletną bzdurą, wynikłą z braku wyobraźni. Niech ci panowie pożyją troszkę w Polsce bez prasy zagranicznej i paszportu, bez możliwości pisania czy publicznego mówienia, niech przez pięć lat poczytają na co dzień *Życie Warszawy* i *Trybunę Ludu*, a potem pogadamy! Syty głodnego nie zrozumie!

*Kultura:* — Ale Pan na głodnego nie wygląda. Raczej dosyć



*Pan sobie pozwala, a i paszport — jak widać — jest. Proszę na zakończenie powiedzieć coś o sobie, jak Pan widzi swoją rolę?*

S.K.: — Politycznie jest to rola żadna: żałośnie szczątkowa, zaledwie wspomnieniowa, a i to zanika. W kraju piszę o niczym, bo cenzura nic nie puszcza, tyle, że niektórzy ludzie pamiętają jeszcze, iż kiedyś pisywałem o czymś, więc się trochę podniecają. A za granicą pisuję — jak już mówiłem — dla czystej, osobistej przyjemności, bez żadnych nadziei politycznych. Najlepszy na to dowód to fakt, że pisuję w *Kulturze*, której w Kraju prawie nie ma, a czytują ją najwyżej władze. Toć czysty masochizm! A i tak jakiś Mackiewicz czy Borowicz napisze, że jestem agentem.

*Kultura: — Widzę, że ma Pan jednak na ten temat wyraźną obsesję, kompleks?*

S.K.: — Oczywiście. A wie Pan dlaczego? Bo chciałem być jakimś agentem, tyle, że nikt mnie nie chce. To echo mojej nieszczęśliwej, nieodwzajemnionej miłości do polityki — ta miłość w końcu zmarnowała mi życie. Zresztą Redaktor *Kultury* to dobrze rozumie, on też całe życie kochał politykę!

*Kultura: — No, no. Nie utozsamiałbym jednak naszych sytuacji. Choć dawno się znamy.*

S.K.: — Przepraszam, jeślim uraził.

*Kultura: — Nie szkodzi!*

*Rozmowa miała miejsce w Paryżu w dniu 5 lutego 1978 roku.*

## Carillo i Moskwa

Istnieje nie tylko w Europie lecz także w Ameryce, w niektórych działach nowej administracji i w niektórych wielkich dziennikach, tendencja którą określiłbym jako „optymistyczną” wobec zjawiska eurokomunizmu. Uważa się że eurokomunizm, w trakcie swego rozwoju, może doprowadzić do nowego pęknięcia w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Albo że przynajmniej, przyjąwszy nurtom dysydenckim we wschodnim świecie komunistycznym, wprowadzi element coraz poważniejszego zakłócenia do wewnętrznej stabilizacji społeczeństwa sowieckiego i do panowania sowieckiego we Wschodniej Europie.

Sądzę, że z zachodniego punktu widzenia sprawę należy postawić w formie prostego i realistycznego dylematu. A więc: eurokomunizm, w swoim obecnym stadium rozwoju, stanowi większe niebezpieczeństwo dla Wschodu a mniejsze dla Zachodu czy na odwrót?

Wiem że odpowiedź nie jest łatwa, utrudnia ją wieloznaczność badanego zjawiska. Właśnie dlatego że eurokomunizm jest jak dotąd bardziej potencjalnością niż schizmatyczną rzeczywistością, giętą taktyką dostępu do władzy a jeszcze nie władzą planującą własne trwanie w kategoriach strategii historycznej, zdarza się spotykać ludzi którzy antycypują w wyobraźni i pragnieniach moment pęknięcia i schizmy. Nie mamy, i nie możemy mieć, na nie dowodów. Aby mieć pełniejsze dowody schizmatycznego powołania eurokomunizmu, wypadałoby poczekać aż obecne partie eurokomunistyczne staną się państwami eurokomunistycznymi. Dopiero wtedy byłibyśmy w stanie wydać sąd bardziej realny i mniej hipotetyczny o jakości związków między eurokomunizmem państwowym w duchu powiedzmy Gramsciego i (że użyję wyrażenia Kołakowskiego) azjokomunizmem państwowym ukształtowanym przez Lenina i Stalina. Wielkie rozłamy w wszechświecie komunistycznym — chiński, jugosłowiański, albański — powstały bowiem z nieubłaganej logiki konfliktów międzyupa-



stwowych i narodowych. Logika międzypartyjna, posługując się prowokacyjną sublimacją lingwistyczną ideologii, przyczyniła się jedynie do nadania zderzeniu między państwom, które było i jest fundamentalne, cech konfliktu głębokiego i nieuleczalnego.

W kategoriach politycznych jakiegokolwiek zjawisko w stanie utajonym nie może jeszcze posiadać wartości dowodowej na przyszłość. Lepiej zatem miarkować zbyt pośpieszne hipotezy na temat istoty elastycznych nieporozumień między eurokomunizmem i azjokomunizmem, dopóki ograniczać się one będą do teoretycznego napięcia między imperialnym superpaństwem i zespołem zewnętrznych partii komunistycznych, które nie reprezentują państwa lecz tylko opozycję. Albo nawet, jak w wypadku Hiszpanii i częściowo także Francji, tylko odłam opozycji.

Wydaje mi się że *casus* Carrillo nie podważa tego wezwania do ostrożności, lecz przeciwnie wzmacnia je. Bez wątpienia klątwa, nie tak znowu nieoczekiwana, jaką z Moskwy rzucono na głowę Carrillo, tchnęła pozór życia w schizmatyczną poczwarkę eurokomunizmu. Byłoby jednak ryzykowne wyciągać z tego faktu wnioski bardziej ogólne, miesząc pilne potrzeby kruchego komunizmu hiszpańskiego z odmierzanymi ostrożnie krokami, na przykład, silniejszego i o wiele ważniejszego komunizmu włoskiego. Nie będę wymieniał licznych powodów, które popchnęły Carrilla do obrania linii ekstremistycznej. Ograniczę się do podkreślenia jednego, bardzo praktycznego. Najsłabszemu z trzech łącińskich przywódców eurokomunistycznych, zagrożonemu wyborem unicestwieniem w nowej Hiszpanii gdzie głosy lewicy ciążyą w przytłaczającej większości ku konkurencyjnej partii socjalistycznej Gonzalesa, śmiałość iberyjska wydała się bardziej użyteczna i popłatna od italskiej rozważli. Sekretarz hiszpańskiej partii komunistycznej napisał swoją prowokacyjną książkę *Eurokomunizm i państwo* przed wyborami, wiedząc z absolutną pewnością że ekskomunika nadejdzie z Moskwy po wyborach: czekał na nią, by w odpowiedzi podwyższyć dozę.

Co nas tu interesuje najbardziej to uwydatnić nowy kierunek w którym Carrillo, przy pomocy polemicznej analizy systemu sowieckiego, pomaszzerował dla zdefiniowania, przez przeciwstawienie, istoty eurokomunizmu. Do chwili wybuchu kryzysu rosyjsko-hiszpańskiego widzieliśmy Berlinguera we Włoszech i Marchais we Francji zajętych zgodnie, i z rosnącą wciąż dezynwolturą, próbami dostosowania leninowskiej mentalności i leninowskiej struktury obu partii do reguł gry w społeczeństwie zachodnim. Berlinguer i Marchais, w odróżnieniu od Carrilla, unikali zdefiniowania eurokomunizmu w bezpośredniej ideologicznej konfrontacji z azjokomunizmem sowieckim. Opukiwali linię mniejszego oporu, usiłując zbudować obraz eurokomunizmu łagodnego, dopasowującego się taktycznie w kolejnych fazach do rzeczywistości społeczeństwa otwartego i zróżnicowanego. Za pośrednictwem tej aluzyjnej autodefinicji *poprzez pozytywy* obie partie, włoska i francuska, omijały groźbę zderzenia frontального z Moskwą.

I oto taką właśnie taktykę, adaptacyjną, aluzyjną i wymijającą zarazem, podjął teraz Carrillo, pierwszy i jedyny eurokomunista, który wyszedł poza granicę nieprzekraczalną wciąż jeszcze dla Włochów i Francuzów: chodzi, rzecz jasna, o negatywną ocenę systemu władzy i układu społecznego w ZSSR. Carrillo posunął do ostatecznych konsekwencji pewną logikę zawartą w eurokomunizmie, dokonując operacji zerwania w diametralnie przeciwny sposób niż to robią Berlinguer i Marchais. Widzieliśmy jak ci dwaj starali się dotychczas zarysować *poprzez pozytywy* hipotezę eurokomunistyczną, dostosowując ją do praw które rządzą społeczeństwem zachodnim; Carrillo natomiast zarysował ją *poprzez negatywy*, przeciwstawiając ją prawom które rządzą zamkniętymi i totalitarnymi społeczeństwami Wschodu. Carrillo zdecydował się na długi krok, o którym nie chcą słyszeć ani Berlinguer ani Marchais. Powiedział głośno i dobitnie to, czego Berlinguer i Marchais nie zamierzają powiedzieć: że prawdziwy socjalizm należy budować na Zachodzie nie drogą imitacji fałszywego socjalizmu, który panuje w Rosji od przeszło pół wieku, lecz w opozycji do modelu sowieckiego i jego wschodnioeuropejskich pochodnych.

Wybuch tego niespodziewanego skandalu eurokomunistycznego w czerwcu 1977, dokładnie w rok od konferencji berlińskiej która uznała formalną zasadę autonomii każdej europejskiej partii komunistycznej, jest wydarzeniem bardzo nie na rękę Włochom i Francuzom w chwili tak delikatnej jak obecna. Szczególnie Włosi odczuli je jako niemal nóż w plecy. Włoska partia komunistyczna, pochłonięta doskonaleniem po obu stronach Atlantyku swego obrazu wiodącej siły eurokomunizmu, a we własnym kraju wznoszeniem fundamentów kompromisu historycznego na gruncie nowej szacowności eurokomunistycznej, zareagowała na cios milczeniem, udając że nie dostrzeża problemów jakie wyłoniły się w Moskwie i Madrycie. Berlinguer, zmuszony do wynależenia sobie z dnia na dzień trudnej pozycji balansu w równej odległości od partii hiszpańskiej i partii sowieckiej, do sformułowania swoich poglądów na istotę systemu sowieckiego, raz jeszcze poświadczył jasność na rzecz przezornego wyczekiwania między protagonistami konfliktu.

Ale pozycja balansu w równej odległości od małej hiszpańskiej partii opozycyjnej która zaczyna przemawiać w imieniu wszystkich eurokomunistów Zachodu, i od potężnej sowieckiej partii państwowej która ją potępia w imieniu ortodoksji Wschodu, nie może nie być dwuznaczna gdy w grę wchodzi partia włoska: czyli właśnie ta partia, która dzięki ciągłemu odwoływaniu się do Gramsciego i do tradycji zachodniej myśli socjalistycznej wywalczyła sobie ostatnio rolę mózgu politycznego i świadomości filozoficznej nowego projektu społeczeństwa. Zajmując więc wobec sporu rosyjsko-hiszpańskiego postawę fikcyjnej neutralności, Berlinguer oddala się w rzeczywistości znacznie bardziej od Carrilla niż od Breżniewa. Było o wiele łatwiej i wygodniej dla komunistów włoskich podkreślać ostentacyjnie, dwa lata temu,



krytyczną neutralność wobec Cunhala. Piątowa neutralność, z jaką próbują dzisiaj zachować ostrożny dystans w stosunku do Carrilla, nie przynosi im korzyści w niczyich oczach z wyjątkiem oczu Kremla. Jeśli eurokomunizm reprezentowany przez najliczniejszą zachodnią partię komunistyczną będzie tylko czymś w rodzaju *no man's land*'u ideologicznego między Rosją i Hiszpanią, ruch dysydencki w krajach Wschodu wyniesie mały zysk ze wszystkich niewyraźnych i stłumionych „nowości” Berlinguera.

Za sprawą Carrilla skończyły się nagle czasy eurokomunistycznych niedomówień i uników. Pozostał on sam ze swoją drobną partią w obliczu anatemy rosyjskiej, jako ucieleśnienie raczej wyjątku niż reguły w zachowaniu się eurokomunistów. W tym jednak charakterze stanie się kłopotliwym punktem odniesienia dla dwóch starszych braci, Berlinguera i Marchais. Spór Moskwy z Madrytem wystawił i wystawi jeszcze na ciężką próbę poglądy i zamiary, skrupulatnie dotąd zamaskowane, Rzymu i Paryża. W tym pokerze w czwórce „przebiecie” hiszpańskie i przede wszystkim „kontprzebiecie” sowieckie już zmuszają pozostałych dwóch graczy do odśłaniania wbrew woli własnych kart.

Ostry i być może nieodwracalny charakter sporu, do którego głównie komuniści włoscy zostali wciągnięci przez licytacyjną grę Rosjan i Hiszpanów, znalazł swój wyraz w artykule na łamach organu socjalistów włoskich *Avanti*. Tego samego dnia delegacja PCI znajdowała się w Moskwie dla przedyskutowania nowej herezji Carrilla z Zagladinem, Ponomarewem i, co najważniejsze, Susłowem. Redaktor organu socjalistycznego, pisząc że konflikt między Moskwą i Madrytem rozgrywa się na planie historycznym roku 1956 na Węgrzech i roku 1968 w Czechosłowacji, postawił komunistów przed problemem szczególnie dla nich doniosłym w chwili, gdy finalizowali pakt współpracy z demokracją chrześcijańską i innymi stronnictwami demokratycznymi. Sprawa przedstawiała się następująco. Nie wystarczy że demokracja chrześcijańska i inne stronnictwa godzą się na podpisanie wspólnego programu z partią komunistyczną, której dają w ten sposób bezpłatny dyplom legitymizmu demokratycznego i autonomii narodowej; trzeba żeby taki dyplom wyrósł z samej partii komunistycznej, z jej stanowiska w obrębie międzynarodowego ruchu komunistycznego, zwłaszcza wobec Moskwy. Artykuł *Avanti* nawiązywał oczywiście do rozmów między przedstawicielami obu partii w Moskwie i do ich znaczenia dla podpisywanego prawie równocześnie paktu w Rzymie.

Co naprawdę zaszło w dialogach moskiewskich Susłow-Giancarlo Pajetta, z jakimi słowami i faktami szef delegacji PCI i jej członkowie wrócili z Rosji do Włoch?

Misja komunistów włoskich nie była łatwa. Nie mogli nie rozumieć, że anatema Kremla godzi bezpośrednio w Carrillo, lecz pośrednio również w Berlinguera. Cel Moskwy był aż nadto przejrzysty: wykląwszy Carrilla, ostrzec Berlinguera i Marchais i położyć zarazem hipotekę, chwilowo elastyczną, na przyszłym

możliwym udziale PCI i PCF w rządach. Aby uniknąć rozszerzenia ekskomuniki partia włoska postanowiła, że zwykłą swoją ostrożnością jezuicką, trzymać na bezpieczny dystans ubogiego krewnego z Madrytu. Bez porównania za to trudniejszą i delikatniejszą sprawą było ustalenie linii postępowania wobec moskiewskich arcykapłanów ortodoksji: starać się ich nie drażnić, ratując przy tym obraz, narodowy i światowy, autonomicznego eurokomunizmu włoskiego.

Nie sprzyjały tej skomplikowanej operacji na dwa fronty ani miejsce spotkania, ani interlokutor, weteran stalinowski znany z nieustępliwości w rokowaniach. Susłow, od roku 1941 nieusuwalny na szczytach partii, wielki inkwizytor w procesach przeciw herezji Tito i schizmie Mao, żelazny obrońca azjokomunizmu przeciw świeżym odchyleniom eurokomunistycznym, nie uczestniczył w ciągu trzech co najmniej ostatnich lat w spotkaniach publicznych o podłożu ideologicznym z „bratnimi partiami”. Pozostał prawie całkowicie w cieniu podczas dwudziestu siedmiu miesięcy przygotowawczych przed pankomunistyczną konferencją w Berlinie, która wprowadziła gwarancję niezależności dla każdej europejskiej partii komunistycznej. Kto ma pewne doświadczenie moskiewskie, wie jak paraliżujące może być samo zetknięcie w tej atmosferze ze stalinowską kariatydą, której odruchem warunkowym jest węszenie potencjalnego zdrajcy w byle rozmówcy.

Niespodziewany i groźny udział Susłowa w rozmowach musiał być przez delegatów włoskich odczuwany jako natarczywa presja. Nie jestem komunistą, nie przeszkadza mi to jednak twierdzić, że właśnie obecność przy stole obrad tego nieugiętego ekskomunikatora sowieckiego powinna była skłonić Pajettę i jego towarzyszy do zachowania minimum choćby wierności postawie eurokomunistycznej. Ostatecznie partia włoska nie wysłała do Moskwy jednego z pierwszoplanowych członków swego kierownictwa na dyskusję literacką o *Eurokomunizmie i państwie*. Już tytuł książki Carrilla, angażując co najmniej pośrednio Berlinguera, powinien był zmusić go do wypowiedzenia się (i byłoby ono wiarygodniejsze nawet, gdyby nastąpiło przed wyjazdem Pajetty do Moskwy) w dwóch konkretnych punktach: negatywnych też sekretarza hiszpańskiego o „socjalizmie realnym”; i stanowiska PCI w całej dyspacie. Szło nie tylko o obraz partii hiszpańskiej w oczach Moskwy, lecz także o obraz partii włoskiej w oczach Zachodu. Berlinguer zatem, lub Pajetta po swoim powrocie z rozmów na Kremlu, powinien był okazać większą stanowczość odnośnie pewnych fundamentalnych przesłanek eurokomunistycznych, uzgodnionych z Carrillo na wspólnym szczycie w Madrycie. Albo powiedzieć, czy krytyki komunistów hiszpańskich pod adresem systemu sowieckiego są uzasadnione; i czy, abstrahując od Carrilla i Susłowa, sprawa dotyczy całego łańcuchowego trójporozumienia eurokomunistycznego.

Do niczego takiego nie doszło. Przeważył w końcu hamulec kontrszczytu w Sofii, z drobnymi ustępstwami sowieckimi na



rzecz szczytu w Madrycie. Reakcja włoska była obłudna. Nie wyszła poza łagodną wymówkę *à propos* „tonu” raczej niż zawartości repliki rosyjskiej na zarzuty Carrilla, gdy tymczasem w Moskwie przygotowywano kolejny, bardziej wycieniowany lecz i bardziej personalny, atak na izolowanego sekretarza hiszpańskiego, usiłując izolować go dodatkowo w łonie jego własnej partii. Tak oto raz jeszcze w swojej historii partia włoska składała dowód „podwójnej solidarności z ofiarą i zabójcą”, jak to określił Jiri Pelikan, przypominając że już przed inwazją Czechosłowacji komuniści włoscy zajęli stanowisko dwustronnej neutralności, która później w praktyce stawała się neutralnością jednokierunkową.

„Berlinguer zawiódł” — brzmiał gorzki komentarz Carrilla w Madrycie. Jeden z potajemnych doradców Berlinguera, komunista proveniencji katolickiej Franco Rodano, być może prawdziwy architekt strategii kompromisu historycznego, zapewniał w dzienniku komunistycznym *Paese Sera* że eurokomunizm nie może się stać rzeczywistością w konflikcie z filozofiecką polityką międzynarodową PCI, nie powinien też przeobrazić się w „stopniową kapitulację najbardziej ważkiego odłamu ruchu robotniczego przed nieodpartym wpływem wartości zachodnich”. Dobitniej jeszcze przemówił, dla podkreślenia dystansu wobec Carrilla, Romano Ledda z łamów ideologicznego tygodnika partii *Rinascita*: „Kto domaga się, aby nasza partia napiętnowała niesocjalistyczny charakter ZSSR i uczyniła z demokracji politycznej oś nowego układu międzynarodowego, usłyszcy od nas ponownie odpowiedź odmowną”.

Tymczasem Pajetta, nazajutrz po powrocie z Moskwy, ogłosił w *Corriere della Sera* żalostny artykuł usprawiedliwiający, z którego wśród gęstych ławic mgły wyłaniały się kontury generalnego odwrotu przed atakami Susłowa. W tym jezuickim artykule, wydrukowanym na dwa dni przed drugim wypadem przeciw sekretarzowi hiszpańskiemu w piśmie *Nowoje Wremia*, Pajetta pisał: „Lenin i Gramsci nie lubili uproszczeń. Jeśli są czasy nie stworzone dla katechizmów, dla rezygnacji z refleksji a więc i dla uproszczeń pociągających za sobą anatemy, to takimi czasami są właśnie nasze”. Dalej pojawiała się zaktualizowana formuła owej głębokiej solidarności „historycznej” między PCI i KPZS, którą wypukła również Wolfgang Leonhard w swojej ostatniej książce: „Kontynuujemy zatem, bez zerwań i bez ustępstw, nasz wkład — tym cenniejszy, im bardziej oryginalny — do wielkiego ruchu międzynarodowego jako jego część składowa”. Znaczyło to w przekładzie na nieco zrozumialszy język: „uproszczenia” Carrilla, jego a nie nasze krytyki pod adresem ZSSR, wprawiły w ruch mechanizm anatemy; co do nas, kroczyć będziemy nadal drogą która wiedzie nie do zerwania, lecz do międzynarodowej jedności komunistycznej. Zapewnienie godne co najwyżej, pozwolę sobie dodać, zakłopotanej partii komunistycznej w którejś demokracji ludowej z oddechem Armii Czerwonej na karku.

Ale konflikt jest realny i bardzo poważny. Rzecz w tym że Carrillo nie jest oryginałem, jak próbują nam teraz wmówić komuniści włoscy i francuscy, lecz świadomym i zdecydowanym przywódcą partii komunistycznej, która przeżyła długą kalwarię od końca hiszpańskiej wojny domowej do dzisiaj. A jego książka nie jest „broszurką wyborczą”, jak usiłują nam również wmówić komuniści włoscy i francuscy, lecz dwustustronicowym tomem, który wolno uznać za pierwszy i organiczny program eurokomunistycznego socjalizmu. Być może herezja czy nawet schizma skazane są na długi i samotny żywot w obrębie samej tylko Hiszpanii, na przemieszanie z hiszpańskimi tradycjami anarcho-syndykalistycznymi i wolnościowymi. W każdym bądź razie partia hiszpańska wypracowuje sobie własną i autonomiczną logikę, z którą dwie pozostałe partie łańskie nie unikną chyba na dalszą metę kolizji. Carrillo stał się już magnetyczną skałą podwodną, która wynurzyła się z morza po półwieczu burz komunistycznych.

Sprawy przedstawiałyby się w sposób mniej zawiły, gdyby przywódcy obu partii — włoskiej i francuskiej — obdarzeni byli dostateczną siłą moralną i dostatecznie śmiałą wyobraźnią, gdyby potrafili chwycić w lot wielką okazję. Przywódca małej partii hiszpańskiej ma swój spory format, dopóki jednak brak mu poparcia towarzyszy włoskich i francuskich, ryzykuje mimo wszystko przeistoczenie się w rozbrojonego proroka. Nie należy więc wykluczać i tego że eurokomunizm, jeszcze przed swoimi narodzinami, jest w istocie historią straconej okazji. Mówiąc że znalazłem w Hiszpanii własną i autonomiczną logikę, z którą na dalszą metę inni eurokomuniści nie będą mogli uniknąć rozrachunku, przypisywałem jej dynamiczny potencjał zarówno pozytywny jak negatywny. To znaczy, można też widzieć tylko jej postać negatywną, śmiertelną dla sowieckiego bloku imperialnego, i odrzucić ją bez żadnych *ale*. Innymi słowy, można podwodną skałę iberyjską śledzić po to jedynie, by ją z daleka okręzać, żeglować w bezpiecznej od niej odległości.

Kilka końcowych i pesymistycznych uwag o stosunku eurokomunistów do dysydentów na Wschodzie. Jeśli eurokomunizm, który zdaje się być zablokowany kompleksem ojca, nie potrafi wesprzeć nawet „prawomocnej” opozycji Carrilla, to z jakąż może przyjść pomocą „nieprawomocnej” opozycji Sacharowa czy Havemanna? Nic też nie wskazuje na to, by zachodne partie komunistyczne starały się naprawdę przełamać zaporę cenzury dla szerzenia swych idei (jakich zresztą po porzuceniu Carrilla?) na obszarze władania sowieckiego. Przeciwnie, pilnują się bardzo by to nie nastąpiło. W obecnym stanie rzeczy nie możemy zatem przypisywać eurokomunizmowi, który nie istnieje już jako zjednoczona grupa, żadnej współodpowiedzialności, ani praktycznej ani moralnej, za stymulowanie rozwoju opozycji na Wschodzie. Gdzie, poza tym, nigdy właściwie nie wiadomo było czym jest eurokomunizm i jakie reprezentuje zasady; jakie w głębi utrzymuje stosunki ze Związkiem Sowieckim; jakie ma nowe pro-



pozycje dla Wschodu i jakie dla Zachodu. Dziś, gdy eurokomunizm przeżywa kryzys, tego rodzaju dezinformacja i konfuzja mogą tylko na Wschodzie rosnąć.

Wreszcie, aby eurokomunizm mógł rzeczywiście spełnić jakąś stymulacyjną rolę wobec krajów Europy Wschodniej, dwie główne partie które się nań składają, włoska i francuska, musiałyby być bardzo odmienne od tego czym jeszcze są w swoim kształcie psychoideologicznym. Nie trzeba na przykład lekceważyć mitycznego wpływu, jaki na zachodnią mentalność komunistyczną wciąż jeszcze wywierają widma ekskomuniki i schizmy, krótko mówiąc — rozczłonkowania ciała mistycznego Kościoła. Dwa czynniki, szantaż ekskomuniki i strach przed nią, przeniknęły się wzajemnie na korzyść inkwizytorów sowieckich, którzy w ten sposób zdołali zachować jeszcze w stosunku do PCI i PCF szeroki margines wyprzedzenia w ataku i w decyzjach rozstrzygających.

Trzeba by wyjaśnić kiedyś tajemnicę nieprzerwanych zahamowań komunistycznych jako łańcuch wielkich lęków, koszmary branych za rzeczywistość i rzeczywistości branej za koszmary, wrodzonej niezdolności, cynicznej i desperackiej zarazem, dojrzenia w historii innych sił napędowych niż gwałt, siła, strach, zdrada, oszustwo. Do rzędu wielkich lęków historycznych komunistów przybywa nowy. Lęk eurokomunizmu utajonego, który pod stałym naciskiem ajzokomunizmu drży w obliczu hipotezy eurokomunizmu realnego, nosząc go w sobie w zarodku i mogąc ten zarodek albo ożywić albo zabić.

Enzo BETTIZA

(Przełożył Gustaw Herling-Grudziński)

#### NOTA BIOGRAFICZNA

Enzo BETTIZA, ur. w r. 1927 w Dalmacji, jest jednym z najwybitniejszych włoskich dziennikarzy i publicystów politycznych. Spędził cztery lata w Moskwie, jako korespondent turyńskiego dziennika *La Stampa*: jego pasjonujący *Diario di Mosca*, drukowany w *Tempo Presente*, ukazał się również w książce. Jako korespondent moskiewski Bettiza objechał wszystkie kraje Europy Wschodniej i opisał swoje wrażenia w książce *L'altra Europa*. Po powrocie do Włoch przeszedł do *Corriere della Sera*, gdzie przez dziesięć lat był głównym ekspertem i komentatorem „wschodnim”. Książka *Quale PCI?* dowodzi jego głębokiej znajomości włoskiej partii komunistycznej. W roku 1974, po secesji grupy najbliższych współpracowników *Corriere della Sera*, Bettiza został wicedyrektorem nowego dziennika mediolańskiego *Il Giornale*. W roku 1976 wybrano go senatorem (niezależny z listy liberalnej). W senacie wybrano go do parlamentu europejskiego (grupa liberalno-demokratyczna). Bettiza zaproponował *Kulturze* drukowany wyżej szkic, który stanowi rozdział książki *Il comunismo europeo*. Książka ukaze się wkrótce nakładem wydawnictwa Rizzoli.

## „Salus” i konspiracja Klimkowskiego (2)

Na konspirację Klimkowskiego w okresie jangijulskim składały się trzy ogniwa: przede wszystkim adiutantura generała Andersa, jego szwadron przyboczny ułanów podolskich dowodzony przez majora Florowskiego oraz redakcja *Orla Białego*. Ogniwem niewidocznym, sprzężeniem wprowadzającym nas w „ruch obrotowy” był szef *dwójki* płk Bąkiewicz i kilku jego najbardziej zaufanych oficerów.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to fantastycznie, prawie jak bajka o „żelaznym wilku”. Przyznaję zresztą, że wówczas nawet nie przychodziło mi to do głowy. Ale teraz, patrząc wstecz mądrością nabytą „po szkodzie”, wydaje mi się to potwierdzone przez logikę wydarzeń. Tak samo jestem pewien, że bez przyczółka w Wydziale Oświaty i Prasy, który przez pewien okres czasu nazywał się niezbyt fortunnie *Propagandą*, Salus nigdy nie nabrałby nośności, a przede wszystkim intelektualnej atrakcyjności.

Cała sprawa Salusa drzemała we mnie przez trzydzieści lat. Czasami w Argentynie robiłem na ten temat żarty w rozmowie z kolegami z Drugiego Korpusu. „No, opowiedz o Klimkowskim” — zwykł był mawiać Zbyszek Kulpiński, którego poznałem w drugim dniu bitwy pod Monte Cassino. Teraz, jakby przebudzona, odświeżona lekturą wspomnień, wygładzona wiedzą *post factum*, rysuje się fascynująco. Budzi mnie w nocy. Czuję się trochę jak detektyw w poszukiwaniu tego, co się u nas w Ameryce od czasu Watergate nazywa symbolicznym dymiącym rewolwerem — ostatecznym dowodem winy.

Wracam do *Propagandy*. Wydział nasz, który narodził się skromnie jako referat oświaty przy dowództwie w Buzułuku, odgrywał od pierwszej chwili swego istnienia doniosłą rolę. Wy-



nikała ona być może z ważności słowa pisanego, kiedy znajdowaliśmy się w tym przedziwnym stanie emocjonalnego gorączkowania, oraz trafnego rozpoznania przez gen. Andersa jego znaczenia i roli. Pod tym względem był współczesny, nie dzielił z innymi wyższymi oficerami ich awersji do dziennikarstwa. W sumie historia *Propagandy* — być może w większym stopniu niż jakiegokolwiek innego oddziału czy jednostki — odzwierciedla dzieje naszego wojska od Buzułuku do Włoch.

Śmiać mi się chciało, gdy czytałem książkę krajowego Olgierda Terleckiego pt. „Generał ostatniej legendy”, pochwaloną przez Adama Ciołkosza i wydaną na Zachodzie. Napisane jest tam o nas, że „grupkę dalekowschodnią, liczebnie mizerną, ożywiła głównie żądza władzy, wyrosła z niebываłej megalomanii i kompletnego nieuctwa. Dorwanie się do rządu stanowiło cel, poza którym panowała już maligna. Wymownym jej przejawem była wydana potajemnie mapa: obiecywała w tytule, że tylko pod hasłem *Salus Reipublicae Suprema Lex* zdobędziemy Polskę równą Polsce przedwojennej, i obejmowała poza obszarami najdalszego zasięgu Rzeczypospolitej Dwu Narodów również Estonię, Bukowinę, Besarabię, ujście Dunaju, Krym, Zagłębie Donieckie i wybrzeże morza Azowskiego...”. Czytałem to na wesoło przede wszystkim dlatego, że osobiście potajemnie mapę tę drukowałem w Bagdadzie na pedałowce Drukarni Polowej i wiem, że jeśli chodzi o geografię, to Terlecki dodał drugie tyle.

Jednocześnie mówienie o kompletnym nieuctwie grupy dalekowschodniej (jeśli już, to środkowowschodniej, bo przecież nie byliśmy w Singapurze) w przeciwieństwie do wyższego poziomu intelektualnego polskiego Londynu, wskazuje do jakiego stopnia Terlecki nie ma pojęcia o tym, co pisze. Nie będę wyliczał wszystkich poetów, pisarzy, dziennikarzy, ludzi nauki, sztuki i teatru, którzy byli w szeregach armii generała Andersa. W porównaniu do czczej atmosfery polskiego wojennego Londynu, życie umysłowe naszego wojska było w nieustannym twórczym fermentcie pod wpływem wielkiej przygody prowadzącej nas przez lądy i morza.

Niezapomniane to jest wspomnienie. Nasza armia była ostatnim echem Polski Jagiellonów, Polski wielu narodów. Już swoją wielorakością i przekrojem społecznym sprawiała, że górowała nad Londynem. Była ożywiona nie żądzą władzy, ale nienawiścią do bolszewików. Z tego powodu zrobiliśmy — przynajmniej — wiele głupstw i wpadliśmy w pułapkę prowokacji. Lekceważąc Rosję, nie docenialiśmy tajnego charakteru jej rządów. Dlatego wydaje mi się, że nim pójdę dalej z relacją o Salusie, wypada opowiedzieć coś więcej o *Propagandzie* — jak się do niej dostałem w połowie listopada 1941 roku.

O istnieniu referatu oświaty dowiedziałem się na drugi lub trzeci dzień po moim dobrnięciu z Aktiubińska do Buzułuku od Ignacego Jeśmana lub Tadeusza Wittlina, który podobnie jak ja należał do podchorążówki broni pancерnej, dowodzonej przez mojego łągiernego druha, kapitana Jerzego Emir Hassana, o czym pisałem w poprzednim odcinku. Tylko nieliczni z nas mieli mundury. Większość nie miała nawet menażek, tak że w kolejce do kotła jeszcze ciągle stawaliśmy z kociołkami łągiernymi. Zajęcia naszej podchorążówki ograniczały się do spania, rannych i wieczornych apeli, napychania się jedzeniem i nie kończących się rozmów. Opowiadaliśmy sobie o więziennych i łągiernych doświadczeniach. Wyżywaliśmy się w tym, porównując gdzie było lepiej, gdzie gorzej. O ile mnie pamięć nie zawodzi, doszliśmy do wniosku, że najlepiej karmili na Ukrainie, a taki Berdyczów był prawie „kurortem”. Najgorzej było w rosyjskiej SSR. Pamiętam, że temat ten wywierał na nas wszystkich jakąś dziwną fascynację. Przypominało to trochę turystów, wymieniających informacje o hotelach.

Kiedy po kilku dniach nastąpiło zaspokojenie pierwszego głodu brzucha i wiadomości, zacząłem się interesować innymi sprawami. Udawanie podchorążówki broni pancерnej wokół pieca zaczęło mnie nudzić. Przez Wittlina, którego znałem z Warszawy z Domu Prasy, spotkałem Jeśmana. Obaj byli dobrze poinformowani o tym co się dzieje. Nabijali się z działalności referatu oświaty i jego szefa, porucznika Waleriana Charkiewicza, historyka, współpracownika wileńskiego *Słowa*. Rudy Jeśman, obdarzony humorem ścichapek, był jako wilnianin nieco łaskawszy w ocenie Charkiewicza tłumacząc, że jest to człowiek wielkiej nieskazitelnosci, ale nudzi z urodzenia i wyboru. Wittlin określał go jako beznadziejną piłę usposobioną na „nie” do wszystkiego co pachniało Warszawą, którą uważał za Sodomę i Gomorę. Modlił się i pisał listy do Cata-Mackiewicza. Kiedy Wittlin odkrył we mnie chęć do pójścia do Charkiewicza w celach towarzysko-zawodowych, aby przedstawić się i zaproponować współpracę, to zaśmiał się mówiąc, że moja przeszłość w *Expressie Porannym* i *Kurierze Czerwonym* nie jest dla Charkiewicza przekonującą rekomendacją. Wiedziałem już, że referat pod nim nie przejawia żadnej inicjatywy. Zdaniem naszego baraku Charkiewicz był za krótki na powierzone mu zadanie. Zgłaszających się do niego odsyłał do oddziałów liniowych, choć linii nie było, pouczając ich że to nie jest czas na pióro w rękę, lecz na karabin.

Po kilku dniach, na radosną wieść że nadszedł dla nas transport mundurów brytyjskich, zdecydowałem pójść na bazar i rozstać się z dziurawym płaszczem podbitym strzępami czarnego futra; na jego kupno zapracowałem dźwigając walizki na dworcu



w Taszkencie. Specjalnie pojechałem z nim, na gapę, pociągiem do Aktubińska myśląc, że w jego dużo zimniejszym klimacie opyle go z zarobkiem. Nie znalazłszy na niego klientów, przyjechałem z nim do Buzułuku. Na bazarze zainteresowała się nim baba sprzedająca kwaśne mleko w „stakańczykach”. Przehandlowałem go za nie pamiętam jaką ilość jogurtu, spożytego natychmiast, na miejscu. Jego enzymy znakomicie podziałyły na moje samopoczucie. Bazar znajdował się na ulicy Czapajewskiej, tuż obok — jak odkryłem — referatu oświaty. Mieścił się on w kamienicy pamiętającej cara, w dwupokojowym mieszkaniu, które — jak się później przekonałem — było biurem i kwaterą noclegową młodszych oficerów dowództwa. W chwili gdy wchodziłem w jego progi zderzyłem się z oficerem, który zgodnie z opisem Jeśmana i Wittlina nie mógł być nikim innym jak Charkiewiczem. Nie było trudno go zidentyfikować ze względu na łysinę i markotny wyraz twarzy. Zatrzymałem go, przedstawiając się, wyrzucając jednym tchem, że jestem z warszawskiego *Expressu Porannego* i jako referencję podałem, że moim nauczycielem dziennikarskim był jego naczelny redaktor Bolesław Hensel, którego renoma, wydawało mi się, musiała dojść do Wilna. Charkiewicz spojrział na mnie chłodno, obojętnie i powiedział: Właśnie przed chwilą zdałem referat oświaty rotmistrzowi Stanisławowi Strumph-Wojtkiewiczowi. Do niego powinien się pan zwrócić. Obrócił się na pięcie i zniknął. Niezupełnie — po ukazaniu się *Orła Białego* podrzucał Strumphowi podkreślone czerwonym atramentem błędy gramatyczne w artykułach Racięskiego, Antoniego Drwęskiego, moich i — jak mówią Amerykanie — dodając *insult to injury* — samego Strumphy.

Nazwisko Strumph-Wojtkiewicza nie było mi obce. Czytałem jego artykuły w *Kurierze Warszawskim*, ale nigdy go w Warszawie nie spotkałem. Było to więc dla mnie premierą, gdy zobaczyłem go stojącego w pokoju referatu. Pierwsze wrażenie było bardzo dodatnie. Uderzyło mnie jego podobieństwo do aktora filmowego Clive Brook'a specjalizującego się w rolach mundurowych sahibów brytyjskich w Indiach. Taka sama trochę płaska twarz, bardzo męska z dołkiem w brodzie. Umiał nosić mundur, który — na tyle już byłem oblatany — krojem i dopasowaniem świadczył, że Strumph-Wojtkiewicz był jednym z oficerów przysłanych z Londynu.

Przedstawiłem się w ten sam sposób jak Charkiewiczowi, ale odbiór był inny. Znał Hensla i nawet powiedział, że słyszał o mnie, w co nie bardzo uwierzyłem, ale brzmiało to bardzo przyjemnie. Kazał sobie opowiadać o moich przejściach od chwili aresztowania na granicy w Rafajłowej w październiku 1939 roku. Popatrzył na mnie z wyraźnym wzruszeniem. Miałem na sobie

dwa lewe kalosze, szczątki fufajki, dziurawe w najbardziej amborasującym miejscu spodnie i brodę, która mnie postarzała przy najmniej o dziesięć lat.

Zanim zdołałem ochłonąć z wrażenia że mój wygląd wyciskał z oczu, rzekł: Biorę pana do referatu. Może pan już nie wracać do Ośrodka. Będzie pan mógł spać tutaj w biurze. Podszedł do biurka i wrócił z połówką mydła, przywiezionego z Londynu. Byłem w siódmym niebie. Moim pierwszym zadaniem miał być nasłuch radiowy, redagowanie komunikatu dla oddziałów dowództwa i świetlicy Ośrodka. Od zaraz, to znaczy debiutowałem tej samej nocy przy aparacie radiowym słuchając ze ściśniętym sercem polskich wiadomości, nadawanych po symbolicznym trzykrotnym stukaniu w hitlerowską twierdzę przez BBC. Odtąd spałem koło pieca na plikach przemówień Stalina, dostarczonych nam przez „agitprop”, których używałem też do rozpalań i podsycań ognia. Sposób, w jaki Strumph-Wojtkiewicz przyjął mnie do referatu był bardzo w jego charakterze — kochał albo nienawidził od pierwszego wejrzenia. Bardzo szybko się przekonałem, że w jego palcu uczuciowej nie było *chiaroscuro*.

Podczas mojego pobytu w Londynie w grudniu 1943 - styczniu 1944 roku miałem możliwość zobaczyć, że jako szef kwatery prasowej oraz korespondentów wojennych przy Ministerstwie Wojny był przez większość nienawidzony i uważany za nieobliczalnego raptusa. Wówczas nie było jeszcze znane określenie „wariackie papiery”, ale Ryszard Kiersnowski i Maciej Feldhuzen już mu w innych słowach je przydzielili. Nie mogli w żaden sposób pojąć, że o nim dobrze mówiłem. Najcięższym wówczas dla nich kamieniem obrazy był osli upór Strumph-Wojtkiewicza abyśmy na naramiennikach nosili naszywkę z napisem *Polish War Correspondent*, choć mieliśmy prawo do *British War Correspondent*. Rzeczywiście mieli świętą rację, bo — jak się później okazało — ułatwiało to pracę dziennikarską na froncie.

Ale wracając do Buzułuku w 1941 roku — Strumph-Wojtkiewicz wydawał się nam wówczas szefem z bajki. Dbał o swoich pracowników. Był służbistą, ale nie za bardzo. Umiał sobie dawać radę ze sztabową biurokracją, świecąc jej w oczy faktem, że przysłany został z Londynu. Choć nigdy nie zbliżył się do nas tak jak Józef Czapski, współpraca z nim układała się jednak przyjemnie. Być może atmosfera sytuacji miała też na niego swój wpływ. Musiał mu się też udzielić surrealistyczny nastrój polskiego wojska, odradzającego się z łachmianiarzy. Oprócz tego polski Buzułuk nie mógł być bardziej odmienny od polskiego Londynu. Tu wszystko było świeże, płynne, za każdym rogiem nowość, przygoda — a tam osiadłe już, zakorzenione, obliczające mieszkaniowe i inne dodatki do pensji, przeżarte plotkami i in-



trygami. Buzułuk wydobywał co było najlepszego w człowieku. Może katalizatorem była obecność oficerów sowieckich z niebieskimi otokami na czapkach, wobec których zachowywaliśmy się nienaturalnie swobodnie. Nie wiem.

Pod kierownictwem Strumph-Wojtkowicza referat oświatyabrał z miejsca większego rozmachu. Miał on w każdej chwili dostęp do gen. Andersa — o czym nie marzył i czego nie próbował Charkiewicz. W ślad za codziennym biuletynem radiowym wydaliśmy po kilku tygodniach pierwszy numer *Orła Białego*. Nazwę wybrał sam Anders. Strumph proponował *Polska walcząca na Wschodzie*. Zespół redakcji składał się z Zosi Hertz, Antoniego Drwęskiego, Zbyszka Racięskiego i mnie. Pierwszy numer ukazał się z racji przybycia generała Sikorskiego do Rosji. W nakładzie 3.000 egzemplarzy wystukanych na prymitywnej pedałówce, na którą nakładało się ręcznie stronę po stronie. Produkcją druki na potrzeby dowództwa i wielkich jednostek. Miała huk roboty. Większość zecerów pochodziła z DOK Grodno, gdzie przed wojną pracowali w drukarni wojskowej. Ale nie mieli doświadczenia jeśli chodzi o skład i druk czasopism. Wyjątkiem był warszawski zecer Mieczysław Utecki w stopniu kaprala, „swój”, warszawski chłopak, mówiący językiem Wiecha, który został moim metrapażem. Mieliśmy zaledwie kilka dni na przygotowanie numeru. Oczywiście wszystko trzeba było składać ręcznie, a trzcionki tekstowe nie były nawet jeszcze rozdzielone w kasztach. Nie mieliśmy kliszy tytułowej. Na szczęście znalazł się zaradny artysta-grafik, który w zwykłej gumie z podeszwy buta wrył misternie znak Orła i tytuł. Pierwszy numer musiał ograniczyć się do czterech stron, ale mimo to stał się *best-seller'em*. Na pierwszą stronę posłał klisza z fotografią Sikorskiego oraz rozkaz Andersa witający Naczelnego Wodza. Odbitki szczerokowe parafował szef sztabu płk Okulicki, który raz nawet odwiedził drukarnię polową, funkcjonującą w parterowym korytarzu. Wydawało się nam wówczas, że Strumph-Wojtkiewicz miał dobre stosunki z gen. Andersem. W pewien sposób byli nawet do siebie podobni. Jeden i drugi był kawalerzystą uwielbiającym kobiety i konie. Znali się z Warszawy.

Przyczyną usunięcia Strumph-Wojtkowicza ze stanowiska szefa *Propagandy* po przeniesieniu dowództwa na południe, do Jangi Julu są do dnia dzisiejszego dla mnie zupełną tajemnicą. Nagle znikł bez pożegnania się z nami. Powiedziano nam, że został odkomenderowany do pułku kawalerii w Dżałabadzcie, gdzie Boruta dowodził kadrą dywizji. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że wrócił do Londynu. Chodziły plotki, że Strumph donosił ambasadorowi Kotowi na Andersa, ale wówczas wydawało mi się to równie absurdalne, jak teraz. W jednej ze swoich

książek Strumph napisał, że postawiono go przed wyborem: Anders czy Sikorski — co jest też czystą fantazją. Zresztą Anders był mu bardziej bliski. Prof. Kota nie znosił, a z *Orła Białego*, który od pierwszego numeru współzawodniczył z wydawanym w ambasadzie przez Ksawerego Pruszyńskiego tygodnikiem, był szalenie dumny. Kiedy w Londynie w 1943/44 roku spytałem go o to, nie umiał albo nie chciał odpowiedzieć. Ani słowem nie wspominał o wersji, którą później podawał w książkach. O Strumphie, jako ofierze andersowców, nie usłyszałem też z ust Halszki Terleckiej, która podążyła w ślad za nim do Anglii\*.

\* Nagłe usunięcie Strumph-Wojtkowicza ze stanowiska szefa *Propagandy* i wysłanie go z ZSSR z 1-szą ewakuacją — spadło na nas — jego współpracowników — zupełnie nieoczekiwanie. Z 1-szą ewakuacją miały wyjechać jedynie załóżki nowych tworzących się dywizji, ludność cywilna gromadząca się wokół wojska i wszystkie tzw. ochotniczki — ze Sztabu wszystkie kobiety z wyjątkiem kilkunastu sióstr ze szpitala, kilku szyfrantek i mnie. (W rezultacie poza nami została jeszcze z naszego biura Misia Bauer, która się jakoś zakamuflowała). Przygotowywaliśmy „pożegnanie” naszych koleżanek, Naty Mianowskiej, Feli Radeckiej i Halszki Terleckiej, które wyjeżdżały. W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że było to także pożegnanie Strumph-Wojtkowicza. Z tego co pamiętam właściwą przyczyną było to, że Strumph, który przyjechał do nas z Londynu, był niewątpliwie wysłannikiem-observedorem jeśli nie samego gen. Sikorskiego, to kogoś wysoko uplasowanego w naszym londyńskim rządzie. Jeżeli nawet po pewnym czasie Strumph związał się z wojskiem w Rosji i był w dobrych stosunkach z gen. Andersem, to na początku na pewno było inaczej: obserwował i pisał raporty. Wiem, że tak było, ponieważ pierwsze dwa czy trzy mnie dyktował. Były to jakby listy — nie wiedziałam do kogo adresowane — ale zorientowałam się w ich bardzo krytykującej nasz sztab treści — odmówiłam dalszego pisania. Muszę przyznać, że Strumph moją odmowę przyjął do wiadomości i nigdy nie usiłował mnie z tego powodu „tępić”. Jest prawie wykluczone, żeby o tych raportach nikt w naszym sztabie nie wiedział (listów nie można było przecież wysyłać normalnie — pocztą) i na pewno nie zapisano tego Strumphowi na plus.

Następnie zaszedł wypadek, który według mnie dał wystarczający powód do usunięcia Strumph przy pierwszej nadarzącej się okazji. Jak wiadomo nie mieliśmy sprzętu niezbędnego do szkolenia żołnierzy, którzy — jak trochę się odżyli — zaczęli się nudzić. Żeby ich jakoś zająć starano się wydstać od Sowietów tzw. sprzęt świetlicowy: papier, ołówki i farby, aby móc wydawać gazetki ściennie, szachy, warcaby itp. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że sprzęt jest w Buzułuku — miał przyjechać cały wagon skrzyń. Te skrzynie przywieziono do naszego biura, otrzymane „skarby” należało podzielić pomiędzy wszystkie oddziały. W skrzyniach było trochę sprzętu, ale o wiele więcej bibuły propagandowej, jakieś broszury wydawane przez Związek Patriotów, stopy *Nowych Widnokręgów* oraz ogromnych placht z przemówieniem Stalina, którymi paliliśmy w żelaznym piecu w braku innego opału i na których spał potem Zdzisław Bau ogromnie się co dzień skarżąc, że mu materaca „ubywa”.

Dzieląc sprzęt świetlicowy pomiędzy oddziały naturalnie nie wysłało się tej „bibuły” żołnierzom — o ile pamiętam miano wysłać po jednym egzemplarzu oficerom oświatowym, żeby wiedzieli jak przeciwdziałać propagandzie. Natomiast pewną, niewielką zresztą, ilość „przemówień Stalina”,



Jest rzeczą wysoce znamiennej, że Klimkowski w swej książce wydanej przez MON w 1959 roku pt. „Byłem adiutantem Andersa” pomija tę sprawę całkowicie. Zastanawiające jest też, że Strumph-Wojtkiewicz — mimo iż znał ode mnie dokładnie sprawę Salusa i projektu brygady kaukaskiej, której nie omieszkalem mu opowiedzieć w Londynie — traktuje Klimkowskiego serio i pozytywnie, podkreślając, że wierność dla Andersa łączył z sojuszem z Rosją, dodając dosłownie: „skończył swoją sztukę cyrkową w więzieniu już na Środkowym Wschodzie, wpakowany tam przez Andersa...”. Znamienne jest też, że obaj — zarówno Klimkowski, jak i Strumph-Wojtkiewicz — obchodzą się bardzo grzecznie ze wszystkimi osobami, które wiedziały więcej, niż się do tego przyznawały. Na przykład o mnie nie ma złego słowa ani u Klimkowskiego, ani u Strumph. Płk. Bąkiewicza, Andrzeja Strońskiego, którzy jeszcze żyli jak się te książki ukazały, traktują w rękawiczkach. Tak samo Racięskiego i Józefa Czapskiego. To wyraźnie coś znaczy. Jakby nie chcieli wywoływać wilka z lasu.

Jeśli chodzi o Strumph-Wojtkiewicza, wiedząc teraz to, czego wówczas nie wiedziałem, przypuszczam że wykończył go Andrzej Stroński albo dlatego, że dzieliła ich jakaś vendetta z polskiego Londynu, albo dlatego, że z jakiegoś powodu chciał się go pozbyć. Posiadał wystarczające wpływy, by wykończyć osobę, co do której generał miał wątpliwości. Unikał natomiast starcia z tymi, których Anders ceniał.

Upadek był dla Strumph-Wojtkiewicza wielkim szokiem psychicznym i ambicyjnym. Przyczynił się do jego uduchowienia. Przekonałem się w Londynie, że była to rana, która się nigdy nie zblizniła. U człowieka takiego jak Strumph-Wojtkiewicz stworzyła kompleks, który w dużym stopniu przynaglił go do powrotu do Polski, gdzie w różnych książkach wspominkowych egzorcyzmował obsesje ostatnich lat. Był więźniem formy. Choć okazywał mi serdeczność, to zawsze utrzymywał się między nami dystans. Nie przestał grać roli starszego kolegi, na co ja odpowiadałem szacunkiem dla wieku i doświadczenia. Jego wyjazd

starannie zmiętych w kulki zużyło się — w braku innego papieru — do upychania skrzynek ze sprzętem wysyłanym do oddziałów. Brałem udział w dzieleniu i pakowaniu. Potem wybuchł skandal. Okazało się że jeden oficer oświatowy (a może było ich więcej?) niezależnie od sprzętu otrzymał także masę tej „propagandy” i zaalarmował Sztab. Było jakieś dochodzenie, byliśmy przepytywane na temat tego co ładowaliśmy do skrzynek, pamiętam także że był w to jakoś włączony pchor. Bulsiewicz, ale naturalnie cała pretensja była do Strumph jako szefa Propagandy, aczkolwiek na pewno nie był winien temu co się stało. Przesyłki wysyłano przecież sowieckimi kolejami i nietrudno było po drodze coś „dorzucić” do transportu. Wiem, że Strumph miał z tego powodu duże kłopoty i właściwie jestem przekonana, że to przypięczętowało jego usunięcie.

Zofia HERTZ

do Polski chyba tego nie zmienił. W jednej ze swych książek, już w okresie kiedy wydawałem *Życie Tygodnia* w Rzymie i byłem na czarnej liście reżymu, dał tego dowód wspominając bardzo kordialnie nasze pierwsze spotkanie w Buzułuku.

Zanim usiadłem do spisywania tych wspomnień, przeczytałem niektóre wypowiedzi płk. Bąkiewicza w relacji Z. S. Siemaszki dla *Zeszytów Historycznych*. Nie nagrywał ich na magnetofonie, nie notował — jak przyznaje. Zrekonstruował je po wielu latach. Ale podziwiam absolutną muzykalność jego ucha, wprost zaskakującą dla kogoś, kto tak znał szefa *dwójki* jak ja. Czytając wypowiedzi Bąkiewicza słyszałem go, widziałem go. Zdania mają jego kadencję, styl, intelektualną arogancję.

Była to fascynująca i tajemnicza postać. Pierwszy raz zobaczyłem go na ulicy w Buzułuku. Szedł z płk. Giełgudem Aksentowiczem, wówczas jeszcze szefem II-go Oddziału. Nie można ich było nie zauważyć. Obaj wyglądali elegancko. Brytyjski mundur leżał na nich lepiej niż na innych wyższych oficerach dowództwa. Wydawali się wówczas nierozłączni. Było to nawet przedmiotem żartów. Razem antyszambrowali w adiutanturze. Miało się wrażenie, że w tej interakcji Bąkiewicz jest cieniem Aksentowicza. Mówiąc językiem piłkarskim — obstawia go. Nie pamiętam już kto wtedy powiedział, że w tym duecie role się szybko zmieniają, bo Bąkiewicz go zje z kosteczkami. O Aksentowiczu nie miano wysokiego pojęcia. Nazywano go „majonezem”, bo w sztabie w Warszawie pełnił rolę dyplomowanego *Maitre* urządzając galowe przyjęcia dla zagranicznych attachés wojskowych. Było coś egzotycznego i groźnego w śniadości Bąkiewicza. Nie podnosił głosu. Nigdy nie słyszałem go krzyczącego. Kiedy był zły — syczał. Posiadał jakąś metafizyczną zdolność, z którą rodzą się dwójkarze, zjawiania się niespodziewanie — jakby wyrastał spod ziemi. Zawsze z wyrazem twarzy, jakby wiedział o czym mówiono. Posiadał też zdolność uzależniania ludzi od swych kolejnych humorów. Silną indywidualnością i szarżą sprawiał, że jego nastrój udzielał się innym, którzy zbliżali się do niego zawsze w pozycji obronnej. Grał różne role. Potrafił być czarujący jako meloman. Pamiętam go zasłuchanego w polonezy, nokturny Chopina, wykonywane w Jangi Julu przez młodzieńckiego wówczas Janka Holcmana. Potrafił być dowcipny i złośliwy — często pod adresem kościanych dziadków sztabowych. Miałem wrażenie, że lubił się zgrywać na „rosyjską duszę”, na dostojewszczyznę. Ale te kolejne nastroje były świadomymi maskami. Jak już powiedziałem, potrafił też być groźny. Wówczas twarz traciła śniadość, głos stawał się sykiem. Był architektem wielu okrutnych głupstw, jak na przykład aresztowania korespondenta wojennego, operatora filmowego Jaszczka we Włoszech, bo



ten w liście do swego kolegi w Piątej Armii Amerykańskiej wymienił nazwę miasta z lotniskiem na odcinku brytyjskiej Osmej.

W transkrypcji Siemaszki zachowała się wiernie wyniosłość i pewność siebie Bąkiewicza. Jak wynika z jego słów, archiwum II-go Oddziału uważał za swoją prywatną własność, z którą może robić co chce i dopuszczać do niej kogo chce. Taki Klimkowski musiał być dla niego otwartą partyturą. Mógł na nim wygrywać co chciał: moderato, allegro grotesco, andante i animato. Mnie też wziął raz na muszkę. Działo się to po oswojeniu Rzymu, do którego jako korespondent wojenny wjechałem z Amerykanami. W gmachu mieszczącym radio włoskie odkryłem opuszczone biuro polskojęzycznej rozgłośni *Wanda*, którą wywiad niemiecki używał dla celów dywersji na Drugi Korpus. Wziąłem tam „do niewoli” walizkę, w której znajdowały się negatywy Leici ze zdjęciami zespołu *Wandy*. Włożyłem je do schowka obok kierownicy łazika, którego wraz z szoferem miałem do dyspozycji z polskiej kwatery prasowej. Następnego dnia na próżno czekałem na mój wehikuł przed hotelem De la Ville nad Piazza di Spagna. W końcu, z wielkim opóźnieniem zjawił się spieszony kierowca i oświadczył, że łazik został skradziony z garażu — wypadki takie często zdarzały się w wojennym Rzymie, gdzie części samochodowe i opony były na wagę złota. Tego samego dnia spotkałem porucznika Fangora z *dwójki*, któremu opowiedziałem o mojej przygodzie i o stracie filmu. Chyba jakiś tydzień później pojechałem do pierwszego rzutu sztabu. Podchodziliśmy pod Ankonę. Rozmawiałem z generałem Andersem przed jego namiotem, kiedy dołączył do nas płk Bąkiewicz. Patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem i w pewnej chwili syknął zwracając się do generała: Powinniśmy zaarrestować korespondenta wojennego Zdzisława Bau'a. Nie było to powiedziane żartem, przekomarzając się. Generał wyjął pipkę z ust i z charakterystycznym dla siebie wyrazem półuwagi — jak gdyby dobrze nie usłyszał — pobłażania i lekkiej irytacji spytał o co chodzi. Nie lubił być zaskakiwany. Bąkiewicz nerwowo wyrzucił z siebie, że nie zabezpieczyłem negatywów *Wandy*. Nie powiedział skąd wiedział, ale od razu połapałem się, że Fangor doniósł. Odpowiedziałem, że jestem korespondentem wojennym Polskiej Agencji Telegraficznej, że należę do kwatery prasowej Ministerstwa Wojny, nie pracuję dla II-go Oddziału i nie mam żadnego obowiązku „zabezpieczania” materiałów dla niego. Zniecierpliwienie na twarzy generała, który Racięskiego i mnie zwykł nazywać „moi chłopcy”, powiedziało płk. Bąkiewiczowi, że nie należy nalegać z tym tematem.

Skąd wiem o tym, że był *sprzęgiem* w Salusie, poruszającym tryby konspiracji? Mam na to absolutny dowód. Wiąże się to

z tą mapą Polski Jagiellonów od Bałtyku po Morze Czarne, o której wspomina w swojej książce Terlecki. Później więcej o niej opowiem, bo był to najbardziej tragikomiczny epizod konspiracji. Wyprodukowałem ją razem ze Zbyszkim Racięskim i st. wachmistrem Zamojskim, głównym maszynistą drukarni polowej, w nocy, na pedałowce, na przyjazd gen. Sikorskiego do Kairu w 1943 roku. Oczywiście na wyraźne polecenie Klimkowskiego, przekazane mi przez mojego szefa, rtm. Czapskiego. O ile pamięć mnie nie zawodzi — 250 egzemplarzy na lśniącym papierze ilustracyjnym. Trwało to prawie całą noc, bo trzeba było nakładać na maszynę dwukrotnie ze względu na czerwony kolor granic Rzeczypospolitej w różnych epokach. Jedną z tych map nieznaną mi ręką podsunęła generałowi Sikorskiemu natychmiast po wylądowaniu w Kairze. Doprowadziło to generała do białej gorączki. Z tego co wiem, to Anders też był zaskoczony i kazał II-mu Oddziałowi wszcząć śledztwo. Byłem w tej sprawie wzywany razem z Racięskim do rotmistrza Cumfta, szefa placówki *dwójki* w Bagdadzie, urzędującego na Waziria, na przeciwko Prasy i Oświaty, Łgaliśmy obaj, że nigdy mapy na oczy nie widzieliśmy. Oglądaliśmy papier pod światło. Dla pucu zastanawialiśmy się nad techniką kliszy. Cumft, którego znałem z Buzułuku, uśmiechał się porozumiewawczo i gorliwie spisywał nasze bajki, które niefrasobliwie podpisaliśmy. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że sympatyczny zresztą Cumft nie robił tego na własną rękę, ale że wykonywał instrukcje Bąkiewicza. Ten wiedział dokładnie jak powstała mapa. Do czegoś mu była potrzebna. Rozpowszechnianie jej w połowie 1943 roku było niewątpliwie politycznym szaleństwem. Została wykorzystana przeciwko nam. Nasz pobyt w Iraku w 1943 roku zbiegł się z apogeum i upadkiem Salusa. Opowiem o tym osobno wraz z epilogiem i próbą wniosków.

(dokończenie nastąpi)

Zdzisław BAU

PRZYPOMINAMY ŻE TERMIN NASYŁANIA ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ MŁODZIEŻOWA ZOSTAŁ PRZESUNIĘTY DO 30 KWIETNIA 1978.



**Wiersze**

Ryszard KRYNICKI

## WYDAWAŁO SIĘ

A już się wydawało, że cała Polska  
nabierze wody w usta

i znowu będzie od morza do morza

Luty 1976

## NIE WYLECZYSZ SIĘ JUŻ Z NIENAWIŚCI

Biedna gazeto, nie wyleczysz się już z nienawiści,  
czy nie lepiej byłoby dla ciebie być psem,  
który chociaż służy  
to jednak sam potrafi leczyć swoje rany  
a jeszcze lepiej lisem, nawet za cenę kalectwa  
wyrrywającego się z potrzasku;

a ty, jeżeli nawet jesteś lisem albo psem,  
to wolisz zapaść w sen, śpiączkę, postępowy paraliż,  
zarazić się wściekliwością, toczyć pianę,  
zarażać inne zwierzęta i ludzi,  
dobijać ofiary  
płaszcząc się przed siepaczami

i najgłębiej ukrywać  
wylizywaną w samotności  
nie gojącą się nigdy ranę prawdy  
jak najwstydlivszą chorobę

## SĄ SŁOWA

Są słowa, które rozrastając się w ustach  
łakną jedynie naszej krwi

## JEŻELI OTWORZYSZ TEN LIST

jeżeli otworzysz ten list,  
który po tak długim czasie  
wreszcie dotarł do ciebie,  
i wypadnie z niego nagle wylupiaсте oko,

to, doprawdy, nie dziw się,  
bo cóż dopiero ja miałbym robić,  
gdybym się chciał dziwić za każdym razem,  
kiedy po skończonej rozmowie  
ze słuchawki wypada (jeszcze ciepłe) ucho  
ciągnąc za sobą całą resztę  
z kowadełkiem

i młoteczkami

## CICHO

Cicho, sza, korniku,

cenzor pisze  
o wolności słowa

## ISTNIEJĄ

Istnieją utajone wojny światowe  
niezauważalne zapalenia płuc i zawały serca



## KAŻDEGO DNIA

Chociaż ja (nic) cię nie obchodzę,  
to ty każdego dnia  
obchodzisz mnie coraz bardziej,

mój niestrudzony radziecki zegarku

## KSIĄŻKI, OBRAZY

Książki, obrazy, naszyjnik z bursztynu,  
mieszkanie, jeśli doczekamy,  
żrenicę nieba i kropelkę rosy,  
tygrysią muszlę, paszport, pamięć,  
ludzką ojczyznę bez armii i granic,  
ślubne obrączki, rozwód, zdjęcia, rękopisy,  
pięć litrów krwi (razem: dziesięć), głód,  
sowę Minerwy  
wszystko możemy utracić,  
wszystkiego nas można pozbawić

poza niepodległymi,  
beziemiennymi słowami,  
jeżeli nawet przez nas tylko przepływały,  
poza słowami, które chociażby  
w martwych językach lodu były zapisane

doczekają się zmartwychwstania

## ODPOWIEDŹ

Po rozmowie z niedoszłym wydawcą  
sam już nie wiem,  
kto jest autorem książki.

(Państwo, papier, wpływy księżycy  
czy jeszcze inne okoliczności?)

Odpowiedź będzie połowiczna:  
autorem mojej książki

jest język polski

1973/75

## PLANETA FANTASMAGORIA

*Czesławowi Miłoszowi*

Przeżyliśmy wojnę — przeżyjemy i pokój:

Co pewien czas wierzyliśmy, że okresy minione  
już się nigdy nie powtórzą  
i zaiste, nie powtarzały się nigdy  
(lecz następowały po sobie),  
bezpowrotnie odeszło dzieciństwo,  
nie chciała wrócić utracona młodość  
i nikt się nie rozliczał  
z naszego roztrwonionego czasu.

Brakowało nam wiary  
i dlatego wierzyliśmy w cokolwiek,  
w każdą fałszywą walkę  
ale nie wierzyliśmy w samotną walkę, bo każdy z nas  
kto ją zaryzykował  
musiał walczyć z żelaznymi cieniami,  
z żelazną watą, która go otaczała,  
pozbawiała tchu, wystawiała na pośmiewisko;  
coraz trudniej nam było się poruszać,  
wata kłamliwych prawd zatykała nasze uszy,  
nawet małe nadzieje stawały się coraz trudniejsze  
do spełnienia  
a im szybciej mogliśmy pokonywać wielkie odległości,  
tym więcej czasu wymagało wzajemne porozumienie,  
im dalej wybiegaliśmy w przyszłość,  
tym bardziej się dłużyła droga od serca do serca,



im więcej wiedzieliśmy o życiu innych ludzi,  
 żywych, umarłych i nienarodzonych,  
 tym mniej poznawaliśmy siebie,  
 środki masowego spazmu  
 bezboleśnie nas oswajały z tragediami współczesnego świata,  
 jeszcze potrafiliśmy się martwić  
 o nasze domowe kwiaty i zwierzęta  
 ale baliśmy się nawet pomyśleć, że małe kraje  
 są poligonami doświadczalnymi dla wielkich mocarstw,  
 głosowaliśmy — milcząc,  
 manifestowaliśmy jedynie wtedy swoją obecność,  
 kiedy nasi amatorzy wygrywali z zawodowcami,  
 wieżowce wtedy trzęsły się od krzyku:  
 zamieniały w niebotyczne barykady,  
 których nikt nie atakował,  
 bo dawno już były zdobyte.

Skąd mogliśmy wiedzieć,  
 że w naszych czasach żyją poeci,  
 (o których istnieniu milczą najemne gazety)  
 skoro i tak nie rozpoznawaliśmy i nienawidziliśmy słów,  
 skoro nawet proste słowa zaczynały kłamać.

Jeżeli byliśmy kobietami,  
 nasze serca zamykały się tym szczelniej,  
 im szerzej otwierały się nasze oczy;  
 jeżeli byliśmy mężczyznami,  
 tym bardziej opadały nam ręce,  
 im wyżej unosiły się nasze przyziemne marzenia,  
 im ściślej zamykały się wokół nas granice naszego języka,  
 tym bardziej nasze języki rozsadały usta.

Tyle razy zaczynaliśmy od podstaw,  
 że straciliśmy grunt pod nogami  
 i nie wiedzieliśmy, czy już mamy prawo  
 umierać za naszą niepewną wiarę,  
 czy przechowywać ją jak płomyk, łyk wody, kęs chleba

na najczarniejszą godzinę

Ryszard KRYNICKI

## Archiwum polityczne

### Rok Cartera i co dalej?

To nieprawda, że zmęczeni despotyczną prezydenturą Nixona, Amerykanie zateśnili za kimś, kto byłby całkowitym jego przebieństwem. Że zapragnęli człowieka o otwartym sercu, przystępnego — ot, takiego pocziwca z kośćmi, który by był zwierciadłem amerykańskiej przeciętności drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Gdyby tak było, w ostatnich wyborach przyniatające zwycięstwo odniósłby Gerard Ford, który był nawet lepszy od owego ideału, albowiem był lekko poniżej przeciętnej. To, że 15 miesięcy temu Ford zwycięstwa nie odniósł, ale był bardzo bliski sukcesu, uprzytamnia nam konfliktowość amerykańskich tęsknot. Chcieli bowiem mieć w Białym Domu prezydenta, w którym wszystko byłoby „w miarę”, ale jednocześnie takiego, którego intelekt, wola i siła decyzji uchroniłyby Amerykę przed wszystkimi wiszącymi nad światem niebezpieczeństwami. Innymi słowy, miał to być człowiek, który nie wychylił się z uświęconych tradycją demokratyczno-republikańskich norm, ale skrojony będzie na miarę wymagań epoki. Marzenie absurdalne, bo takiego przywódcy nie wyda ani amerykańska demokracja ani w ogóle żaden system. Konfliktowy charakter amerykańskich tęsknot, który ogniskuje w sobie jak w soczewce nie-realną postać amerykańskiego „lidera-nie-lidera”, wynika z tego czego Amerykanie chcą, czego nie chcą, a przede wszystkim czego się lękają.

Amerykanie chcą żyć wygodnie i dostatnio, ale bez ryzyka. Chcą mieć poddostatkiem taniej benzyny i taniej elektryczności, ale boją się jak piekła elektrowni atomowych, bo może się zdarzyć wypadek. Nie chcą wrócić do węgla, bo węgiel zanieczyszcza powietrze. Nie chcą ograniczyć spożycia energii — bo oznaczałoby to obniżenie ich standardu życiowego. Jeśli u wybrzeży jakiegoś stanu rozpoczyna się wiercenie w poszukiwaniu ropy,



niezwłocznie mobilizuje się miejscową opinię, która organizuje protesty. Nie żeby w ogóle nie wiercić i nie szukać ropy, ale żeby nie robić tego u nich. Biali Amerykanie — zwłaszcza ci zamożni — chcą być dobrzy dla swych czarnych i portorykańskich współobywateli, ale wolą mieszkać od nich z daleka na eleganckich przedmieściach. Chcą spacerować bezpiecznie po ulicach wielkich miast, ale serca ich są zbyt czułe, by surowo karać przestępców. Chcieliby, żeby dzieci, uczęszczające do szkół, umiały dobrze czytać i pisać, ale nie są w stanie wprowadzić dyscypliny i rygorów szkolnych, które by gwarantowały minimum kwalifikacji dydaktyczno-naukowych i chroniły zarówno nauczycieli jak i uczącą się młodzież przed zbrodnią i gwałtem<sup>1</sup>. Chcą odrestaurować zniszczone i spalone dzielnice Nowego Jorku, ale boją się ujawnić przyczyny upadku tego jeszcze nie tak dawno przyjemnego i bezpiecznego miasta. Zamiast wypowiedzieć na głos publiczną tajemnicę, że do tego stanu doprowadziła miasto ta część ludności, która wywodzi się w przytłaczającej większości spośród Czarnych i Portorykanów, źle przystosowanych do życia w cywilizowanych społeczeństwach Zachodu, zaciąga się nad tym zjawiskiem kurtynę milczenia. Atmosfera kłamstwa i zalegalizowanej obłudy, która towarzyszy pewnej sferze amerykańskiej rzeczywistości, niewiele się chyba różni od zakłamania panującego w Sowietach. Tylko tam strażnikiem oficjalnego kłamstwa jest Partia i biurokracja, a w Stanach — sama publiczność, która poddaje się nie nakazom, ale wpływowi elity umysłowej tego kraju. W Sowietach kłamstwo jest totalitarne i urzędowe. W Stanach — demokratyczne.

Ameryka od czasów Johnsona schodzi szybko ze sceny jako państwo imperialistyczne, a zarazem jedyne na świecie mocarstwo, które mogłoby zagrozić Sowietom. Jeśli właśnie w tym okresie ZSSR rozwinął do niebywałych rozmiarów swą potęgę militarną na lądzie i oceanach i jeśli jednocześnie — wiedząc, że nikt go pierwszy nie zaatakuję — rozbudowuje sieć swych schronów przeciwatomowych, to może czynić to tylko w jednym celu —

1. Ostatnio zwolniono w szkołach nowojorskich siedmiu dyrektorów szkół elementarnych z powodu analfabetyzmu. Jednocześnie, jak ujawniły statystyki, liczba ataków na nauczycieli i gwałtów dokonanych na nauczycielkach przez ich pupilków wzrosła w ostatnim kwartale 1977 roku sześciokrotnie. „Szkoły są niebezpieczniejsze od ulic nowojorskich” — poinformowała publiczność prasa i zdaje się, że ma rację. Jeśli jednak w szkołach uczą głównie bandytyzmu — to po co do nich wysyłać dzieci? Publiczne nauczanie staje się w wielkich miastach Ameryki coraz większą fikcją. Wyciągając z tego wnioski zamożniejsi, wysyłając dzieci do szkół prywatnych. Te — chociaż kosztowne — mają tę zaletę, że niesubsydiowane przez państwo, mogą angażować nauczycieli nie według klucza rasowo-etnicznego, co gwarantuje wyższe kwalifikacje personelu nauczycielskiego i należyty poziom nauczania.

nie obronnym. W tym stanie rzeczy, choć amerykańskie *mass media* czynią wiele, aby tę prawdę przyćmić, sądzę, że te niepokojące fakty utorowały sobie drogę nawet do najbardziej odpornych na rzeczywistość amerykańskich mózgów. Dlaczego Amerykanie w swojej długiej litanii niewykonalnych tęsknot pragną jeszcze jednego, co nas Polaków najbardziej obchodzi: chcą być wolni od rosyjskiego ekspansjonizmu, ale nie uczynią niczego, co by groziło im cieniem konfrontacji z sowieckim imperium.

Roczny spektakl prezydencki Cartera najwłaściwiej jest rozszyfrować na tle owych konfliktowych pragnień i absurdalnych mitów, w których pogrążona jest społeczność amerykańska. Po kapitulankach posunięciach Forda, Kissingera i Sonnenfeldta, słynnego ze swej doktryny „organicznego związania” narodów Europy Wschodniej z Sowietami, początkowe deklaracje Cartera brzmiały niezwykle śmiało. Nie oznaczało to bynajmniej, że miały one szczególnie cieszyć Polaków. Przeciwnie — nie ma nic gorszego jak polityczne czeki bez pokrycia. Płaci za nie, i to bardzo drogo, nie wystawca, ale łatwowierny odbiorca. Chodziło tutaj o coś innego. O ile Nixon, Ford i Kissinger próbowali zadekretować jak się powinni zachowywać Polacy, Węgrzy, Czesi i Ukraińcy, by nie narażać bezpieczeństwa Ameryki poprzez tworzenie ognisk zapalnych we Wschodniej Europie, o tyle Carter dawał nadzieje większego w tej materii liberalizmu. Można więc było sądzić, że gdy poprzednicy Cartera, ich doradcy i sekretarze stanu żyli w cieniu widma nadchodzącej katastrofy, którą można odwlec jedynie wszelkimi możliwymi koncesjami wobec Wielkiego Brata, obecny prezydent obawia się Moskwy znacznie mniej. Wkrótce jednak okazało się, że wcale tak nie jest. Że boi się jej tak samo. Nie sam osobiście, ale jako dobry prezydent w imieniu narodu amerykańskiego, przy czym troszkę inaczej niż pp. Kissinger i Sonnenfeldt. Ale to pewno dlatego, że się owego panicznego strachu wstydzi. Również w imieniu narodu. Z powodu tej właśnie, nieco dwuznacznej, sytuacji zdarzało się Carterowi powiedzieć czasem coś buńczucznego. Kiedyś, już dawno, napomknął, że są tacy, którzy „lękają się nawet kichnięcia Breżniewa”. Uczyniło to pozytywne wrażenie na tych, którzy ciągle wzdychają, żeby się wreszcie w tej Ameryce coś odmieniło. Najmniejsze wrażenie zrobiło to chyba na Breżniewie, który wkrótce potem zachorował na gripę. Pewno by się z tej grypy nigdy nie wygrzebał, gdyby zamiast darzyć opinię prezydenckimi żartami, cofnięto Sowietom dostawy zboża lub zastosowano inne dotkliwe sankcje gospodarcze. Ale tego Carter nie robi, bo nie chce doprowadzić moskiewskiego Politbiura do gniewu co mogłoby, w jego przekonaniu, pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. W tych warunkach warto się zastanowić jaką



praktyczną wartość mogło mieć dla narodów Europy Wschodniej propagowanie praw obywatelskich przez Cartera? Sądzą, że nie miało żadnej. Ci Polacy, Czesi, Litwini i Ukraińcy, którym sprawa swobód demokratycznych i niezawisłość od Sowietów leży na sercu, zdołali już dojrzeć w swoim sceptycyzmie. Skoro wiedzą, że w przeszłości deptano nie żadne tam wiszące w obłokach hasła ale najsolenniejsze zobowiązania, gwarancje i przyrzeczenia — to jaki efekt mogą mieć apele sympatycznego kandydata z Białego Domu? Zwłaszcza, gdy ów człowiek dobrej woli ulega całemu złożonemu splotowi presji, osobistych zobowiązań, wyborczych obietnic i sprzecznych interesów, na które składa się prezydencki żywot. Bo choć Carter różni się od swych poprzedników, niestety nie jest skrojony na miarę odpowiadającą wymaganiom epoki.

Ponieważ ma w swoim kraju 20 milionów czarnych współobywateli, musi wyzwać Czarnych w Południowej Rodezji i Południowej Afryce, żeby tamtym powodziło się tak, jak powodzi się ich braciom w Ghanie, Angoli, Tanzanii, Zaire, Mali i kilkunastu innych niepodległych republikach i w jednym cesarstwie. Tam wprawdzie czarni mieszkańcy przymierają głodem, ale za to biorą baty od takich samych kolorem skóry jak oni. Jeśli on tego nie robi, to „wyzwola” ich Rosjanie. Oznacza to, że zostaną tam na zawsze i zablokują szlaki oceaniczne Ameryki i Europy Zachodniej, co zresztą jest ich głównym celem.

Ponieważ Carter ma w swoim kraju potężną i wpływową opinię żydowską, musi bronić Izraela, ale nie może się w tej sprawie zanadto angażować, bo Arabami mogą się znów „zaopiekować” Sowiety jak to zresztą częściowo jeszcze czynią. Raz czy dwa Sowiety na tej opiece boleśnie się sparzyły, ale ponieważ wysłannicy Kremla są wyjątkowo gruboskórni, więc na pewno próbować będą dalej. Z tego powodu do jednej z najważniejszych spraw urosła kwestia samostanowienia Palestyńczyków. W ONZ nie ma sprawy Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Estończyków, Litwinów, Łotyszów i kilkunastu innych narodów, bo przecież te narody mają „swoje państwa” i „stanowią” o sobie. Może więc Bliski Wschód ma taryfę „najwyższego uprzywilejowania”? Ale chyba nie, bo nigdy np. sprawa Kurdów nie stała się taką, jak sprawa Palestyńczyków. Chociaż Kurdów jest więcej i przez lata walczyli bohatercko o autonomię w granicach Iraku bez rzucania bomb i granatów na szkoły i supermakety w Bagdadzie<sup>2</sup>.

2. Póki Kissinger i szach Reza Pahlawi nie doszli wspólnie do wniosku, że nie należy im więcej udzielać pomocy, ponieważ autonomia kurdyjska nikomu nie jest potrzebna prócz Kurdów, co stanowi zupełnie niewystarczającą rację polityczną.

Opinia amerykańska — nie tylko w żydowskiej grupie etnicznej — na pewno sprzyja bardziej Izraelowi niż Palestyńczykom. Przyczyn jest wiele. Między innymi i ta, że celem PLO, głównego orędownika niepodległości palestyńskiej, jest zniszczenie Izraela. Niestety, te sympatie amerykańskiej publiczności nie są dla niego żadną ochroną. Albowiem przyjazne uczucia dla jakiegoś obcego narodu nie zrównoważą strachu przed konfrontacją z Sowietami. Dlatego Carter, gdyby nie był pod nieustanną presją żydowskiego *lobby*, nie zawałałby się od dawna iść na wszelkie ustępstwa wobec Arabów, łącznie z utworzeniem państwa palestyńskiego. Wymazanie Izraela z mapy świata byłoby w jego przekonaniu usunięciem gruntu spod nóg Sowietów i zlikwidowaniem napięcia na Bliskim Wschodzie. Konfrontacja z Rosją, której Ameryka lęka się w ogóle jak ognia, byłaby w tej części świata szczególnie trudna i ryzykowna. Nie tylko z uwagi na dystans, ale i sąsiedztwo źródeł naftowych, z których korzysta USA, ale głównie i przede wszystkim Europa Zachodnia.

Stąd nauka dla Polaków. Przed całkowitym pozostawieniem Izraela jego losowi i rzuceniem go na łup Sowietów i ich arabskich klientów nie chroni go platoniczna sympatia amerykańskiej opinii. Chroni go potężna żydowska *lobby*. Polacy, Czesi, Ukraińcy czy Węgrzy żadnego podobnego *lobby* nie mają i nigdy mieć nie będą. W dodatku ich polityczna sytuacja — niezależnie od położenia geograficznego — jest całkowitym odwróceniem sytuacji Izraela. Tam chodzi o utrzymanie niezależnego państwa podczas gdy w Europie Wschodniej — o przywrócenie narodom niezależnego bytu. Ruch protestacyjny w Polsce istnieje i rozwijać się będzie nadal ale to czy Carter będzie ganił przywódców komunistycznych za lekceważenie praw obywatelskich czy też — jak w Warszawie — prawić im dusery, wyrażając radość, że w PRL panuje „pluralizm”, bo ludziom wolno chodzić do kościoła — nie powinno mieć żadnego wpływu na rozwój opozycji w Polsce. USA może stać się aktywnym sprzymierzeńcem Polski tylko w jednym wypadku: gdy nad Stanami Zjednoczonymi lub ich zachodnimi aliantami zawiśnie bezpośrednie niebezpieczeństwo. Tylko i tylko wówczas możemy być sobie *wzajemnie* potrzebni. Reszta jest marzeniem.

Wszelako los Ameryki — nawet tej, jaka ona jest w tej chwili — nie może być obojętny dla przyszłości świata i Polski. To, że Stany Zjednoczone drugiej połowy lat siedemdziesiątych są psychicznie niezdolne do zahamowania ekspansji sowieckiej, nie przesądza przyszłości i możliwych przemian. „Rozmiękcza” i ostrożna strategia Sowietów, unikających zbyt drastycznych posunięć, jest znana i nie wymaga dalszych komentarzy. Ale nawet i ta polityka na skutek niecierpliwości niektórych



sowieckich marszałków lub tych członków Politbiura, którzy chcieliby ujrzyć jakiś większy sukces komunizmu jeszcze za swego życia, może się zmienić. Bez względu bowiem na to jak głęboko drąży Amerykanów defetyzm i paniczna obawa przed konfrontacją, wydaje się że próba podporządkowania sobie przez Sowiety Europy Zachodniej, nawet bez otwartej agresji, zabrzmiałaby jednak w najbardziej nieczułych uszach jak dzwon alarmowy. A do tego może dojść w wypadku, gdyby Sowietom poprzez ich zamorskie imprezy udało się opanować drogi morskie i zagrozić Europie odcięciem od dostaw ropy. Obecne zaangażowanie się Sowietów w Abisynii i plany jakie mają wobec Dżibuti i Somali mają zapewne to właśnie na celu. Możliwość zaryglowania cieśniny Bab el Mandeb, nawet przy wolnym przejściu do zatoki perskiej, będzie kolosalnym atutem Sowietów. Jeśli im się to uda, wyłożą wówczas swoje karty wobec przerażonych europejskich sojuszników NATO.

Przez długie lata Amerykanie żyli w spokoju o bezpieczeństwo własne i Europy Zachodniej w oparciu o tezę Kennedy'ego, że najlepszą obroną przed atakiem nuklearnym jest nie budowa kosztownych schronów, ale środki odwetowe. Te, dzięki przewadze technologicznej Stanów, zawsze zapewnią im możliwość drugiego uderzenia. Była to tak zwana równowaga strachu. Obecnie równowaga strachu przestała istnieć z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Ameryka przyczyniła się sama do postępu technologicznego Rosji. Po drugie dlatego, że w związku z tym Rosja boi się mniej od Ameryki demograficznych następstw wojny. Nie wojny w ogóle, ale tych jej skutków, które dotyczą strat ludności. Ktoś może uznać, że straty w ludziach są największą klęską, jakie niesie ze sobą wojna. Możliwe — ale nie dla Sowietów<sup>3</sup>. Z tego właśnie powodu Kreml może poinformować swych obywateli, że przyszła wojna zwycięska (i oczywiście obronna) może kosztować życie 50 milionów, natomiast żadnemu prezydentowi Stanów podobny komunikat nie mógłby przejść przez gardło. Chyba, żeby miał służyć uzasadnieniu kapitulacji. Klasyfikacja i szacunek strat w wypadku ewentualnej wojny przebiega bowiem inaczej w Moskwie i Waszyngtonie. Inna jest geografia strachu. Z tego jednak nie wynika, że Sowiety boją się mniej wojny od Stanów. Relatywne lekceważenie strat ludzkich przez Moskwę może być wprawdzie traktowane jako atut w planowaniu przyszłego zbrojnego starcia. Z drugiej jednak strony atut ten zredukowany jest inną obawą

3. Ani dla Chin Ludowych, że przypomnę tu słynne stwierdzenie Czou En Laia z wczesnych lat sześćdziesiątych, gdy oświadczył, że dla ChRL wojna może być zwycięska nawet przy 300 milionach zabitych, bo i tak zostanie jeszcze drugie 300 milionów.

— o los imperium czyli po prostu mówiąc władzy. W jej zachowaniu zainteresowanych jest personalnie co najmniej kilka milionów ludzi. Są to górne warstwy partyjno-rządowe wszystkich sowieckich republik i kilku KDL'ów<sup>4</sup>. Ludzie ci zdają sobie sprawę ze słabości systemu, w którym rządzą. Wiedzą dokładnie to, z czego nie zdaje sobie sprawy Zachód urzeczony potęgą militarną Sowietów. Nie mają wątpliwości, że jeśli ich przeciwnik nie zostanie zdruzgotany w ciągu kilkunastu dni, imperium zacznie pękać w szwach a wewnętrzne napięcia narodowościowe i społeczne zaczną rozsadać cały obóz. Cokolwiek by opowiadano na temat bohaterstwa żołnierzy sowieckich w czasie Drugiej Wojny Światowej, nikt nie zapomni prawdy o pierwszych tygodniach wojny. A prawda była taka, że nie tylko miliony sowieckich żołnierzy szły do niewoli bez wystrzału, ale że mieszkańcy wsi miast i osiedli Białorusi i Ukrainy witali wkraczających żołnierzy Trzeciej Rzeszy kwiatami. Hitlerowcy byli dla nich wybawicielami przed komunistyczną niewolą. Dopiero po dwóch miesiącach, gdy masowe mordy, dokonywane przez Niemców na ludności cywilnej i żołnierzach sowieckich wziętych do niewoli, osiągnęły niespotkane rozmiary, obywatele sowieccy uznali, że nie mają wyboru. Bezprzykładne barbarzyństwo Hitlera stało się głównym sprzymierzeńcem Sowietów. Bez niego nie byłoby żadnej „ojczyźnianej wojny”. O tym wszystkim wiedzą aparatczycy w Moskwie i innych stolicach republik. Nie wiedzą albo po prostu zapomnieli o nim „politolodzy” i „sowietolodzy” amerykańscy. Znając słabość i obezwładnienie Zachodu, nie dostrzegają słabości przeciwnika.

Obecne Sowiety — to już nie państwo zamieszkałe przez ludność skamieniałą ze strachu. Żeby doprowadzić obywateli sowieckich do takiego stanu, trzeba było wytrzebić 20 milionów mieszkańców i kraj pokryć obozami. Trudno sobie wyobrazić, żeby te czasy mogły wrócić. Nie ma w tej chwili w Sowietach ludzi którzy, jak za Stalina, bardziej lękają się NKWD niż głodu. Nie mam najmniejszej ochoty przeceniać roli dysydentów. Przeciwnie, sądzę, że nie potrafili stworzyć żadnej głębszej bazy społecznej. Ale z nimi czy bez nich społeczeństwo sowieckie zmieniło się. Ci najzwyczajsi obywatele sowieccy, którzy, być może, nigdy nie słyszeli ani o Sołżenicynie ani o Sacharowie mają dość odwagi, by głośno wyrzekać na braki w zaopatrzeniu w Moskwie lub pustki w sklepach na prowincji. Nie wahają się oskarżać władze o bezceremonialne lekceważenie bezpieczeń-

4. Nie ryzykowałbym włączenia do nich PRL'u, ale sądzę, że bez błędu zaliczyć do nich można Bułgarię, Czechosłowację i NRD.



stwa pracy. Nie intelektualści — desperaci — ale zwykli robotnicy zapraszają do swych mieszkań dziennikarzy amerykańskich, by opowiadać im o swym położeniu<sup>5</sup>. Protesty robotnicze są nieskoordynowane i daleko im jeszcze do charakteru masowego. Jeśli jednak zestawimy ruch dysydentów z ujawniającymi się coraz śmielej objawami niezadowolenia robotników i tendencjami odśrodkowymi narodów ZSSR, opierających się rusyfikacji, uzyskamy zgoła odmienny wizerunek Związku Sowieckiego od tego — sprzed dwudziestu laty. To nie są już te same masy, które pokornie przyjmowały ewangelię kłamstwa i absurdu. Jest to już naród, podminowany niepokojem.

Z tym wszystkim nie należy popadać w nadmierny optymizm. W Sowietach nie ma jeszcze zaczątków zorganizowanego masowego ruchu politycznego, skierowanego przeciw ustrojowi. Nie można bowiem za taki uważać protestów dysydentów. Wciąż jeszcze brak jest jakiegokolwiek więzi i wspólnego języka pomiędzy dwoma nurtami. Ten pierwszy — wśród intelektualistów — jest świadomy swych celów, ale wciąż izolowany. Ten drugi — wśród robotników — jest żywiołowy i dotyczy wyłącznie spraw ekonomicznych. W przeciwieństwie do PRL nie przybrał dotychczas nigdzie form nawet lokalnych eksplozji. Niemniej, przy całej swej niedojrzałości, obecny stan w jakim znajduje się ZSSR, dojrzał do tego, aby Zachód zdecydował się na mniej lękliwą niż dotychczas politykę wobec „potencjalnego adwersarza”.

◆

Ta nowa polityka nie musi być bynajmniej czymś „nowym”. Przeciwnie, należy powrócić do pewnych posunięć z okresu tzw. „zimnej wojny”, która uchodzi za całkowicie skompromitowaną metodę regulowania stosunków z ZSSR. Rzeczywiście, „zimna wojna” przyniosła fiasco. Zmiany, które nastąpiły w Sowietach, były wynikiem wewnętrznych procesów, a nie rezultatem zewnętrznych presji. Ale stało się to dlatego, ponieważ strategię „zimnej wojny” zaaplikowano w niewłaściwym czasie i wobec wybitnie niepodatnego na jej zabiegi przeciwnika. Albowiem Sowiety stalinowskie, z ich obręczą terroru i szczelną kurtyną izolacji, były całkowicie zabezpieczone przed jakąkolwiek ofensywą propagandową i kwarantanną ekonomiczną. Obecnie sytuacja uległa daleko idącym zmianom. Sowiecka publiczność nie jest już ani tak izolowana od świata ani tak przerażona jak dwadzieścia kilka lat temu. Potencjalnie jest całkowicie dojrzałym obiektem do pokojowej ofensywy Zachodu. Jest już powszechną i niemal do znudzenia powtarzaną prawdą, że każda tona zboża, której Ameryka lub Kanada odmówi Moskwie, „zmiękczy” wy-

5. Por. *Kultura*, styczeń-luty 1978, str. 170.

datnie jej stanowisko. Z tej prostej przyczyny, że o ile Stalin mógł odmówić chleba swym poddanym, Breżniew — nie odważy się już tego zrobić. Obywatele sowieccy godzą się jeszcze by cierpieć niedostatek, ale nie zgodzą się, by znosić głód. Krótko mówiąc, strategia „zimnej wojny” — która okazała się tak zawodna w okresie stalinizmu — nadaje się jako niezmiernie skuteczny instrument postępowania wobec Sowietów obecnie. Właśnie dlatego jest Moskwa taką gorącą entuzjastką *détente*. Teraz — gdy jest militarnie silna, a przestała być stalinowskim monolitem.

Bezpowna likwidacja stalinowskiego terroru jest potężnym atutem Zachodu. Zaś przy trwającej wciąż obawie przed konfrontacją z Sowietami — jest to chyba atut najważniejszy. Należy go umiejętnie wykorzystać. Politycy zachodni — ci najbardziej zatrwożeni potęgą sowiecką, powinni rozpoznać widma straszące władców Kremla. Są nimi narody ZSSR. Będą one tak długo poddawać się rygorom i dyscyplinie Partii, póki gmach imperium pozostaje nienaruszony. Pierwsze pęknięcie spowoduje reakcję łańcuchową o nieobliczalnych skutkach. Nie będzie wówczas nawet czasu, aby na Wschodzie ogołocić granicę chińską, a Zachodu sprowadzić dywizje z NRD dla spacyfikowania 260 milionów zbuntowanych obywateli.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 23 stycznia 1978 r.

## Widziane z Brukseli i z... Warszawy

### TRZY LISTY

List pierwszy: służbowy, do redaktora „Kultury”

Panie Redaktorze,

W trakcie jednej z niedawnych dyskusji, mój oponent (domyśla się pan z jakiego obozu) stwierdził, że moje pisanie i gaworzenie



o prawach człowieka jest zwyczajną demagogią, albowiem trzy są tylko podstawowe prawa, stanowiące o prawdziwej wolności: prawo do odżywiania się, prawo do opieki zdrowotnej i prawo do nauki. Państwa socjalistyczne zapewniają te trzy prawa swym obywatelom, co wymownie stanowi o wyższości ich ustroju nad wszelkim innym. Odpowiedziałem na to, tym razem rzeczywiście demagogicznie, że lokator każdego więzienia jest odżywiany, ma opiekę lekarską i uczy się często zawodu, a kilku potrafiło nawet ukończyć za kratami studia wyższe. Dłaczegóż więc, dodałem także demagogicznie, skoro te trzy podstawowe prawa gwarantują im prawdziwą wolność, to ich beneficjenci marzą wyłącznie o wydostaniu się z więzienia...

Otóż, przypomniałem sobie tę „dyskusję” polegającą na zasadniczym pomieszeniu pojęć, kiedy jak wszyscy, którzy interesują się miejscem Polski w polityce międzynarodowej, śledziłem (Pan także zapewne), przebieg wizyty prezydenta Cartera w Warszawie. Śledzenie takie nie jest zajęciem łatwym, nawet amerykański prezydent w pewnych okolicznościach ulega autocenzurze, trzeba czytać czy słuchać między liniami, wielu rzeczy trzeba się domyślać, krótko mówiąc, nie wystarczy kupić *Trybunę Ludu* czy nawet *Le Monde* aby wszystkiego się dowiedzieć, a tym bardziej wszystko zrozumieć. W tych warunkach komentator zachowuje dość daleko posuniętą ostrożność, przedłuża do granic konkurencyjnej wytrzymałości i zawodowego prestiżu czas potrzebny do namysłu. Przeształem jednak się namyślać, kiedy ku mojemu bezgranicznemu zdumieniu, z ust amerykańskiego prezydenta przemawiającego na bankiecie w Warszawie usłyszałem, że on, Jimmy Carter oraz Edward Gierk są już „bliskimi przyjaciółmi...”. Jak to, wykrzyknąłem, bruderszaft na szczycie tak od razu, po kilku godzinach znajomości? Wykluczone, odpowiedziałem sam sobie, to wpływ wódki wyborowej, albo po prostu pusta formułka, banał, konwenans, skutek kafkowskiej, szczytowej atmosfery, albo może, już tradycyjnie, skutek złego tłumaczenia. Ale natychmiast wszystko stało się jasne. Carter mówił poważnie. Dodał nawet, że w ciągu tych kilku godzin nauczył się od Gierka wielu rzeczy, które postara się zastosować w USA. Sprawa zasługuje więc na uwagę. Tak się zresztą złożyło, że w moim ostatnim „liście noworocznym” (wysłałem także do Pana, ale nie mam potwierdzenia odbioru) zastanawiałem się właśnie nad pojęciem przyjaźni i nad różnicami w odbiorze tego pojęcia na Wschodzie i na Zachodzie. Pisałem, że przyjaźń jest na Zachodzie pojęciem mało precyzyjnym i wyraziłem przypuszczenie, że kto nie przeszedł przez „samotność w tłumie” systemu totalitarnego, kto nigdy nie odczuł wagi „czystwa łokcia”, kto nie przeżył rozczarowania izolacji w okresie anatemy i radości na widok ludzi, którzy tę izolację z zewnątrz łamali, ten nie zna życia... Otóż prezydent USA tego wszystkiego nie zna, stąd lekkie pomieszenie pojęć i nieco lekkomyślne i nieprawidłowe zastosowanie pojęcia „przyjaźń” do powierzchownej i wyłącznie koniunkturalnej krótkiej znajomości z Edwardem Gierkiem. Nie

byłem zresztą jedynym obserwatorem zaskoczonym wyznaniem Cartera. Minister spraw zagranicznych PRL musiał natychmiast po pożegnaniu Cartera wylecieć do Moskwy aby wytłumaczyć na Kremlu, że zwrot o przyjaźni nie ma żadnego uzasadnienia faktycznego i że prezydenta USA poniosła swawola, nieznajomość języka i nieznajomość realiów.

I wtedy zrozumiałem, że nie wystarczy, iż Kreml zna już prawdę. Przecież Carter ciągle tkwi w nieporozumieniu, a to może być niebezpieczne dla pokoju światowego. Korzystając z okazji, jaką był pobyt Cartera w Brukseli, na zakończenie jego *tournée* rozpoczętego właśnie w Warszawie, postanowiłem napisać do niego list otwarty, który wydrukowałem w piśmie codziennym *Le Soir*. Jasne, świadom byłem, że w takim uzurpowaniu sobie prawa przemawiania w imieniu nieokreślonej grupy ludzi, bez konsultacji czy próby porozumienia, tkwi zawsze pewne ryzyko, można przecież zostać zlekceważonym przez adresata i zdezawuowanym przez „nadawców”. Ale, gra wydała się warta świeczki... Nie wiem, czy Carter list od razu na miejscu przeczytał, raczej chyba wątpię, w każdym razie nikogo tu w Brukseli nie nazwał swoim przyjacielem, niczego się tu nie nauczył, niczego nie będzie stosował u siebie, i to mimo, że dzieje się tu sporo ciekawych rzeczy i że ludzi tu spotkanych zna dawniej i lepiej niż Edwarda Gierka.

I na tym można by całą opowieść zakończyć, gdyby nie ciąg dalszy napisany przez moich, tym razem, naprawdę dobrych przyjaciół i nie mniej prawdziwych nieprzyjaciół. Mam mianowicie powody aby sądzić, że list otwarty doszedł do otoczenia adresata i że nie poszedł od razu do kosza. Mam również dane aby sądzić, że list nie spodobał się w niektórych innych środowiskach, np. w Warszawie, które w odpowiedzi na list nie do nich adresowany, podjęły kolejną kampanię denuncjującą moją krwawą przeszłość stalinowskiego satrapy. Ale przede wszystkim zaważył na decyzji ujawnienia całego *dossier* list jaki dostałem od jednego z warszawskich moich przyjaciół. Ten list prywatny na temat mojego listu otwartego w jego rzeczowych częściach (bez ujawnienia szczegółów mogących zidentyfikować osobę nadawcy) dołączam do mojego listu służbowego. Teraz już wszystko jest jasne. Dzisiejszy felieton składa się z trzech listów. Pierwszy właśnie kończę, załączając najlepsze życzenia oraz dwa pozostałe listy, naturalnie po skrótach i po niezbędnych adaptacjach.

Pański

BRUKSELCZYK

6 lutego 1978.

List drugi: prywatny, do Brukselczyka

Mój drogi,

Dotarł właśnie do nas (tą samą co zawsze drogą, całkowicie



skuteczną i absolutnie pewną) wycinek z *Soir* z twoim listem otwartym do Cartera. Mimo, iż widać na nim ślady pośpiechu, pływiczny gazetowy, nieprecyzyjną selekcję w doborze szczegółów, był to w sumie dobry pomysł. Byliśmy tu w Warszawie na zmianę rozbawieni albo wściekli (tym bardziej, że bezsilni) wobec niektórych deklaracji Cartera, m.in. na temat jego *coup de foudre*, tzn. błyskawicznej przyjaźni z Gierkiem lub na temat zbieżności poglądów w odniesieniu do zagadnienia praw człowieka. Niemniej uważamy iż wizyta była tak ogromnym wydarzeniem (w naszej skali naturalnie), że trudno jest dziś na gorąco przewidzieć cały jej „opad”, ten np. że stosunki amerykańsko-polskie (także w sferze gospodarczej) pozostaną już chyba trwale zamarkowane przez pewne akcenty liberalizmu i tolerancji ze strony władz PRL wobec tych, których wy zwykliście, nietrafnie zresztą, nazywać dysydentami. Bardziej niż wściekli byliśmy jednak zażenowani polityką władz, które postanowiły przy użyciu milicji i UB odciąć Cartera od społeczeństwa, nie pozwolić aby mógł on odnieść wrażenie, iż więcej ma przyjaciół w narodzie polskim niż w Biurze politycznym. Była to próba prosto z Kafki i Orwella, jak bowiem wytłumaczyć, że dziatwa szkolna i masy pracujące entuzjastycznie i spontanicznie wymachują proporczykami i witają np. Honeckera, którego otacza w Warszawie całkowita niechęć i odraza, nie ma natomiast tłumów — jeżeli nie liczyc tłumów tajniaków — aby przywitać zawsze popularnego u nas prezydenta USA (wszystko jedno jakiego), no i Brzezińskiego, Polaka, który doszedł do jednego z najpoważniejszych stanowisk na świecie i którego bardzo nie lubią na Kremlu, co, jak ci wiadomo, wzmaga jedynie sympatię do niego w Warszawie.

Obawiamy się również, że sami Amerykanie nie zdają sobie sprawy z wymiarów tej wizyty, ze znaczenia bezprecedensowej konferencji prasowej Cartera w warszawskim hotelu i spotkania jego żony i Brzezińskiego z Kardynałem. Potwierdzenie naszych obaw dotarło do nas wraz z pierwszymi ehami prasowymi. Mniejsza o nieporozumienia wynikające z ignorancji niektórych twoich amerykańskich kolegów, gorzej, że wszyscy wydają się zafascynowani komedią omyłek tłumacza (czy możesz, *by the way*, wytłumaczyć nam jak to jest możliwe, że Biały Dom nie był w stanie za 150 dolarów dziennie znaleźć w USA ani jednego osobnika znającego biegle język polski?\*...). Otóż, zależało nam

\* Nie, nie mogę tego wytłumaczyć. Nikt zresztą nie może. Dziennikarze, którzy byli z Carterem w Warszawie, uważali że był to skutek amatorszczyzny nowej ekipy w Białym Domu. To tylko częściowo prawda. W istocie bowiem tłumacze nigdy nie byli w wysokim poważaniu administracji amerykańskiej. W hierarchii urzędniczej figurują oni, jak się zdaje, obok obsługi wind. Ten stosunek do tłumaczy pochodzi chyba jeszcze z czasów, kiedy Amerykanie, jak i Anglicy, uważali, że cały świat powinien znać angielski i że powinno to wystarczyć do prowadzenia dyplomacji. Przede wszystkim jednak Nixon czy Kissinger np. nie mieli po prostu zaufania do amerykańskich tłumaczy i posługiwali się (brzmi to nieprawdopodobnie, ale to prawda) tłumaczami strony przeciwnej. Mniej tu zresztą chodziło

bardzo tutaj na sprawieniu aby pozostało po tej wizycie coś więcej niż wspomnienie tylko osoby tłumacza. Jak ci już zapewne powiedziano gdzie indziej, forma listu otwartego do prezydenta USA sprawiać może wrażenie pewnej arogancji, pretensjonalności i sztuczności, pozbawiona jest zresztą wszelkich gwarancji skuteczności, nie mówiąc już o tym (ale tego się spodziewałeś, jest to zresztą właściwie pozbawione wszelkiego znaczenia), że nasi książęta, lub jeżeli wolisz nasi „ubowie” kwestionują twoje „narodowe” prawo do występowania w imieniu „prawdziwych” Polaków. Faktem jednak jest, i tu wracam do spraw poważnych, że mimo nieuniknionych uproszczeń, twój list otwarty może pomóc w uzupełnieniu bilansu wizyty i dopisaniu do niego tych elementów, których Amerykanie w czasie wizyty nie mogli, albo nie chcieli, dostrzec, z uwagi na świeżego „najlepszego przyjaciela”... prezydenta USA...

Oczywiście, nie przesadzajmy. Lepsi od ciebie informatorzy dotarli tu na miejscu w najbliższe otoczenie Cartera, nie mówiąc już o tym, że najciekawsze odpowiedzi prezydenta padły na pytania zadane przez dziennikarzy niedopuszczonych na konferencję prasową. Nawiasem mówiąc, odpowiedzi Cartera na pytania Wojciechowskiego z *Opinii* stanowią, to zabawne ale prawdziwe, pierwszy w historii wywiad udzielony przez amerykańskiego prezydenta prasie polskiej. Ale, ponieważ tyś wpadł na pomysł listu otwartego i ponieważ wydaje się on nam cennym przyczynkiem do całości obrazu, to może warto aby opinia w kraju o tym uzupełnieniu się dowiedziała. Ponieważ my tu, na miejscu, mamy ważniejsze sprawy na głowie, brak czasu na tłumaczenie, to warto może skłonić Giedroycia do wydrukowania tego tekstu w *Kulturze*. Jak mu przecież wiadomo, *Kultura* dociera do nas szybko, regularnie i z jak najlepszym skutkiem.

Tyle na razie, uważaj na zakrętach... twój

List trzeci: otwarty, do prezydenta Cartera

Szanowny Panie Prezydencie,

Ponieważ nie udało się nam spotkać z Panem w Warszawie zdecydowaliśmy się wystosować do Pana tą drogą list otwarty. Nie chcielibyśmy mianowicie aby wrócił Pan do domu w przeko-

o strony fachową a bardziej o polityczną: chcieli oni po prostu treść rozmów utrzymać w tajemnicy przed urzędnikami departamentu stanu. Skutek jest taki, że departament stanu dysponuje dziś tylko 17 tłumaczami na etacie, a resztę wynajmują spośród *free-lance*. Tak właśnie było z p. Seymourem, który zakomunikował Polakom, że Carter przybył do nich na stałe i że bardzo chce poznać polskie żądze. Seymour był pierwszym *free-lance* tłumaczem w historii prezydenckich podróży. Chyba i ostatnim, i to mimo, że według oficjalnego oświadczenia, na stałego etatowego polskiego tłumacza w tym super-potężnym kraju, gdzie mieszka kilka milionów wyborców polskiego pochodzenia, zabrakło kredytów w budżecie...



naniu, że Pańska wizyta była nam obojętna. Proszę więc przyjąć do wiadomości, że jeżeli ani razu nie znalazł się Pan w gęstym otoczeniu tłumów warszawiaków, to dlatego, że zostaliśmy zablokowani przez milicję w bocznych ulicach i trzymanym w lodowatej temperaturze z dala od Pana i pańskich rodaków. Na dodatek zaś te słowa powitania, które mimo wszystko staraliśmy się Panu krzykiem przekazać, zamazane zostały przez deszcz i wiatr.

Stąd, Panie Prezydencie, wydaje się nam (i dlatego ten list), iż mimo niefortunego wyboru tłumacza, rzecz nie w tym czy Polacy Pana właściwie zrozumieli, a w tym czy Pan właściwie zrozumiał Polaków...

Opuszczając Polskę, opuścił Pan, Panie prezydencie, nie tyle jaki kraj, a kraj gdzie Alfred Jarry umieścił swego „Króla-Ubu”, którego akcja toczy się w Polsce czyli nigdzie. Dziś, jak Panu wiadomo, nie mamy już króla, ale jakże inaczej, jeżeli nie poprzez system myślenia Ubu, wytłumaczyć można:

1) że władze nie mogły przekazać „na żywo” Pańskiego przybycia do Warszawy „z powodu spóźnionej pory” chociaż była dopiero godz. 22-ga (i nikt w Polsce niczym innym się nie interesował), a mogły odtworzyć z nagrania Pańską konferencję prasową chociaż była już północ;

2) że władze podkreślały zasięg wolności prasy w Polsce, czego dowodem, jak Pan sam stwierdził, była Pańska konferencja prasowa (rzeczywiście nie do pomyślenia gdzie indziej na wschodzie), ale że te same władze poddały Pańskie wypowiedzi zwyczajnej cenzurze, usuwając z nich (Freud się kłania) aluzję do osamotnienia Żydów w getcie warszawskim, do zakazania wstępu na Pańską konferencję przedstawicielom pism dysydenckich oraz wyraził Pańskiego przekonania, że „wola Polaków obrony praw człowieka jest taka jak nasza...”;

3) że władze polskie zgodziły się na obecność przedstawiciela Wolnej Europy w gronie dziennikarzy obsługujących Pańską wizytę, ale że te same władze zagłuszały sprawozdania z Pańskiej wizyty nadawane z Monachium przez tego samego dziennikarza;

4) że władze nie sprzeciwiły się wizycie Pańskiej małżonki i prof. Brzezińskiego u kardynała Wyszyńskiego, ale że obłożęły tę wizytę nakazem milczenia w prasie i to mimo, że wiadomo było, iż chodzi o pierwsze tego typu spotkanie między prymasem a tej rangi gośćmi z Zachodu; że władze nie pozwoliły wydrukować krótkiej deklaracji Brzezińskiego po tej wizycie, mimo iż Pański doradca mówi z podziwem (a może z zazdrością?) o szan-sie Polski „posiadania dwóch mężów stanu tej miary”, chociaż postawienie przez Biały Dom na równi Wyszyńskiego i Gierka podnosi niewątpliwie prestiż partii w oczach Polaków;

5) że Edward Gierk solennie przyrzekł Panu załatwić wszystkie sprawy rozdzielonych rodzin, a tego samego dnia oświadczył przed amerykańskim dziennikarzem, że taki problem właściwie nie istnieje;

6) że *Trybuna Ludu*, centralny organ partii, wyraziła swe „zadowolenie” z Pańskiego głębokiego przekonania o wadze dialogu ZSSR-USA, ale nie wyraziła żadnego zadowolenia z przyznania Polsce przez Pana, na miejscu, w Warszawie, dodatkowych kredytów w wysokości 200 milionów dolarów na zakup amerykańskiego zboża;

7) że władze PRL zaprosiły Pana i serdecznie Pana powitały w imieniu narodu polskiego, to znaczy nas wszystkich, ale że te same władze, uczyniły wszystko aby z chwilą Pańskiego przybycia odciąć Pana od tego narodu, uniemożliwiając mu siłą, groźbą albo i dezinformacją (nikt nie ogłosił Pańskiego programu) przekazanie Panu tego powitania;

8) że, wreszcie, władze PRL odcięły Pana od nas szpalerem policji, ale że wstydyli się lub obawiali wziąć na siebie za to odpowiedzialność, tłumacząc nam, zdumionym i oburzonym tą blokadą, że te nadzwyczajne środki ostrożności zostały podjęte „na żądanie strony amerykańskiej...”!

Ale, Panie Prezydencie, Ubu-król nie tłumaczy wszystkiego. Reszta tkwi w polityce. Cofnijmy się na chwilę do Pańskich poprzedników. Nixon i Ford zostali, jak Panu zapewne powiedziano, powitani w Warszawie nieporównanie bardziej gorąco od Pana. Dlaczego? Czyżby byli bardziej od Pana sympatyczni i popularni? Czyżbyśmy mieli wobec nich więcej powodów do serdeczności niż wobec Pana? Jeżeli nie, to dlaczegoż to oni mieli prawo do „kąpieli tłumów”, podczas gdy Pan musiał przejeżdżać pustymi ulicami stolicy? A przecież to nie oni a Pan właśnie jest pierwszym szefem zachodniego rządu, który składa pełny hołd wielkiej polskiej tradycji wolnościowej, odwiedzając w ciągu jednej krótkiej wizyty wszystkie pomniki symbolizujące polską przeszłość bohaterską i dramatyczną.

Pytania retoryczne. Odpowiedź na nie wyda się Panu paradoksalna. W istocie bowiem Ford i Nixon zostali tak ciepło przyjęci przez Polskę urzędową, albowiem nic albo niewiele zrobili dla Polski prawdziwej. Pan natomiast ma z punktu widzenia władz PRL dwie wady.

Po pierwsze, zbyt wiele Pan mówi o prawach człowieka. A to jest dziś na Wschodzie delikatny temat... Jechał Pan zbyt szybko, nie chciał się Pan zapewne spóźnić na bankiet wydany przez pańskich gospodarzy w pałacu Radziwiłłów, aby móc zwrócić w ten zimny i zaśnięzony piątkowy wieczór uwagę na spory kościół w centrum stolicy, obok którego kilkakrotnie musiał Pan przejechać. Otóż, w tym właśnie kościele Świętego Krzyża, podczas gdy Pański przyjaciel podejmował Pana przepyszny bankietem, pewien skromny rzemieślnik, Kazimierz Świton, działacz ruchu na rzecz praw człowieka, przeprowadzał wraz z żoną i córką oraz grupą przyjaciół głódówkę na rzecz uwolnienia jego dwóch synów aresztowanych pod fałszywym zarzutem kradzieży, w istocie zaś z zemsty za działalność ojca. Świton odrzucił zarzut użyczenia głódówki specjalnie w dniu Pańskiej wizyty, dodał jednak,



iż byłby szczęśliwy gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych wstał się u Edwarda Gierka i pomógł mu uwolnić jego dzieci. Niestety stało się inaczej. Nadzieja Świtonia, choć podzielana przez wielu Polaków, nie dotarła do Pana. Widocznie, po to właśnie aby „nadzieja nie dotarła” policja wykorzystwała moment kiedy Dorota i Ewa Świtonów opuściły na chwilę kościół (z najbardziej prozaicznych przyczyn, ale historia pisana jest także w taki banalny sposób), aby siłą przewieźć obie kobiety do Katowic, „twierdzy” Edwarda Gierka, z którym, nawiasem mówiąc, wymieniał Pan w tej właśnie chwili serdeczne toasty. Mówiąc już bez nawiasu, synowie Świtonia zostali skazani każdy na 1 i pół roku więzienia. Jest to zawsze i dla każdego ciężkie przeżycie, ale kiedy się ma 18 i 22 lata i kiedy życie może być tak piękne...

Ale, Szanowny Panie Prezydencie, jest jeszcze po drugie, jest inna jeszcze grupa powodów tłumaczących przyjęcie tak chłodne, że kompetentni ludzie z Pańskiego otoczenia nie zawahali się określić jako pozostające na „granicy uprzejmości”... Pańska podróż, także jeżeli chodzi o jej aspekty międzynarodowe, różniła się od tych jakie odbyli do nas Pańscy poprzednicy. Dla p. Nixona np. pobyt u nas w 1972 roku sprowadził się wyłącznie, i to w dość ostentacyjny sposób, do zwykłego międzylądowania w powrocie z Moskwy. W rozumowaniu zaś p. Forda nie chodziło o nic innego niż o krótki stop w drodze do Helsinek w 1975 roku. Innymi słowy, dla obu poprzednich prezydentów USA pobyt w Polsce stanowił jedynie produkt uboczny jałtańskiego modelu polityki super-mocarstwowej, stanowił przystanek bez żadnego politycznego znaczenia, którym zresztą towarzyszyły niezliczone zabiegi ostrożności, aby tylko, broń Boże, nie dotknąć imperialnej nadwrażliwości Kremla. Mówiąc w największym skrócie, był to dwa razy triumf cynicznej *real-polityki*.

Pan natomiast, Panie Prezydencie (tak to przynajmniej odebrano w Warszawie), przyjechał do Polski aby dać wyraz przekonaniu, że istnieje możliwość utrzymania pożytecznych kontaktów politycznych między USA z jednej strony a poszczególnymi państwami obozu sowieckiego z drugiej strony. Przyznanie Rumunii klauzuli największego uprzewilejowania, zwrot Węgrom korony św. Stefana to inne gesty z tej samej dziedziny, to inne przykłady tej selektywnej polityki mogącej, jeżeli nie zmieni Pan zdania, stanowić zaczątek realizacji założeń odmiennych od słynnej „monolitycznej” teorii Kissingera-Sonnenfeldta, a zgodnej — w czym nie byłoby nic dziwnego — z zasadą „policentryzmu” Europy Wschodniej, sformułowaną już dawno przez Pańskiego doradcę, prof. Brzezińskiego.

Nie brak dowodów, Panie Prezydencie, że jest to punkt drażliwy. Natychmiast po Pańskim odlocie, polski minister spraw zagranicznych udał się do Moskwy, skąd w 24 godziny po Pańskich oświadczeniach wobec Pańskiego najnowszego „przyjaciela”, nadeszły, *comme par hasard*, słowa o „niezłomnej przyjaźni polsko-sowieckiej”, nadeszło ostrzeżenie (do kogoż to mogło ono być skierowane?!), że „nikomu nie uda się wbić klina między

bratnie kraje ZSSR i PRL” no i, *last but not least*, nadszedł order Rewolucji Październikowej nadany Pańskiemu bliskiemu przyjacielowi Edwardowi Gierkowi z okazji 65-lecia za jego rolę „w umacnianiu braterskiej przyjaźni między ZSSR w PRL”. Tyle o stronie sentymentalnej. Politycznie mówiąc, tylko dwuznaczność teorii „policentryzmu” tłumaczyć może dyskretną prasy sowieckiej na temat Pańskiej wizyty w Polsce. Z pobytu prezydenta USA w PRL czytelnicy *Prawdy* wiedzą tylko kto Pana witał na lotnisku. Zapowiadając Pańską podróż *Izwestia* nie wymieniły nawet Warszawy, ograniczając się do etapów w Teheranie i w Riadzie. W moskiewskiej telewizji Pański pierwszy — i na razie jedyny — pobyt w stolicy socjalistycznego kraju zajął dokładnie 10 sekund.

Jeszcze gorzej potraktowana została Pańska wizyta i jej „policentryczny” aspekt w prasie czechosłowackiej, która, jak Panu powiedziano może, często wyraża to czego Rosji, z rozmaitych powodów nie wypada wyrazić. Otóż, *Rude Pravo* uznało, że „konferencja prasowa urządzona przez Biały Dom w Warszawie oraz niektóre pytania dziennikarzy amerykańskich nosiły charakter prowokacyjny i stanowiły bezsporną ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski...”. Dziennik słowacki *Pravda* podkreślił zaś, że z powodu dziennikarzy amerykańskich „konferencja prasowa dała skrzywiony obraz stanu praw człowieka i wolności w Polsce...”. Prasa czechosłowacka nie wyjaśniła naturalnie, iż taki skrzywiony obraz nie może wynikać z pytań dziennikarzy, a może tylko wynikać z Pańskich odpowiedzi, ale mam pewność, że jak to mówią w Moskwie, pojął Pan aluzję...

Szanowny Panie Prezydencie,

Stawiając swe pierwsze kroki na ziemi polskiej oświadczył Pan: „Przyjechałem tu nie tylko po to, aby przedstawić nasz punkt widzenia, ale także po to, aby poznać wasz punkt widzenia i zrozumieć wasze aspiracje na przyszłość...”. Jest naszą nadzieją, że ten list pomoże Panu te aspiracje zrozumieć lepiej.

Proszę przyjąć, Panie Prezydencie, wyrazy naszego szacunku, przekazane tym razem wraz z całą, jeszcze nieznaną Panu, polską serdecznością,

Pańscy...

Za zgodność B.

Całość przepisana 6 lutego 1978.



## Obserwatorium

### Listy z Kraju

Z miesiąca na miesiąc wzrasta napływ listów z kraju do *Kultury*. Przez „listy z kraju” należy, rzecz jasna, rozumieć nie listy wysłane z Warszawy, Krakowa, Lublina (choć bywają i takie, na ogół zdawkowe bądź anonimowe), lecz listy z przelotnych podróży zagranicznych. Tylko one pozwalają nadawcom przemawiać pełnym głosem, a adresatom czytać je z pełnym pożytkiem; niezależnie od obecności, czy braku punktów spornych.

Z teczek świeżych listów z kraju do *Kultury* wybieramy trzy. Każdy zasługuje na parę słów odpowiedzi, lub komentarza.



Autorem pierwszego jest względnie młody człowiek (29 lat), który w kraju sporo co prawda o *Kulturze* słyszał (nazywa ją nawet pismem „dla nas, w Polsce, legendarnym”), ale nigdy nie zdołał do niej dotrzeć. Swoją list napisał natychmiast po przeczytaniu na Zachodzie jednego numeru.

„Chciałbym wypowiedzieć się jako normalny czytelnik, który z powodu swojego zamieszkania ma nikły kontakt z prasą emigracyjną. A więc niewątpliwie przeczytanie *Kultury* było dla mnie szokiem. Wielu rzeczy dowiedziałem się po raz pierwszy, inne ukazały mi się w nowym świetle, a znowu inne potwierdziły się. Jako materiał poznawczy *Kultura* odniosła więc sukces w moim skromnym przypadku... Mam jednak mój mały, osobisty żal do *Kultury*. Dlaczego po zakończeniu jej lektury byłam tak okrutnie przygnębiony, rozgoryczony? Jest sprawą ewidentną, że w Polsce nie dzieje się najlepiej. Ale też na co dzień przyćmiony Polak (taki jak ja) nie odczuwa tak bezgranicznego przygnębienia, smutku, bezsensu. Gdyby tak było, życie w Polsce byłoby nie do wytrzymania”.

Wzruszyć ramionami? Uśmiechnąć się pobłaźliwie wobec ukrytej w liście skargi: nie zatruwajcie nam skromnych resztek znośnego samopoczucia? Odpowiedzieć że „osobisty żal” kores-

pondenta jest istotnie mały, i mało ważny, w porównaniu z korzyściami wyniesionymi, według własnych jego słów, z lektury jednego numeru miesięcznika? Byłaby to reakcja powierzchowna i w jakimś stopniu wykrętna. Istnieje bez wątpienia problem ujawniony przez autora listu. Nie tylko zresztą przez niego. Często zdarza się słyszeć od przyjezdnych z kraju, tzw. „przeciętnych Polaków” i przygodnych czytelników *Kultury*: „Tak, tak, mniej lub więcej prawda, nie da się zaprzeczyć, ale jakoś się przecież żyje, nie można ciągle myśleć o tym”. Problemem własnie jest powolne obojętnienie, przytępienie wrażliwości na wszystko co związane bezpośrednio z „tym” a nie z życiem „na co dzień”. Ruch opozycji antytotalitarnej (rozmnóżone grupy o różnych orientacjach, niecenzurowane czasopisma, latający uniwersytet) przyhamował nieco ten proces, popełniłoby się jednak błąd twierdząc że go powstrzymał. Cały wysiłek systemu skierowany jest ku atrofizacji poczucia praw obywatelskich i ludzkich, ku wychowaniu podwładnych, których obchodziłoby wyłącznie życie „na co dzień”; i którzy już dziś ulegają częściowo naciskowi, starając się jak gdyby odgrodzić autonomiczny sens życia „na co dzień” od generalnego bezsensu ustroju, przekonani widocznie o możliwości podobnego zabiegu. Jest rzeczywiście możliwy? Wskażmy przykład najświeższej daty. „Przeciętnym Polakom” wyrwa się niekiedy: „Ostatecznie cenzura jest bolączką intelektualistów, niech oni się martwią”. Na Zachód przeniknęły niedawno tajne instrukcje dla cenzorów polskich. Oby pewnego dnia trafiły, w przygotowanym przez *Aneks* wydaniu dwutomowym, do rąk autora listu. Zobaczmy wówczas jak fundamentalną rolę cenzura odgrywa w systemie, jak ogromne obszary życia narodowego i społecznego paraliżuje, jak godzi w samo jądro wszelkiego życia zrzeszonego. Po lekturze tych dwóch tomów nasz korespondent będzie o ileż „okrutniej przygnębiony i rozgoryczony”, o ileż więcej odczuje „przygnębienia, smutku i bezsensu”, niż po lekturze jednego numeru *Kultury!*



Autor drugiego listu porusza sprawę dość odległą, ale jak widać wciąż jeszcze żywą, zwłaszcza dla młodszych czytelników *Kultury*: chodzi o postawę niezbyt, eufemistycznie mówiąc, chwalebna znacznego odłamu inteligencji polskiej nazajutrz po wojnie. Czego była produktem? Gwałtownej deprawacji intelektualnej i narodowej, epidemii „świnienia się” pod wpływem strachu i rozhuśtanych ambicji, kryzysu moralnego? Czy przewartościowania wszystkich wartości, odkrycia marksistowskiej Historii, olśnienia Nową Wiarą?

„Fascynuje mnie moment historyczny, kiedy społeczeństwo traci swoją osobowość, kiedy na skutek czynników zewnętrznych dochodzi do takich zaburzeń, iż jednostka nie ma już żadnego oparcia w przeszłości, a jej zachowania przypominają zachowanie chorego na amnezję. Rozbite więzi



społeczne, zatarte i niespójne z nową sytuacją wzory osobowe, nieczytelny kodeks moralny, uczucie zagubienia i bankructwa — to cechy charakterystyczne dla pokolenia moich rodziców po roku 1945... Zespół *Kultury* obcował z chorobą na odległość. Zwiększało to trudność interpretacji szczegółów, ale dawał perspektywę i możliwość ogarnięcia całości. Domeną *Kultury* była jednak historia, polityka i kultura, z pominięciem psychologii społecznej. *Kultura* pozostawała moralistyczna, nie zauważając czasami, że przemawia do chorego. Ów błąd okazał się zaletą dopiero dla kolejnej generacji czytelników, która nie otrzymawszy przeszłości od pokolenia ojców, rozpoczęła od początku poszukiwania historii i wzorców moralnych. Gniew *Kultury* był zagniewaniem moralisty, który nie chce tłumaczyć świństwa... Moje pokolenie ułazić się musi z tą kaleką przeszłością, którą dostaliśmy od ojców. Odrzucając postawy i poglądy poprzedniego pokolenia, próbując podjąć niepodjęte czy też raczej utracone przez tamto pokolenie wartości, możemy zachować ciągłość pod warunkiem zrozumienia przyczyn tamtego załamania”.

Wywód autora listu można, dla większej jasności, skomprimować jak następuje: wasz błąd w ocenie postawy inteligencji polskiej po 1945 roku okazał się co prawda zaletą na dalszą metę, nie przestaje jednak być błędem, moralistycznym uproszczeniem; pokolenie do którego należę, pokolenie dzieci i wychowanków tej inteligencji, nie może na takim uproszczeniu poprzestać, mimo że widzi teraz jego walory; musi zrozumieć dlaczego doszło do załamania.

Podjeżdżamy, że główna różnica między autorem listu i nami sprowadza się do określenia „moralizm”. Autor listu zdaje się nim posługiwać z należąca rewerencją, lecz i z domieszką przeświadczenia o jego ograniczonym zasięgu. Dla nas jego zasięg jest dostatecznie szeroki, by objąć i „psychologię społeczną” i „chorobę” o których mowa w liście. Czego natomiast „moralizm” istotnie nie obejmuje, to prób swoistego usprawiedliwienia (przy pozorach zrozumienia) zjawiska, które z natury swej było kapitulacją: moralną, intelektualną, narodową. Owszem, *Kultura* pozostawała „moralistyczna”, ale zauważając bardzo dobrze że przemawia do chorego, ba, usiłując nawet ostrzec go, że chorobę bierze za symptomy „nowego, rewolucyjnego” zdrowia; że załamanie maskuje „ideologią”, a upadek chce niemal nobilitować; że katastrofę zaleca jako „nową rzeczywistość”. Autor listu pisze: „Nieliczne tylko jednostki, wiedzione geniuszem wiedzy i intuicji, świadome były rozmiarów kataklizmu, próbowały odnaleźć siebie i wskazać drogę innym — Słonimski, Dąbrowska, Ossowscy, Kotarbiński”. Było tych jednostek więcej, choć nie zawsze o tak sławnych nazwiskach. I ani sławne, ani mniej sławne nie potrzebowały aż „geniuszu wiedzy i intuicji”, aby odróżnić kłamstwo od prawdy, godność od jej utraty. Wystarczyło „moralistyczne uproszczenie”, to samo którego trzymała się *Kultura*. Lepiej więc zrezygnować z efektownych wytłumaczeń i nazywać rzeczy po imieniu. W interesie definitywnego przewyciężenia „kalekiej przeszłości”...

Autora trzeciego listu zirytowała uwaga w recenzji Brońskiego w *Kulturze*, że „*Zapis* umożliwiła wypowiedzenie się ludziom mającym naprawdę coś do powiedzenia, dając szansę wartościom autentycznym, nie licencjonowanym”. Zirytowany autor pisze:

„Polską, bardzo względną ale wyczuwalną niezależność stwarzają fakty dokonane, takie jak niezależność Kościoła, prywatne rolnictwo i — *last but not least* — niezależność (mniejsza lub większa, czasem całkowita) dużej części intelektualistów. Broński, mimowolnie chyba, obraża ich sugerując, że tylko na łamach pism niecenzurowanych mają szansę wypowiedzi ludzie mający coś do powiedzenia. Świadczy to o zupełnym niedocenianiu zdumiewającej wręcz niezależności polskiej humanistyki na tle innych krajów bloku, nie mówiąc już o Związku Sowieckim... Niecenzurowane pisma — samo ich istnienie — to jeszcze jeden fakt dokonany zwiększający odrębność Polski, ale fakt w szeregu innych. Każda dobra książka, niezależna i nowatorska, też zwiększa *de facto* zakres naszej niezależności”.

Zorientowawszy się pewnie że przesolił z tą „czasem całkowitą niezależnością”, nasz korespondent dodaje: „Są ograniczenia, bardzo duże jeśli chodzi o współczesną historię, Rosję, Niemcy. Publicystyka mówi pół prawdy, choć i to lepsze niż sto procent kłamstwa. Ale kto chce, ten jednak może stwarzać w nauce autentyczne wartości”. I dalej: „Wielu intelektualistów powstrzymuje się od pewnych gestów właśnie dlatego, że ma możliwość tworzenia wartości i ceni ją sobie więcej niż poklask”.

Jałowe byłoby roztrząsanie tutaj racji dwóch przeciwstawnych punktów widzenia: tego, który głosi że nawet pół prawdy ma kolosalne znaczenie; i tego, który przestrzega że pół prawdy oznacza także pół kłamstwa. Nie żyjemy na księżycu, wiemy czym w tym ustroju jest uczciwy historyk usiłujący tworzyć pewne autentyczne wartości, mimo ograniczeń tak poważnych jak wymienione przez autora listu; albo szanujący się trochę publicysta, który usiłuje wydobyć się do połowy przynajmniej z drętwej mowy fałszu. Ale nie żyjąc na księżycu, wiemy również że sytuacja jest w stałym ruchu. Powstają możliwości, dość drogo opłacane przez chętnych, wyjścia poza połowiczność. Kiedyś czytało się z wypiekami sowiecką licencjonowaną literaturę „odwilżową”; potem przesłoniły ją *samizdat* i *tamizdat*. Coś analogicznego dzieje się od jakiegoś czasu w Polsce. Rosną szeregi intelektualistów, którzy dosyć mają ograniczeń, postanawiają mówić całą prawdę w czasopismach i wydawnictwach niecenzurowanych. Obok nich pracują ich koledzy, którzy „powstrzymując się od pewnych gestów” starają się poszerzyć względną niezależność polskiej humanistyki w obrębie władania cenzury. Nie odmawiamy zasług drugim, ale czy można się dziwić że większe zainteresowanie i większe nadzieje na przyszłość budzą w nas pierwsi? Bo (i tu prawdopodobnie tkwi sedno sporu) istnienie niecenzurowanych pism w Polsce jest dla nas czymś grubo więcej niż „jeszcze jednym faktem dokonany zwiększającym odrębność Polski, faktem w szeregu innych”. Dla nas jest ono faktem o zu-



pełnie odmiennej jakości. Gdyby rozumiał to autor listu, nie dałby się tak łatwo ponieść rozdrażnieniu.

Nie chcielibyśmy go krzywdzić, szukając klucza do tego rozdrażnienia w brzydkim słówku „poklask”, które zamyka list. Za ów „poklask” współpracownicy niecenzurowanych czasopism i wydawnictw płacą słoną cenę. Współpracownikom cenzurowanych czasopism i wydawnictw rekompensuje brak owego „poklasku” okoliczność, że nie muszą płacić takiej ceny. Powinni zresztą dla własnego dobra i dla dobra polskiej humanistyki zabiegać wręcz o brak owego „poklasku”, by do swej pracy na polu tworzenia autentycznych wartości nie przyciągać nadmiernej uwagi cenzorów.

ZAPRENUMERUJ **“AN**  
POLITYCZNY **EKS”** do ocenzurowanej prasy  
KWARTALNIK **EKS”** w Polsce  
A N E K S

W nr. 16-17 (256 str.) m.in.: DOKUMENTY CENZURY PRL i wywiad z cenzorem T. Strzyżewskim; M. TURBACZ: *Możliwości działania opozycji w Polsce*; EUROKOMUNIZM: L. KOŁAKOWSKI — S. CARILLO — J. ELLEINSTEIN — G. URBAN — L. RADICE — Włoska lewica a opozycja w Europie Wschodniej (dyskusja); M. WINOWSKA: *Ks. H. Hlebowicz*; Ks. H. HLEBOWICZ: *Na Trzeci Maj 1941 roku*; I. GRUDZIŃSKA-GROSS: *W. Machejka autoportret faszysty*.

Uprzednio w nr. 15 (160 str.) m.in.: J. T. GROSS: *Opozycja polityczna w Polsce*; SOCJALIZM I DEMOKRACJA — Dyskusja na marginesie książki W. Brusa; S. GOMUŁKA: *O czynnikach ekonomicznych w demokratyzacji socjalizmu i socjalizacji kapitalizmu*, a także wypowiedzi M. HIRSZOWICZOWEJ, L. KOŁAKOWSKIEGO i A. MATEJKI; Z. BAUMAN: *Stalin i rewolucja chińska*; H. ARENDT: *Myśli o polityce i rewolucji*.

ROCZNIE — 4 numery — US \$ 12, FF. 40, £ 5 (w W. Brytanii).

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:

**A N E K S, 61 DORSET ROAD, LONDON W.5.  
ENGLAND.**

**Kraj**

## Salon i kuchnia PRL

Polskie kierownictwo komunistyczne ma zdecydowanie więcej uznania na Zachodzie niż w Kraju. Od amnestii w lipcu zeszłego roku przez dłuższy czas nie było w Polsce więźniów politycznych, mimo że opozycja rozrastała się w tym czasie dość żywiołowo. Zachodni obserwatorzy polityczni stwierdzali więc w Polsce znaczącą różnicę w porównaniu z sytuacją w Czechosłowacji i w Niemczech Wschodnich. Zastanawiali się nawet, czy Polska i Węgry nie mają wyznaczonej przez Rosjan roli „państw liberalnych” w bloku wschodnim, podczas gdy Czechosłowacja i NRD mają służyć za przykład możliwości łatwego wprowadzenia terroru w całej Europie Wschodniej.

Zachód zdawał się dostrzegać i premiować korzystne wyróżnianie się przez Węgry i Polskę. Komunistom węgierskim zwrócono z wielkim szumem historyczną koronę św. Stefana, a Gierka uhonorowano istną lawiną wizyt i spotkań na najwyższym szczeblu, których ukoronowaniem była wizyta prezydenta Cartera w Warszawie. Ważniejsze jednak, że PRL otrzymywała nadal z Zachodu kredyty, które osiągnęły już sumę 14,5 miliarda dolarów, zaniżaną naturalnie w oficjalnych oświadczeniach krajowych. Obsługa tych kredytów pochłania już 60-70 % dochodu z polskiego eksportu, co także jest starannie ukrywane przed opinią. Drastyczne braki na rynku uzmysławiają jednak społeczeństwu, że państwo eksportuje wszystko, co tylko może, ze szkodą dla zaopatrzenia ludności. W oczach Zachodu Polska jest jednak nadal krajem rozwijającym się ekonomicznie, spłacającym raty kredytów i ich oprocentowanie i mającym w osobie Gierka przywódcę umiarkowanego, liberalnego i światłego partnera zachodnich polityków. Propaganda PRL usiłuje obraz ten narzucić także społeczeństwu, wykorzystując międzynarodowe spotkania Gierka w radio, prasie i telewizji do przekonania Polaków jaką to ma kraj nasz pozycję i jakiego męża stanu.

W salonach i gabinetach dyplomatycznych Zachodu wygodnie



jest wierzyć w tę sielanekę i zamykać oczy na prawdziwą sytuację w Polsce. Od kuchni wygląda ona zgoła inaczej.

Trudno nawet zrozumieć jak to jest, że Gierek — mając tak rozpaczliwą sytuację ekonomiczną i rynkową, nie mogąc realnie liczyć, iż produkty nowego przemysłu sprostają konkurencji i standartom wytworów zachodnich, nie mogąc przewyciężyć impasu w rolnictwie i stojąc wobec bardzo dużego prawdopodobieństwa niemożności spłacenia kredytów zachodnich — nadal rządzi i w pewnym sensie jest niezagrożony.

Wynika to oczywiście ze smutnej prawidłowości, że państwo komunistyczne nie bankrutuje, obciążając po prostu bezwzględnie ludność skutkami swoich niepowodzeń gospodarczych. *Nota bene* osobliwością obecnej sytuacji ekipy Gierka jest to, że popadając w totalną plajtę ekonomiczną zrobiła ona swego rodzaju karierę międzynarodową, do czego użyto wszystkich — od Szachinszacha Iranu do papieża Pawła VI-go.

Ale obserwatorów sceny polskiej nurtuje natrętne pytanie, jak wszystko to jest możliwe, jakim cudem ekipa Gierka jest niezagrożona?

Oczywiście, że Gierek ma poparcie Kremla. Ale Gomułka miał też to poparcie i wyleciał jak z procy. Otóż Gierek, w przeciwieństwie do Gomułki, umie się cofać i z niezmaconym spokojem, mimo wielkich napięć, udaje że wszystko jest w porządku. Gierek w czerwcu 1976 roku cofnął się w sprawie podniesienia cen w ciągu 24 godzin i to tak gruntownie, że nawet II-ga konferencja partyjna w styczniu 1978 nie uchwaliła podwyżki cen. Podnosi się je tylko oszukańczo, po cichu i selektywnie. Filiżanka kawy, która nie tak dawno kosztowała 8 zł, a później kilkanaście, teraz kosztuje 60 zł i nie ma problemu. Takich przykładów jest setki. Ale nie o to w tej chwili idzie.

Gierek cofnął się przed falą buntu społecznego i wypuścił z więzienia działaczy KOR'u i robotników, którzy strajkowali w czerwcu 1976 roku. Gierek odstąpił od bezpośredniej, jawnej walki z Kościołem. Gierek toleruje opozycję, mającą już różne odłamy, dziesiątki pism i wydawnictw, latający uniwersytet, studenckie komitety i liczne inne formy działania. Gierek zezwolił na strajk głodowy, toleruje publikowanie za granicą książek, artykułów i wywiadów, a rozmowy telefoniczne z Warszawy z redaktorem paryskiej *Kultury* Giedroyciem, czy innymi osobistościami polskimi na emigracji, są coraz częstsze i nabierają posmaku swego rodzaju snobizmu politycznego. A więc mamy tu obraz Gierka cofającego się, tolerancyjnego i rozważnego.

Tenże sam jednak przenikliwy mąż stanu nie mrugnawszy okiem głosił w licznych wystąpieniach, że w czerwcu 1976 nie było strajku, a ceny cofnięto w wyniku konsultacji i ze względu na niedostateczne zrozumienie przez ludność intencji władz. Zwolnienie więźniów pod wpływem fali krajowych i zagranicznych protestów przywódca PZPR nazwie amnestią i aktem łaski. Strajk głodowy doczekał się epitetu — ekshibicjonizm polityczny. Fala opozycji politycznej określana jest jako mało znaczące

grupki wrogów Polski. Kokietując Kościół ogranicza się grupę katolików świeckich, a asystenta kościelnego *Tygodnika Powszechnego*, ks. A. Bardeckiego, pobito w Krakowie do utraty przytomności, łamiąc mu nos i wybijając zęby. Z tych faktów wyłania się obraz nieco inny. Ekipa Gierka nie tylko cofa się, ale jednocześnie oszukuje opinię, władzę opiera na kłamstwie i prowokacji, prowadząc bodaj najbardziej cyniczną i deprawującą politykę w całych bogatych pod tym względem dziejach PRL'u.

Życie publiczne Kraju odznacza się sytuacją wręcz paradoksalną. Względnie liberalnemu (do czasu) kursowi partii w stosunku do opozycji i Kościoła towarzyszy jednocześnie gwałtowne zmniejszenie zakresu wolności w instytucjach oficjalnych i całkowity powrót do centralnego dyrygowania w gospodarce. Prowadzi to zarówno do zagrożenia kultury narodowej, jak i do nieuchronnego załamania ekonomicznego.

Sytuacja w kulturze jest chyba gorsza niż w okresie stalinowskim. Wtedy toczyła się jeszcze walka ideologiczna i lansowany oficjalnie socrealizm, choć artystycznie nie tworzył większych wartości, zdawał się być wyrazem jakiegoś autentyzmu rewolucyjnego. Można oczywiście sądzić, że „Popiół i diament” był jedną z najbardziej przewrotnych książek w polskiej literaturze powojennej, gdyż w imię złudzeń socjalistycznych dokładnie zamażała ona prawdziwy przedmiot sporu w pierwszych latach PRL'u. Dziś sowietyzacja forsowana jest bez żadnych złudzeń rewolucyjnych i socjalistycznych, a słowa te traktuje się raczej jako konieczne rekwiizyty niż treść ideologiczną.

Najgorsze, że społeczeństwo, spragnione jakiejś strawy duchowej i do cna zde gustowane obłędnie monotonna propagandą, w pewnej mierze ulega tym narzędziom sowietyzacji, które robione są z odrobiną wyobraźni i finezji. Dotyczy to przede wszystkim niektórych programów telewizyjnych, takich jak „Przed burzą” Frelka i Kowalskiego, a ostatnio „Polskie drogi” Jerzego Janickiego. Serial „Przed burzą” jest bezwzględny i jednostronny wybielaniem Sowietów, z układem Ribbentrop - Mołotow włącznie. Ale przedwojennych polityków polskich pokazano jako ludzi kulturalnych i z charakterem, a w usta Becka włożono słynne powiedzenie marszałka Rydza-Śmigłego, że „z Niemcami możemy stracić niepodległość, a z Rosją duszę”. Te nikłe w całym kontekście serialu nici autentyzmu spowodowały, że wielu ludzi wzięło go poważnie, że dyskutowano o nim tak, jakby nie był on po prostu wyrafinowanym narzędziem sowietyzacji.

To samo dotyczy serialu „Polskie drogi”. Nieco autentyków okupacyjnych, jedno czy dwa pseudoodważne zdanie o komunistach w ustach inteligenta mającego jeszcze ciągoty „londyńskie” wystarczyło, by ludzie „kupili” karykaturę wojennego podziemia związanego z rządem emigracyjnym w Londynie i uwierzyli, że młody oficer mógł się błąkać w kraju przez trzy lata bez przydziału w podziemiu, aż w końcu wylądował w Gwardii Ludowej, którą *nota bene* pokazano jako jedyne podziemne wojsko polskie.



To w końcu rozdrażniło nawet ludzi pragnących po prostu do- brego filmu przygodowego, a już zakończenie akcji serialu w 1943 roku, byle wyminąć sprawę Powstania Warszawskiego, obu- rzyło i zawiodło do reszty polskich widzów. Ale seriale Frelka i Kowalskiego, oraz Janickiego były największymi wydarzeniami kulturalnymi ostatniego roku. A zmęczony borykaniem się z gos- podarczymi absurdami systemu przeciętny Polak, jeśli nie pije, odpoczywa przed telewizorem. I telewizja właśnie najbardziej go sowietyzuje, urabia, ugniata i płaszczy jego sposób myślenia. Jej prezesowi, Szczepańskiemu, zwanemu też z powodu licznych czystek personalnych „krwawym Maciusiem”, przepowiadam za- wrotną karierę polityczną. Ten się zasużył! On wyhodował zes- pól największych łże-propagandystów w polskich środkach maso- wego przekazu, inteligentnych cyników, robiących perwersyjne sztuczki ze słów, ukrywających prawdę i niezmiennie wspiera- jących dążenia sowieckie — panów Janiszewskich, Kollatów, Hału- chów, Stefanowiczów i im podobnych.

Dominacja telewizji nie zmniejsza innych cieni kuchni PRL'u. Od czasów stalinowskich cenzura nigdy nie była tak „doskonała”, o czym ostatnio głośno było na Zachodzie, dzięki materiałom wywiezionym przez krakowskiego cenzora i specjalnemu nume- rowi *Zapisu* poświęconemu teście cenzurze. Dla kultury narodo- wej jest ona w tej chwili groźniejsza niż policja. Wyjaławiając wszystko z prawdy, nasycyca wszystko interesem sowieckim, przed- stawianym jako przejaw polskości, patriotyzmu i racji stanu.

Ekipa Gierka, lub raczej czynniki sowieckie, które jej suflują, wykazują nadzwyczajną orientację i uderzają bezbłędnie w od- cinki najważniejsze, stanowiące najbardziej masowe środki prze- kazu. Po filmie „Człowiek z marmuru” i „Barwy ochronne” naiwni wierzyli, że Gierek przygnieciony trudnościami gospodar- czymi otworzył jakiś wentyl bezpieczeństwa w dziedzinie kultury, żeby stniejący stan napięcia choć częściowo się wyładował. Gie- rek jednak niczego nie otworzył, przeciwnie zabierał się właśnie do zamykania, likwidowania istniejących luzów. To kilku wybit- nych twórców i reżyserów filmowych wymusiło na partii akcep- tację nielicznych interesujących obrazów, będących zresztą owo- cem kompromisu z cenzurą. Pozorne zwycięstwo liberalnej ten- dencji w kulturze stało się właśnie pretekstem akcji przeciwko niezależności zespołów filmowych, która doprowadziła do daleko idących zmian personalnych w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Jak trafnie powiedział jeden z ludzi kina — partia próbuje z nas zrobić trzeci program telewizyjny. I właśnie jej się to udało. Filmy mają być odtąd takim samym narzędziem propagandy i sowietyzacji, jak dwa istniejące programy telewizji. Nie pomógł dramatyczny gest Teichmy, który zgłosił swoją rezygnację z Mi- nisterstwa Kultury. Spółka Łukaszewicz-Wilhelmi i ukryty za nią ambasador sowiecki Piłotowicz zrobiła co chciała. Taka jest oto „kuchnia” liberalnej ekipy Gierka na odcinku kultury.

Na odcinku gospodarczym, któremu Gierek naturalnie po- święca najwięcej uwagi, jest jeszcze gorzej. Tam także Minister

Rolnictwa i człowiek Gierka — Barcikowski złożył rezygnację, gdyż okazało się że wbrew wszystkim ustaleniom naczelnych władz partyjnych chłopom w ciągu całego roku sprzedano zaled- wie nieliczne hektary ziemi, a idea tworzenia większych, ren- townych gospodarstw indywidualnych jest na „czyjś” wyraźny rozkaz sabotowana. Sytuacja w rolnictwie nie poprawia się ani na jotę.

To samo dotyczy innych dziedzin gospodarki. Pełen animuszu — ze względu na powrót do funkcji sekretarza KC — Stefan Olszowski przygotował na plenum referat ujawniający część dra- matycznej prawdy. Szczupłe grono osób dostało go do przeczy- tania na kilka godzin, za pokwitowaniem i do zwrotu. Następnie zapadła decyzja, że nie będzie on ujawniony, a na plenum KC i następnie na II-giej konferencji PZPR nie powiedziano niczego nowego — przyjęto linię drętwej mowy. Olszowski oklapł i prze- stał już myśleć o zastąpieniu Gierka lub choćby Jaroszewicza. Wydaje się, że ci dwaj „razem przyszli i razem odejdą”, jak mówi się w Komitecie Centralnym. Chwilowo się zresztą na to nie zanoszą. Mimo, że trudności na rynku w najbliższych dwóch latach nie zmniejszą się. Mimo, że najprawdopodobniej PRL jeszcze w tym roku nie będzie w stanie terminowo spłacać kre- dytów zagranicznych i ich oprocentowania. Mimo wreszcie, że nie ma żadnej sensownej koncepcji wyjścia z kryzysu.

Ponieważ sowietyzacja oficjalnego życia politycznego, nauko- wego i kulturalnego konsekwentnie postępuje, przywódcy partii odpowiedzialni za błędy uznani zostali przez Rosjan za niezastą- pionych. Widzi się tylko jedną możliwość opanowania sytuacji: stopniowe uderzanie w opozycję, stosowanie selektywnego ter- roru i zastraszanie klasy robotniczej i całego społeczeństwa. Kon- cepcja reform politycznych i gospodarczych nie jest brana pod uwagę.

Czy to wszystko jednak uda się, czy jakiś niespodziewany bunt w jakimś nieprzewidzianym miejscu, w którym spiętrzą się uciążliwe przejawy kryzysu — nie wysadzi jednak Gierka z sio- dła? Jest to naturalnie zupełnie możliwe i stosuje się najdalej idące środki bezpieczeństwa. Ale prawdziwi władcy Polski, choć wiedzą jak marna ekipa rządzi nią obecnie i jak drastyczne popełniła błędy, nie chcą jej zmiany i nie popierają — jak dawniej — żadnej opozycji wewnątrz partii przeciw obecnemu jej kierownictwu. Rosjanie są po prostu zadowoleni z postępów sowietyzacji w denerwującym ich nieustannie kraju prywiślań- skim. Widzą naturalnie rozwój opozycji, ale uważają, że w razie czego można ją zgnieść, do czego już się powoli przystępuje. Nieustannie też zaostrza się kontrolę wojskową i policyjną nad Polską. Ze zaś poziom życia w Kraju obniża się, to ich specjalnie nie martwi. Wiedzą przecież, że w samej Rosji jest jeszcze gorzej. Nad całym tym rachunkiem sowieckich władz kontrolujących Polskę zawisły ostatnio dwa znaki zapytania: co będzie jeśli odejdzie chory Breżniew i jego ekipa gerontokratów? Co wresz- cie stanie się jeśli zastosowanie selektywnego terroru w Polsce



nie pomoże i dojdzie do otwartego buntu społecznego, jak w latach 1956, 1970 i 1976? Tych czarnych myśli jednak rządzący Polską i ich zakulisowi mocodawcy nie biorą pod uwagę. Uważają, że nowe kierownictwo w Rosji może być tylko radykalniejsze od „umiarkowanego” Breżniewa, a bunt od dołu nie ma w tej chwili żadnego zaplecza w górze partyjnej. Obie te rachuby wydają się, niestety, trafne. Ale przecież w czerwcu 1976 roku w jednym dniu stanęła produkcja w całej Polsce. Powstaje pytanie, czy może to powtórzyć się bez prowokującej głupoty, jaką była wtedy podwyżka cen. Wydaje się, że 25 czerwca 1976 roku może powtórzyć się, bo uspokajające zapowiedzi Gierka, że wszystko ułoży się i poprawi w ciągu roku do dwóch, po prostu się nie sprawdzą. Nie ma tak doskonałego systemu kontroli politycznej, który wykluczałby wybuch społeczny. Niestety wcześniej czy później jest on nieuchronny. Chodzi tylko o to, żeby nie zamienił się w krawą łaźnię.

Po konferencji prasowej prezydenta Cartera w Warszawie rozmawiałem z pewnym dziennikarzem amerykańskim. Dość długo słuchał mojej relacji i w końcu rozdrażniony rzekł: to co, chcesz żebyśmy nie chwalili Gierka za to, że przynajmniej chwilowo nie ma u was więźniów politycznych, podczas gdy w Czechosłowacji i NRD ludzie siedzą w więzieniach?

Odpowiedziałem mu, że istotnie „salon” polski jest elegantszy niż czeski i wschodnioniemiecki, w czym zresztą główną zasługę ma zakres oporu społeczeństwa, a nie partia, ale komunistyczna „kuchnia” w Europie Wschodniej jest wszędzie ta sama.

Jeśli Zachód koniecznie musi chwalić jakichś komunistów, to trudno, niech chwali. Ważne jest tylko, by pamiętać, że komuniści go nie chwalą i tak lub inaczej chcą go zniszczyć.

Z. M.

## Podróż do Polski

Profesor Sten Johansson, naczelny redaktor pisma *Tiden* — organu szwedzkiej partii socjaldemokratycznej, pojechał w połowie grudnia ub.r. do Warszawy, ażeby spotkać się z polską opozycją. Towarzyszyła mu prof. Johanssonowi jako tłumacz.

Pobyt nasz w Warszawie trwał zaledwie dwa dni. Żadnego zwiedzania miasta — poza króciutkim pobytem na Starym Mieście — właściwie nie było. Sten Johansson spotkał Jacka Kuronia, Adama Michnika, Jana Józefa Lipskiego, Jana Lityńskiego, przedstawicieli Warszawskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, organizatorów Latającego Uniwersytetu, znanego ekonomistę Ta-

deusza Kowalika, b. asystenta prof. Oskara Lange, a także naczelnego redaktora *Więzi* Tadeusza Mazowieckiego.

Rozmowy odbywały się w dużym pośpiechu. Zdążono porużyć tylko niektóre sprawy. Starano się ograniczyć do problemów najważniejszych. Nie zdążyliśmy odwiedzić tych wszystkich osób, które chcielibyśmy spotkać.

Jak wiadomo, wiele szwedzkich oficjalnych delegacji odwiedza Polskę. Są to delegacje państwowe, związkowe, naukowców i inne. Spotykają one oczywiście wyłącznie przedstawicieli partii, administracji, związków zawodowych, lojalnych wobec władz pracowników nauki. Spotkania odbywają się w najbardziej okazałych lokalach. Goście przewożeni samochodami, zakwaterowani w pałacykach pod Warszawą czy w luksusowych hotelach, otoczeni specjalistami od rozmów z gośćmi zagranicznymi, nie mają żadnych szans zetknięcia się z jakimikolwiek prawdziwymi problemami.

Wizyta Stena Johanssona miała zupełnie inny charakter. Nasze spotkania odbywały się w prywatnych, skromnych mieszkaniach, w dawno nieremontowanych domach. A nasi gospodarze nie mieli czasu na przebieranie się w wizytowe stroje. Jacek Kuroń przyszedł na rozmowę z nami wprost ze spotkania z grupą robotników. Adam Michnik spieszył się na następny wykład dla słuchaczy Latającego Uniwersytetu. O środki lekomocji musieliśmy się starać sami, co zresztą nie było bynajmniej łatwe. I tylko z jednym państwowym samochodem mieliśmy do czynienia. Był to samochód MSW, który jeździł wszędzie za Jackiem Kuroniem i stał wiernie „na straży” przed jego domem.

Kiedy razem z Jackiem i jego żoną zbliżaliśmy się do ich domu, poza tym szarym samochodem zauważyłam jeszcze coś innego. Spotykani przez nas bliżsi i dalsi ich sąsiedzi pozdrawiali ich w pewien specjalny sposób. Było to tak wyraźne, że nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Ludzie okazywali im sympatię, szacunek i aprobatę.

Byliśmy na wykładzie Latającego Uniwersytetu. Adam Michnik miał wykład o stosunkach politycznych w końcowym okresie wojny. Czytałam oczywiście o tym, że wykłady takie mają miejsce, ale co innego czytać, a ci innego być obecnym i widzieć tych wszystkich młodych ludzi, którzy uczestniczyli w „odkamywaniu historii” i chcieli przywrócić „właściwe miejsce prawdzie” — jak to formuluje Deklaracja Ruchu Demokratycznego. Sytuacja, w jakiej odbywał się wykład: w ciasnym mieszkaniu, tłoczyło się ok. 30-35 osób, Adam na wielkim, sfatygowanym fotelu, dookoła niego niewiele młodszy słuchacz, siedzący, jak się dało, wprost na podłodze — zrobiła na Stenie Johanssonie wielkie wrażenie.

Pokazano prof. Johanssonowi wydawnictwa opozycyjne. Zdziwiony był niezmiernie tym, co zobaczył. Dyktatura, którą dotychczas znał raczej z krytykowanej przez siebie teorii leninowskiej o „partii-awangardzie” objawiła mu się tu w praktyce. Jak dalece teoretyczna wiedza jest nie wystarczająca pokazało jego



zarówno zaskoczenie prymitywną techniką i warunkami, w jakich pisma są wydawane, jak i pytanie, które zadał: „Czy opozycja nie mogłaby wykorzystywać państwowych drukarni przynajmniej w godzinach nocnych?”.

Sten Johansson miał więc okazję — w przeciwieństwie do oficjalnych delegatów — zobaczyć część polskiej rzeczywistości. Nie tylko zobaczyć ale — choć przez bardzo krótki czas — uczestniczyć w niej. W polskich warunkach bowiem (jak w każdej dyktaturze) ten, kto nawiązuje kontakt z opozycją, staje się automatycznie „wspólnikiem zbrodni”, musi poddać się tym warunkom, w których żyje opozycja. Kiedy wyszliśmy z mieszkania Adama Michnika z Jackiem Kuroniem, natychmiast ruszył za nami samochód „służb wyspecjalizowanych” jak mówi Adam Michnik. Sten Johansson po raz pierwszy w swoim życiu był śledzony. Brał udział w nielegalnych zebraniach i poinformowany o tym, że działa podstępnie, tak samo ściszał głos, jak jego rozmówcy.

Głównym tematem wszystkich rozmów była oczywiście sytuacja w Polsce, w szczególności przyczyny kryzysu ekonomicznego oraz sposoby wyjścia z niego. Wszyscy nasi rozmówcy byli zgodni, że kryzys panujący obecnie w Polsce jest najgłębszym kryzysem w całym okresie powojennym, a władze państwowe nie są zdolne do podjęcia jakichś skutecznych kroków wiodących do uzdrowienia sytuacji. Ze strony władz mamy do czynienia jedynie z doraźnymi decyzjami w poszczególnych sprawach — określanymi jako manewr gospodarczy, z których następnie władza często się wycofuje, lub które nie są przez administrację wykonywane. W prasie radio i telewizji oświadcza się natomiast, że wszystko jest w porządku. Jednocześnie rośnie opór społeczeństwa, które zmuszone jest do życia w coraz cięższych warunkach.

Wszyscy byli również zgodni, że kryzys ten nie jest zjawiskiem przypadkowym, lecz że jest związany z panującym systemem, że jest jego skutkiem. Główną cechą tego systemu jest podporządkowanie całego społeczeństwa władzy centralnej, pozbawienie — jak to określił Jacek Kuroń — narodu jego suwerenności, lub „zniewolenie społeczeństwa”, jak powiedział inny rozmówca.

Do tego, aby wyjść z kryzysu, konieczne jest obudzenie społecznej aktywności, powstawanie ruchów społecznych, samorządnych społecznych organizacji. Właśnie dlatego, tłumaczono szwedzkiemu socjaldemokracji, KSS „KOR” nie dąży do tego, aby stać się jakąś centralą różnych organizacji, lecz tylko inicjuje powstawanie różnych grup działania, które następnie powinny się usamodzielniać. Na przykład Latający Uniwersytet to już samodzielna, niezależna od KSS „KOR”-u instytucja. Tak samo Studenckie Komitety Solidarności, wszystkie wydawnictwa, oraz powstające grupy robotnicze.

Przezwyciężyć kryzys można jedynie przy poparciu społeczeń-

stwa, a do zyskania tego poparcia niezbędna jest demokratyzacja systemu. Tylko wtedy można będzie myśleć o przeprowadzeniu jakichś skutecznych reform (nawet podwyżkę cen), zwiększeniu wydajności pracy itp.

Hasło demokratyzacji, powiedział Tadeusz Mazowiecki, nie jest wymysłem garstki intelektualistów. Wolność jest również podstawowym warunkiem funkcjonowania gospodarki. „To naprawdę jest tak” — dodał żartobliwie, „że droga do kiełbasy wiedzie przez wzrost wolności”.

Jedną z najważniejszych przyczyn kryzysu na wsi jest długoletnia polityka partii. Ciągła groźba odebrania ziemi, brak pomocy, brak materiałów budowlanych, brak narzędzi (np. produkuje się jedynie ciągniki dla państwowych gospodarstw rolnych). Potrzebne jest, powiedział m.in. Jacek Kuroń, choćby oświadczenie władz, że nie zamierzają upaństwowiać czy kolektywizować rolnictwa. Istnieje paradoksalna sytuacja na wsi — mówił Tadeusz Mazowiecki — państwo uznaje z jednej strony, że indywidualne rolnictwo jest jedną z podstawowych gałęzi gospodarki, z drugiej robi wszystko, żeby je zniszczyć.

W pewnych sprawach istniały różnice w poglądach, które jednak mogę przedstawić tylko bardzo pobieżnie. Tadeusz Kowalik, wydaje mi się, kładł główny nacisk na konieczność podwyżki cen, zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw oraz jedną z podstawowych dróg do demokratyzacji widział w uprawnieniu załóg do zarządzania przedsiębiorstwem. Uważał, że żądanie podwyżki płac, które obecnie często ma miejsce, pochodzi przeważnie od grup najsilniejszych, najlepiej uposażonych, oraz że strajki, jakie często się zdarzają (np. w sprawie lepszego zaopatrzenia poszczególnych miejscowości w artykuły żywnościowe) wzmagają chaos gospodarczy i nie należy ich popierać.

Jacek Kuroń był innego zdania. Od podwyżki cen, mówił, nie przybędzie żywności. Podwyżka cen, o ile będzie dostatecznie duża, może zlikwidować kolejki — ale oznaczać to będzie jedynie, że ludzie o najniższych dochodach zostaną pozbawieni w ogóle możliwości kupna niezbędnych środków żywności, które obecnie, choć w udręce wielogodzinnego stania w kolejce, mają jednak szanse czasem kupić. Wszelkie autentyczne akcje społeczne, uważał Jacek Kuroń, są pożyteczne. Budzą bowiem aktywność społeczną, uczą ludzi upominać się o swoje prawa, występować wspólnie. Jeśli nawet jest prawdą, że strajki mają miejsce przede wszystkim wśród robotników najlepiej uposażonych, to i tak są one zjawiskiem społecznie pożytecznym, stają się mianowicie pewnym wzorem postępowania, dodają odwagi do podobnych wystąpień również grupom słabszym, stwarzają pewną praktykę, która jest normalna w innych społeczeństwach, a która została zniszczona przez totalitaryzm.

Sten Johansson zwrócił uwagę na to, że jego zdaniem, w Polsce mimo wszystko panuje większa wolność niż w takich krajach jak Czechosłowacja czy Rumunia — przypisując większe swobody temu, że Polska ma „lepszą” władzę. Owszem, opowia-



dano mu, istotnie mamy więcej wolności, ale tych swobód nie dostaliśmy w prezencji. Zostały one wywalczone przez społeczeństwo, które przez trzydzieści lat stawiało nieustanny opór totalitaryzmowi. Przez trzydzieści lat istniała opozycja katolicka, którą rząd musiał, chcąc nie chcąc zaakceptować, istniała niezależny kościół, oraz władze zostały zmuszone do odstąpienia od kolektywizacji. Na tym gruncie wyrósł obecny ruch oporu, który jest skutkiem tego co było, tego ruchu, który istniał i zbierał doświadczenia przez lata.

Pewną szczególną cechą polskiej opozycji jest to, że nie stanowi ona jakiejś małej grupy działającej w izolacji od społeczeństwa. Coraz szersze grupy społeczne stają się o ile nie aktywne to w każdym razie moralnie zaangażowane. Opozycja dąży do tego (i w dużym stopniu to osiąga), aby rosła świadomość, że opór jest konieczny, żeby ludzie zdawali sobie sprawę z charakteru panującego systemu, żeby nie dawali się okłamywać przez partyjną propagandę, żeby ci, którzy działają aktywnie mogli liczyć na sympatię i przynajmniej bierne poparcie społeczeństwa.

Inną cechą szczególną polskiej opozycji jest współpraca i wzajemne poparcie między katolicką „uznaną” opozycją a całym ruchem demokratycznym. Opozycja katolicka popiera ruch demokratyczny, popiera Latający Uniwersytet, Sudenckie Komitety Solidarności, nielegalne wydawnictwa.

Sten Johansson podjął również temat poruszony przez redakcję *Tiden* — przejścia do demokracji w warunkach komunizmu. Dlaczego jest w Polsce „trudniej” dokonać tego przejścia niż w Portugalii i Hiszpanii? Odpowiedziano mu na to, że hiszpańska i portugalska klasa robotnicza miała jednego tylko wroga — rodzimą dyktaturę, oraz, że system w tych krajach był mimo wszystko „bardziej otwarty”. Były większe możliwości wyjazdów do innych krajów, zdobycia literatury itp. Polska klasa robotnicza i opozycja musi stale liczyć się z groźącą inwazją wojsk rosyjskich, z tym że kraj jest zależny od obcego mocarstwa i jak to któryś z rozmówców określił „wprawdzie Polska nie jest krajem okupowanym ale jest na pewno krajem lennym”. Każdy zdaje sobie sprawę z tego, że granica działania opozycji jest wyznaczona przez obecność wojsk rosyjskich, przez groźbę rosyjskiej interwencji.

Organizatorzy Latającego Uniwersytetu poinformowali Stena Johanssona o koncepcji programu wykładów. Program przewiduje jakby dwie fazy. W pierwszej fazie — obecnej — podejmuje się wykłady na takie tematy które są bądź fałszowane bądź pomijane przez oficjalną naukę. W drugiej fazie przygotowuje się program, mający na celu ogólne wykształcenie, wychowanie światłego człowieka, który potrafiłby stawić opór totalitarnemu państwu, który miałby możliwość rozwijać się niezależnie od państwowej propagandy i przyczyniać się do odbudowania suwerenności społecznej. Ażeby móc przejść do tej drugiej fazy trzeba opracować program i mieć większe niż obecnie możliwości obrony

śluchaczy przed represjami. Może uda się to osiągnąć w przyszłości w miarę wymuszania od władzy większych swobód. Działalność wykładowa obejmuje coraz szersze grupy studentów. I coraz jest więcej profesorów chętnych do zaangażowania się. Są wśród nich członkowie PAN. W planach organizatorów Latającego Uniwersytetu jest ponadto stworzenie centrum niezależnych od państwa badań naukowych, przy których można by zatrudnić zwolnionych za swoje przekonania pracowników naukowych.

Jedną z ostatnio rozwijających się akcji jest działalność wśród robotników. Członkowie KSS „KOR”-u mają spotkania z robotnikami w różnych miastach. Dyskutują nad przyczynami kryzysu i warunkami pracy. Chodzi o to, aby robotnicy nauczyli się walczyć o swoje najbardziej elementarne prawa, takie jak przestrzeganie czasu pracy, polepszenie warunków pracy, zwiększenie bezpieczeństwa i higieny pracy. W walce tej będą zdobywać coraz większe doświadczenie i świadomość swojej sytuacji i swoich możliwości. Jacek Kuroń opowiadał, że na spotkania przychodzi od kilku do kilkudziesięciu osób. Zebrania odbywają się w różnych warunkach. Czasem w prywatnym mieszkaniu u któregoś z robotników, gdzie żona gospodarza częstuje herbatą i wszyscy są w niedzielnych garniturach, a czasem w jakimś opuszczonym składzie przyfabrycznym.

Już przed samym odjazdem mieliśmy możliwość być na zebraniu prawie całego KSS „KOR”-u. Na tym zebraniu przekazał Sten Johansson pozdrowienia dla KSS „KOR”-u od Szwedzkiej Partii Socjaldemokratycznej, oraz wyraził nadzieję, że zawarte kontakty będą kontynuowane.

Niezależnie od dalszego przebiegu procesów, które, miejmy nadzieję, wizyta Stena Johanssona zapoczątkowała, sam fakt, że miała ona miejsce ma duże znaczenie.

Maria BOROWSKA

## Wywiad z prof. Sten Johanssonem

### 1. — Jaki charakter miała Twoja podróż do Polski?

Sten Johansson: — Pojechałem do Polski jako redaktor pisma *Tiden* na zaproszenie KSS „KOR”-u. Od przeszło roku prowadzimy w *Tiden* teoretyczną dyskusję na temat: „Przejście do demokracji



w warunkach komunizmu". Chciałem nawiązać osobiste kontakty między redakcją a KSS „KOR”-em oraz zebrać materiał do dalszej dyskusji. *Tiden* jest organem szwedzkiej partii socjaldemokratycznej. Zadaniem pisma jest popieranie swobodnej dyskusji o polityce partii oraz o innych interesujących nas sprawach. Rozpoczęcie debaty o przejściu do demokracji w warunkach komunizmu jest przykładem naszej działalności.

Kiedy wyjeżdżałem do Warszawy otrzymałem od partii zadanie, aby przy okazji rozmów z KSS „KOR”-em przedstawić politykę szwedzkiej socjaldemokracji oraz przekazać KSS „KOR”-owi pozdrowienia od partii. Nie jestem jednak oficjalnym przedstawicielem partii lecz przede wszystkim redaktorem *Tiden*.

2. — *Co możesz powiedzieć ogólnie o stosunku szwedzkiej socjaldemokracji do polskiej opozycji?*

S.J.: — W ciągu całej swojej historii partia nasza stała na stanowisku bardzo wyraźnego rozróżniania między demokratycznym socjalizmem a marksyzmem-leninizmem. Pomimo to, utrzymujemy kontakty z oficjalnymi władzami we Wschodniej Europie. Dotyczy to szczególnie Polski, której rząd uważamy za nastawiony na rozwiązywanie zadań praktycznych oraz gotowy do tolerowania pewnej ograniczonej opozycji. Ale oczywiście szwedzka socjaldemokracja jest zainteresowana w dalszym rozwoju procesu demokratyzacji w Polsce. Dlatego chcemy mieć kontakty również z całym społeczeństwem, z nowo powstałymi siłami społecznymi a przede wszystkim z KOR-em. Mamy pełne uznanie dla walki KOR-u w obronie uwięzionych i prześladowanych robotników. Pozdrowienia od partii są właśnie wyrazem tego uznania. Z zadowoleniem przyjęliśmy wiadomość o tym, że wszyscy uwięzieni zostali zwolnieni. Fakt ten ułatwia utrzymywanie dalszych kontaktów z polskimi władzami, no i oczywiście z KSS „KOR”-em.

3. — *Spotkałeś wielu przedstawicieli polskiej opozycji, z którymi rozmawiałeś o sytuacji w Polsce i o działalności opozycji? Czy mógłbyś przedstawić swoje wrażenia z tych rozmów?*

S.J.: — Muszę zacząć od stwierdzenia, że po intensywnych rozmowach, które prowadziłem w czasie mego krótkiego pobytu w Warszawie czuję pewne zamieszanie i niepewność w moich dotychczasowych poglądach. Zauważyłem, że istnieją dosyć znaczne różnice zapatrywań między poszczególnymi grupami i osobami. Odniosłem również wrażenie, że opozycja jest organizacyjnie jeszcze słaba — w każdym razie w porównaniu ze szwedzkimi stosunkami. Cały ruch opozycyjny przypomina trochę spontaniczną działalność szwedzkich grup na rzecz FNL w Wietnamie przed 1970 rokiem, to znaczy jeszcze zanim ruch ten znalazł odpowiednie formy organizacyjne i zanim ukształtowało się kierownictwo.

To co mi bardzo zaimponowało u polskiej opozycji — to entuzjazm i wola walki o większą wolność i lepsze warunki życia. Pomimo różnic, o których już wspomniałem, istnieje tyle spraw, co do których wszyscy są zgodni, że jest możliwa współpraca i wzajemny respekt. Wydaje mi się, że grupy te tworzą jakby niepołączony wprawdzie więzi organizacyjnymi jednak wspólny front. Mówiono mi, że to jest nowa faza w rozwoju działalności opozycyjnej. Wspólna dla całej opozycji była mniej więcej taka ocena sytuacji: „żyjemy w totalitarnym systemie, pod realną groźbą interwencji z zewnątrz. Państwo ma monopol na kształtowanie opinii społecznej. Polityka państwa zmierza do dezintegracji społeczeństwa i uniemożliwienia wszelkiego autentycznego życia społecznego. Ale władza totalitarna jest obecnie skłócona wewnątrz i pod pewnymi względami osłabiona. To daje opozycji pewien margines działania. Wspólnym zadaniem całej opozycji jest wykorzystywanie tego marginesu i walka o poszerzenie go poprzez inicjowanie niezależnych od państwa, samorządnych społecznych organizacji”.

4. — *Szwedzka socjaldemokracja rozpoczynała walkę o lepsze warunki życia i sprawiedliwość społeczną od walki o demokratyzację systemu politycznego. Czy sądzisz, że jest to właściwa droga również obecnie w Polsce?*

S.J.: — Tak. Taki właśnie pogląd wyrażony jest w artykule *Tiden*. Teraz, kiedy ostatnie dyktatury w Zachodniej Europie zostały obalone i w Portugalii, Hiszpanii i Grecji ustanowiony został system demokracji parlamentarnej, można postawić pytanie dlaczego podobne zmiany nie mogłyby mieć miejsca również w Europie Wschodniej. Polska ma przecież własne tradycje demokratyczne. Ale oczywiście istnieją różnice między sytuacją, którą mamy obecnie i tą, w której ruch robotniczy zaczynał swoją działalność. Wtedy zarówno szwedzki jak i polski ruch robotniczy działały w podobnych warunkach. Obecnie różnica polega na tym, że Polska jest krajem uprzemysłowionym, lecz rządzonym przez komunistów.

5. — *Co możesz powiedzieć o poszczególnych inicjatywach działalności opozycyjnej?*

S.J.: — Studenci, wykładowcy i inni intelektualiści najłatwiej mogą komunikować się ze sobą i tworzyć organizacje. Latający Uniwersytet, który powstał na jesieni, osiągnął już znaczne rozmiary prowadząc regularne wykłady, m.in. z historii Polski. W pięciu miastach akademickich działają studenckie komitety solidarności, grupując setki studentów.

Najbardziej kontrowersyjne są oczywiście próby kontaktów między opozycją intelektualną a grupami robotniczymi. Kuroń, będąc najaktywniejszym działaczem w tej pracy, wydawał się być jedynym w tej chwili opozycjonistą, będącym pod jawnym,



całkiem widocznym nadzorem policji. Najważniejszym instrumentem tej kampanii jest mała, powielana gazetka *Robotnik*, którą dystrybuuje się w miejscach pracy. Tworzą się małe grupki wokół gazety, które czytają ją, dyskutują, zbierają materiały o ucisku i bezprawiu w stosunku do robotników.

Wydawało mi się, że nie nawiązał się jeszcze kontakt między intelektualistami a działaczami chłopskimi. Stosunkowo nowym zjawiskiem jest współpraca między „legalną” opozycją katolicką a intelektualistami lewicowymi, w miejsce poprzedniej nieufności i napięcia.

Przekazano mi również pogłoski o tym jakoby marszałek Sejmu Gucwa groził odejściem i poinformowano mnie o liście 14 byłych członków KC partii, którzy żądali pewnych reform demokratycznych. List ten opublikował *Der Spiegel* w miesiąc po mojej wizycie w Polsce. Oznacza to, że są również zwolennicy demokracji wewnątrz partii.

6. — *Od czego Twoim zdaniem zależy możliwość dalszego rozwoju i bezpieczeństwo opozycji?*

S.J.: — Ich bezpieczeństwo zależy od poparcia w szerokich kręgach społeczeństwa, które w pewnym stopniu opozycja już zdobyła. W stosunku do znaczenia tego poparcia rola zagranicy jest ograniczona choć ważna. W każdym razie jasne jest, że jakiegokolwiek represje wobec KOR-u czy protestujących robotników spowodują pogorszenie stosunków między naszą partią a oficjalnymi czynnikami polskimi.

7. — *Czy możesz coś więcej powiedzieć o działalności KOR-u, polegającej na organizowaniu grup robotniczych?*

S.J.: — Jacek Kuroń opowiedział mi, że miał spotkania z robotnikami w różnych miastach m.in. w Radomiu. Ta działalność opozycji polega na udzielaniu pomocy robotnikom występującym grupowo w obronie swych interesów. Chodzi o polepszenie warunków pracy, przestrzeganie czasu pracy, zwalczanie różnych przekroczeń administracji w dziedzinie obowiązujących przepisów, nieuzasadnione zwalnianie z pracy itp. Celem tej działalności jest zapoczątkowanie ruchu tworzenia grup robotniczych niezależnych od oficjalnych związków zawodowych, które by mogły skutecznie walczyć w obronie interesów ludzi pracy.

8. — *Co sądzisz o działalności wydawniczej opozycji?*

S.J.: — Oglądałem różne wydawnictwa wolnej prasy. Jan Lityński pokazał mi z wielką dumą czwarty numer *Robotnika*. Duma wynikała z faktu, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat nie zdarzyło się, żeby ukazały się w kraju aż cztery kolejne numery niecenzurowanego pisma. Widok tych pism był przejmujący, prawie

patetyczny był dla mnie dowodem tego, w jakich ciężkich i prymitywnych warunkach zmuszeni są pracować opozycyjni dziennikarze i wydawcy.

9. — *Jakie wrażenia z pobytu w Warszawie odniósłeś jako turysta?*

S.J.: — Stare Miasto jest wielkim przeżyciem dla zwiedzającego — oczywiście dopóki nie pomyśli się o kosztach. Centrum Warszawy wygląda mniej więcej tak, jak każde duże miasto w Europie. Ale jeżeli tylko wyjdzie się poza centrum uderzają duże kontrasty. Widoczna jest ciężka sytuacja mieszkaniowa. Domy są zniszczone, dawno nie odnawiane.

10. — *W artykule „Przejście do demokracji w warunkach komunizmu” redakcja Tiden wyraziła pogląd, że zachodnia socjaldemokracja nie określiła jeszcze swojego stosunku do opozycji w Europie Wschodniej, czego przyczyny leżą m.in. w tym, że nie wiadomo, jakie siły społeczne są tam motorem zmian. Czy podróż do Polski i rozmowy z opozycją przyczyniły się do wyjaśnienia tej sprawy?*

S.J.: — Tak, oczywiście. Moje wyobrażenie o sytuacji uległo zmianie. Zobaczyłem sam, w jakich warunkach opozycja pracuje, jakie ma ogromne trudności.

11. — *Czy socjaliści z Europy Wschodniej i Zachodniej mogą nauczyć się czegoś nawzajem od siebie?*

S.J. — Oczywiście. Szczególnie obecnie, gdy dyskutujemy w Szwecji tzw. „trzeci etap” rozwoju to znaczy takie sprawy jak m.in. demokratyzacja życia gospodarczego, oraz demokratyzacja stosunków pracy — istnieją wszelkie powody, aby zapoznać się z doświadczeniami Europy Wschodniej. W szczególności możemy dużo nauczyć się na błędach, jakie tam popełniono. To może nam pozwolić uniknąć groźących niebezpieczeństw. Również sądzę, że ci, którzy walczą o reformę stosunków w Europie Wschodniej mogą nauczyć się czegoś od nas — np. w dziedzinie kultury politycznej lub dalekowzrocznej taktyki organizacji politycznych; choć oczywiście ich działalność musi przede wszystkim opierać się na własnych tradycjach.

Ale mój pobyt w Polsce był za krótki na to, aby w sposób głębszy móc zapoznać się z interesującymi mnie problemami. Mam nadzieję, że będę miał możliwość ponownego wyjazdu do Polski i kontynuowania dyskusji o przejściu do demokracji w warunkach komunizmu. Wydaje mi się, że byłoby interesujące przeprowadzić rozmowy na ten temat również z osobami działającymi w partii komunistycznej.



## Prasa samizdatowa w Polsce

25 grudnia 1977 roku ukazał się pierwszy numer pisma *Gospodarz* (pismo w obronie praw chłopskiej gospodarki rodzinnej). Pismo jest wydawane przez Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela; redagują je: J. Pypiak, Bogumił Studziński. Pismo ukazuje się nakładem Wydawnictwa Polskiego.

Ukazał się numer drugi *INDEKSU* — niezależnego pisma studenckiego — Kraków - Łódź - Warszawa.

Numer ten zawiera: O nowych przepisach stypendialnych; Warszawski SKS — deklaracja; wiadomości studenckie; Aktywista zapytuje; Słowo o niezależności; Pałka i paragraf; Na niecenzurowanym (1), pierwszy numer „Bratniaka”, KRAM — czyli stragan, W rocznicę 11 listopada, wywiad z E. Morgiewiczem (członkiem Amnesty International).

Pismo redagują: Jan Eisner (Warszawa), Ludwik Dorn (Warszawa), Urszula Doroszewska (Warszawa), Sergiusz Kowalski (Warszawa), Lesław Maleszka (Kraków), Tomasz Schoen (Kraków), Paweł Spondenkiewicz (Łódź), Bronisław Wildstein (Kraków).

**SPOTKANIA.** W październiku 1977 roku ukazał się pierwszy numer *Spotkań* — niezależnego pisma młodych katolików. W artykule wstępnym redakcja pisze: „Profil naszych *Spotkań* jest konsekwencją przyjęcia przez nas katolickich ideałów. W podstaw przyjętej przez nas inicjatywy wydawniczej leży z jednej strony potrzeba uruchomienia w środowisku katolickim niezależnego forum, którego zadaniem byłoby kształtowanie postawy świadomego katolika, z drugiej zaś przekonanie, że *Spotkania* staną się jeszcze jednym głosem w podejmowanej ostatnio społecznej dyskusji. Zdajemy sobie jednak sprawę z konieczności konfrontowania różnych nurtów społeczno-politycznych i światopoglądowych składających się na niezależną opinię w kraju. Konieczność ta podyktowana jest nie tylko zagrożeniem płynącym ze strony totalitarnej władzy wobec wszelkiej niezależnej myśli, ale przede wszystkim dążeniem do wzajemnego zrozumienia i współpracy tych nurtów”. W numerze znajdują się m.in. artykuły „Sprawy Żydów czy antysemityzm”, „Ukraińcy wobec państwowości polskiej”, wiersze i informacje.

**POLSKA WALCZĄCA.** W listopadzie 1977 r. ukazał się pierwszy numer dwumiesięcznika *Polska walcząca*. Pismo wydawane jest przez grupę opowiadającą się za konspiracyjnymi formami działalności opozycyjnej. Numer zawiera m.in. trzy kolejne wersje programu *Polski Walczącej*, artykuł polemizujący z programem oraz omówienie form działania grup pozostających w konspiracji.

**ROBOTNIK.** W listopadzie 1977 r. ukazały się dwa kolejne (4-ty i 5-ty) oraz 6-ty (specjalny) numery *Robotnika*. W numerze 4-tym znajdujemy m.in. artykuł „Dlaczego nie ma mięsa”; list W. Kobyłki z Radomia o sytuacji pracowników Radomskich Zakładów Przemysłu Skórzanego; relację z kuźni Z.M. oraz stałą rubrykę „Złamany paragraf” (o pracy po godzinach). Nr 5-ty otwiera informacja o powołaniu „Radomskiej Komórki *Robotnika*”. Pierwszy numer Radomskiej komórki *Robotnika* zawiera program działania na rzecz niezależnych przedstawicielstw robotniczych. Za Radomską komórkę *Robotnika* numer podpisał Leopold Gierek. *Robotnik* nr 5-ty zawiera ponadto artykuł Jana Lityńskiego „Podwyżka cen”, informacje o szykanowaniu przez MO i SB robotników współdziałających z KOR'em.

**PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ B.I.** W Nr. 3-cim *Przeglądu* znajdujemy artykuły komentujące sytuację w Polsce i innych krajach bloku wschodniego, wywiad z Andriejem Amalikiem, teksty o eurokomunizmie, oraz następującą wiadomość o ukazaniu się pisma *Ancora*:

*Ancora.* Pismo wydawane przez anonimowych księży patriotów na powielaczu. — *Ancora* (redaguje kolegium, 00-953 W-wa, skrytka 105) — krytycznie wobec Episkopatu Polski, wystąpiło w obronie porządku w Kościele. W numerze z czerwca 1977 roku znajdujemy cztery teksty opublikowane w formie listów do redakcji, piętnujące głodówkę, która miała miejsce w warszawskim kościele św. Marcina. Głodówka została przedstawiona czytelnikom jako akcja terrorystyczna: „Porównuję to z porwaniem samolotów czy z ostatnim tragicznym wydarzeniem, jakie miało miejsce w Holandii — porwanie dorosłych i dzieci w charakterze zakładników”.

W *Życiu Warszawy* próbowano oddzielić Kościół od ludzi walczących o sprawiedliwość, a rektora kościoła św. Marcina przedstawiono jako biedną ofiarę bezczelności uczestników głodówki. *Ancora* traktuje go inaczej: „Przećcież ci uczestnicy głodówki z Kościołem nie mają nic wspólnego. Bo cóż może szukać semita w Kościele katolickim, jak nie okazji do wykorzystania Go do własnych celów. Słyszałem, że nie przypadkowo wybrano kościół, którego rektor to współziomek głodujących w nim ludzi”.

*Ancora* sięgnęła też do argumentacji ściśle religijnej próbując wmówić czytelnikom, że głodówka jest... grzechem samobójstwa. Należałoby więc napiętnować też irlandzkiego bohatera narodowego Terrence'a MacSwineya, którego grzech był jeszcze cięższy, bo w czasie strajku głodowego przyjmował on codziennie komunię świętą.

Dwa dalsze „listy” wskazują na konieczność utworzenia Funduszu Emerytalnego Caritasu dla księży. Jak wiadomo, od kilkunastu miesięcy podejmowane są naciski na księży w sprawie przystępowania do tego Funduszu. Są to najnowsze próby obliczone na poróżnienie duchowieństwa i biskupów. Z okazji działalności *Ancory* warto przytoczyć dramatyczny list pasterski biskupów polskich z grudnia 1950, ostrzegający m.in. przed księżmi,

którzy dali się zwerbować do pracy przeciw Kościołowi i prawowitej władzy katolickiej: „Gdyby zjawiał się więc wśród nas kapłan, chociażby ważnie wyświęcony, ale nie przysłany przez prawowitego biskupa [...], gdyby w działalności swej występował przeciwko Ojcu Świętemu i swojemu biskupowi, wtedy nie jest on dobrym pasterzem, lecz wilkiem, który zakradł się do owczarni Chrystusowej”.



## TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH

Niżej podpisani, powołujemy do życia Towarzystwo Kursów Naukowych. Inicjatywą tą pragniemy wyjść naprzeciw dążeniom do poszerzenia, wzbogacenia i uzupełnienia wiedzy, które ożywiły się od pewnego czasu w kręgach młodzieży studenckiej i młodej inteligencji w Polsce. Dążenia te są szczególnie żywe w zakresie nauk społecznych i humanistycznych. Rodzi je potrzeba rozumienia epoki i społeczeństwa, w którym żyjemy, oraz chęć pogłębienia własnej samowiedzy. Zarówno to ożywienie intelektualne, jak i jego motywy są zjawiskiem niezwykle cennym społecznie. Bez poszukiwania prawdy o świecie i samym sobie nie mogą bowiem kształtować się twórcze, samodzielne, obywatelskie postawy ludzi. Dla ich formowania nie wystarczą, skądinąd niezbędne zdobywanie kwalifikacji specjalistycznych, lecz konieczne jest również zrozumienie całości życia społecznego. Potrzebna jest głęboka wiedza o historycznej genezie dnia dzisiejszego we wszystkich jego wymiarach. Nigdzie na świecie system szkolnictwa nie jest zdolny sprostać dziś tym potrzebom. Nastawiony przede wszystkim pragmatycznie sprzyja, zarówno w nauczaniu, jak w badaniach, coraz dalszemu zwięzaniu specjalizacji. Dezintegruje przez to niebezpiecznie kulturę na jej warstwę instrumentalną i poznawczą ze szkodą dla obu. Przekształca inteligenta w wykonawcę zadań, w których formułowaniu nie tylko nie uczestniczy, ale sensownie uczestniczyć nawet nie może. Bowiemy właśnie wskutek wąskiej specjalizacji zawodowej nie jest w stanie zdać sobie sprawy z charakteru ich konsekwencji. Struktura władzy politycznej w naszym kraju pogłębia to potencjalne niebezpieczeństwo. Przynosi to szkodę społeczeństwu, jego nauce i kulturze. Najbardziej odczuwa to młodzież, dlatego szuka zaspokojenia swych potrzeb podejmując inicjatywy samokształceniowe. Niedostatki wykształcenia oficjalnego, oraz polityczne i ideologiczne ograniczenia nauki, znane były i krytykowane od wieków. Chcąc im zaradzić społeczeństwa tworzyły i tworzą instytucje, oraz formy nauczania i samokształcenia poza systemami oświaty oficjalnej. Również dzieje nauki i oświaty polskiej mają w tym względzie świetne tradycje wielu towarzystw oświatowych, Uniwersytetu Latającego, poradnika dla samouków, czy Wolnej Wszechnicy Polskiej w okresie międzywojennym. Świadomi tej tradycji, oraz współczesnych potrzeb występujemy z naszą inicjatywą, mającą na celu pomoc wszystkim, którzy, poprzez samokształcenie, pragną wzbogacać swą wiedzę. W miarę swych możliwości chcemy służyć radą, informacją, oraz pomocą dydaktyczną i naukową każdemu, kto zechce się o to do nas zwrócić. Rada programowa, którą wyłaniamy weźmie na siebie merytoryczną odpowiedzialność za poziom i programy tej działalności, jej metody i kierunki, swobodę dyskusji i dociekań. Zaczątkiem tej działalności jest praca grup samokształceniowych, które w bieżącym roku akademickim studiuja i studiować będą wybrane zagadnienia historii, socjologii, ekonomii, literaturoznawstwa, filozofii i pedagogiki. Zajęcia są powszechnie dostępne i bezpłatne. Uczestniczą w nich studenci i absolwenci wszystkich niemal kierunków studiów, oraz pracujący bezinteresownie wykładowcy. Mimo że udział w samokształceniu nie daje żadnych praw i nie zapewnia dyplomu zainteresowanie młodzieży jest znaczne, co potwierdza społeczną potrzebę takiej działalności. Przedsięwzięcie nasze podejmujemy w przekonaniu, że działanie tego rodzaju jest dziś pilnie potrzebne. Rozwój tej inicjatywy uzależniamy od jej przyjęcia przez samą młodzież studiującą, oraz od poparcia przez społeczeństwo.

Warszawa, dnia 22 stycznia 1978 roku.

Stefan AMSTERDAMSKI, Stanisław BARAŃCZAK, Władysław BAR-

TOSZEWSKI, Władysław BIEŃKOWSKI, Jacek BOCHEŃSKI, Marian BRANDYS, Alina BRODZKA, Hanna BUCZYŃSKA-GAREWICZ, Tomasz BUREK, Andrzej CELIŃSKI, Mirosława CHAMCÓWNA, Bogdan CYWIŃSKI, Izidora DABSKA, Roman DUDA, Kornel FILIPOWICZ, Wacław GLEICHGEWICHT, Michał GŁOWIŃSKI, Antoni GOŁUBIEW, Joanna GUZE, Stanisław HARTMAN, Aleksander HAUKE-LIGOWSKI, O.P., Maria JANION, Aldona JABŁOWSKA, Jerzy JEDLIŃKI, Jakub KARPINŃSKI, Adam KERSTEN, Jan KIELANOWSKI, Andrzej KIJOWSKI, Tadeusz KOWALIK, Waldemar KUCZYŃSKI, Władysław KUNICKI-GOLDFINGER, Edward LIPIŃSKI, Jan Józef LIPSKI, Hanna MALEWSKA, Marian MAŁOWIST, Tadeusz MAZOWIECKI, Adam MICHNIK, Halina MIKOŁAJSKA, Zygmunt MYCIELSKI, Irena NOWAKOWA, Seweryn POLLAK, Irena PŁAWIŃSKA, Stanisław RODZIŃSKI, Barbara SKARŻANKA, Adam STANOWSKI, Julian STRYKOWSKI, Jan Józef SZCZEPAŃSKI, Zdzisław SZPAKOWSKI, Wistawa SZYMBORSKA, Marek TABIN, Karol TARNOWSKI, Andrzej TYSZKA, Henryk WERESZYCKI, Andrzej WERNER, Krzysztof WOLICKI, ks. Władysław WOŁOSZYN, Maria WOSIEK, Jacek WOŹNIAKOWSKI, Adam ZAGAJEWSKI, Czesław ZGORZELSKI, Tadeusz ZIPSER.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

## GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F. 75,00.



## Sąsiedzi

### Co się dzieje w Niemczech?

O Niemczech i o Niemcach wciąż jeszcze krążą stare, wyświechtane pojęcia, że panuje tam idealny ład, porządek i posłuch, że obce im są rewolucyjne poddmuchy, niesubordynacja, opór. Zapomina się przy tym, że na przykład trzej panowie: Luter, Marks i Hitler narobili niemało zamieszania w historii i polityce. Można by do tego dorzucić dwie wojny światowe, z których pierwsza wynikała nie bez niemieckiej kozery, a druga już zupełnie i wyłącznie została rozpętana przez Niemców. Potem jednak, gdy Niemcy ciężko za to zapłaciły i znalazły się w nowym układzie rozbiorowym, świat w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zwykł patrzeć na dwa państwa niemieckie jak na element stabilizujący system pojałtański. Na tle dwóch „cudów gospodarczych” — tego wielkiego w Niemczech Zachodnich i tego małego w Niemczech Wschodnich — przyzwyczajono się na Zachodzie i na Wschodzie traktować problem niemiecki z ufnością. Poszły w międzyczasie w niepamięć rozruchy czerwcowe z 1953 roku i ideologiczne wstrząsy polskiego i węgierskiego Października 1956 roku. Kiedy zaś po okresie „zimnej wojny” przysłała moda na „koegzystencję” a w ślad za nią na „odprężenie”, podczas których pogrzebano wszelkie plany zjednoczenia Niemiec — wzmacniając prowizorium z Jałty i Poczdamu siecią układów Republiki Federalnej Niemiec z ZSSR, PRL, NRD oraz berlińską umową czterech mocarstw — wielu ludziom wydawało się, że kwestia narodowa w Niemczech stała się sprawą nieistotną. Wszystkie biurokracje współczesnego świata — z wyjątkiem chińskiej — odetchnęły z ulgą, zaś euforia po konferencji w Helsinkach to poczucie jeszcze mocniej — choć na krótko — pogłębiła.

Zakotłowało się w sennym dotychczas getcie dyplomatycznym Wschodniego Berlina. Zaczęli się zjeżdżać po drugiej stronie muru przedstawiciele wszystkich państw. Alianci na gwałt likwidowali w Zachodnim Berlinie wszystkie agendy i biura studiów zajmujące się dotychczas badaniem rozwoju sytuacji w NRD.

Amerykańskie radiostacje monachijskie dokonały podobnej akcji samolikwidacyjnej już grubo przedtem. Pisma i radiostacje z Niemiec Zachodnich, a częściowo z krajów zachodnioeuropejskich zaczęły ubiegać się o akredytację swych korespondentów przy reżymie Honeckera. Kłaniano się sobie wzajemnie, wymieniano frazesy i dusery, chwalono wzajemny realizm i lojalność wobec odprężenia, wypijano ideologiczne „bruderszafty” zakrapiane protektoratową „moskiewską” lub bratnią „wyborową”. Kto zaś w tym upojeniu nowymi czasami nie brał udziału, a nawet (o zgrozo!) pozwalał sobie zakłócać idyllę przypomnianiem nieładnych zjawisk jak np. „psychuszki” czy łagry Breżniewa lub zbrodnie popełniane przy murze berlińskim, ten stawał się automatycznie osobnikiem podejrzanym, wrogiem odprężenia, zwolennikiem powrotu do „zimnej wojny”.

#### *Niespodzianki odprężenia*

Architekci polityki odprężenia nie przewidzieli następstw tego wariantu w stosunkach Wschód-Zachód w Europie Wschodniej, a zwłaszcza w podzielonych Niemczech. Przenieśli widocznie wytrzymałość reżymów komunistyczno-biurokratycznych w odniesieniu do nowych zjawisk, które w mniemaniu oficjalnych teoretyków tej koncepcji i jej wykonawców miały być tylko ubocznym produktem systemu pogłębiania współpracy i bezpieczeństwa na platformie między państwowej, nie stanowiącym poważnego zagrożenia dla stabilizacji układów wewnętrznych po obu stronach granicy sfer wpływów i ustrojów. A tymczasem w zupełnie innym kierunku rozwijały się procesy interpretacji i praktycznego podejścia politycznie uświadomionych grup społeczeństwa na platformie między państwowej, nie stanowiącym poważnego zagrożenia dla stabilizacji układów wewnętrznych po obu stronach granicy sfer wpływów i ustrojów. A tymczasem w zupełnie innym kierunku rozwijały się procesy interpretacji i praktycznego podejścia politycznie uświadomionych grup społeczeństwa w obrębie strefy sowieckiej, zainteresowanych w dynamicznym zastosowaniu formuły odprężeniowej jeśli idzie o podstawowe interesy narodowe i społeczne. Okazało się bowiem, i to bardzo szybko, że oligarchia sowiecka pod egidą grupy Breżniewa i związane z nią rządzące grupy satelickie co prawda z jednej strony zdobyły upragnione gwarancje *status quo* — o które się przez wiele lat na próżno ubiegały — ale z drugiej zostały skonfrontowane z dążeniami rozmaitych środowisk, które w nowych układach dojrzały szansę reformy skostniałego systemu i zaczęły o to walczyć.

Na skutek układów z Niemcami Zachodnimi i umizgów biurokracji partyjno-rządowych w Europie Wschodniej do kapitalizmu zachodniemieckiego, pogrzebano oficjalnie straszak niemieckiego odwetu, który przez dwadzieścia lat służył skutecznie propagandzie sowieckiej zarówno w ZSSR jak i w krajach satelickich. Jest jednak charakterystyczne, że podczas rewolucji robotniczej w Polsce w grudniu 1970 roku, a potem w czerwcu 1976 sprawa niemiecka nie grała już żadnej roli i władze nie mogły jej użyć jako argumentu ani przy represjach ani przy propagandzie. Z drugiej strony warto przypomnieć, że obydwie wstrząsy



społeczne w PRL wynikały nieomalże nazajutrz po udanych próbach normalizacji stosunków z RFN, a więc dla Gomułki po układzie warszawskim z 7 grudnia 1970 a dla Gierka po jego korzystnej wizycie u kanclerza Schmidta w czerwcu, na krótko przed wydarzeniami w Radomiu i w Ursusie. W obu tych wypadkach kierownicy PRL przeliczyli się nie biorąc pod uwagę pozytywnego wpływu na psychikę szerokich mas w Polsce tego rodzaju układów z „bogatymi” Niemcami.

Jeżeli jednak w ciągu siedmiu lat zaszły takie zmiany psychologiczne nawet w Polsce, gdzie groźba odwetu niemieckiego wywoływała na pewno większe obawy niż w innych tzw. demokracjach ludowych, to łatwo można sobie wyobrazić jak wiele w ogóle się zmieniło od roku 1968. Zbrojne zajęcie Pragi, „doktryna Breżniewa”, a ponadto stanowisko Chin wobec ZSSR wypełniły pustkę powstałą na skutek ideologicznego indyferentyzmu całego zachodniego obozu politycznego, bez względu na to, czy ktoś wierzy w „odprężenie” czy nie, czy jest u władzy czy też w opozycji. Chińskie definicje o „nowych carach” i o „socjalimperializmie” moskiewskim trafiły w sedno. Nieważne jest czy model chiński podoba się narodom uciemżonym, czy nie. Zresztą Chińczycy nie pretendują do tego, by ich doświadczenia czy niepowodzenia miały być transponowane na wysoko rozwinięte społeczeństwa w Europie Wschodniej i Środkowej. Jest faktem, że ich sposób traktowania Moskwy nie tylko podoba się opozycji w krajach bloku sowieckiego, ale — w pewnym stopniu — podtrzymuje ją na duchu czy nawet ośmiela.

#### *Dwu-lojalizm i niemiecka sprawa narodowa*

Po klęsce południowego Wietnamu, sprzymierzonego ze Stanami Zjednoczonymi, z trzech powojennych państw podzielonych pozostały tylko dwa: dwie Koree i dwa państwa niemieckie. Zostawmy w spokoju Koree i zajmijmy się sprawą Niemiec. Nie trzeba bawić się w proroka, by stwierdzić, że problem podzielonych Niemiec będzie w ciągu następnych dziesięcioleci kluczowym zagadnieniem politycznym Europy. Wszystkie inne niezafatwione sprawy narodowe i narodowościowe w zamkniętych obwodach etnicznych pozostaną oczywiście nadal na porządku dziennym spraw wewnętrznych, a nawet w związku z imperializmem sowiecki również tematem międzynarodowych sporów i dyskusji, ale w porównaniu z zagadnieniem niemieckim są i będą sprawą drugorzędą.

Dlatego pewne poruszenie w stojącej — jak się wielu dyplomatom i dziennikarzom do niedawna wydawało — wodzie niemieckiej jest pierwszym zwiastunem nowych prądów.

Przy wszystkich historycznych, czasowych, światopoglądowych i międzynarodowych odchyleniach sytuacja dzisiejszych Niemiec przypomina sytuację Polski porobiorczej w XIX-tym wieku, częściowo po Kongresie Wiedeńskim, ale także z czasów po pow-

staniu styczniowym. Różnice można by wyłożyć w pracy naukowej. Ograniczmy się do wykazania podobieństw, których jest niemało. Z sytuacją Polski po Kongresie Wiedeńskim można porównać dążenie głównych mocarstw do pacyfikacji niemieckiej sprawy narodowej w ramach układów i w oparciu o dwu-lojalizm rządzących sił w Bonn i w Berlinie Wschodnim. Nawet istnienie Zachodniego Berlina — w sensie politycznym nikomu dzisiaj niepotrzebnego — można porównać do kadłubowej Rzeczypospolitej Krakowskiej pod nadzorem Austrii, Rosji i Prus.

Nie przypadkowo główny architekt amerykańskiej polityki odprężeniowej, Kissinger, uważa Metternicha za swojego ojca duchowego. A polityka Breżniewa ma wiele wspólnego z polityką cara Mikołaja I-go, który za granicą uchodził za twórcę i zwolennika ówczesnego odprężenia i ówczesnej współpracy międzynarodowej. Nie chodzi tu oczywiście o analogie, bo takich być nie może, ale o pewne sytuacje wywodzące się z podobnych, jak wówczas, układów międzynarodowych i z narastających zjawisk zaprzeczających trwałości tych konstrukcji, gwałcących podstawowe prawa narodowe i moralne. Dwu-lojalizm niemiecki mógł działać tak długo, dopóki obywatelom niemieckim w obydwu państwach rozbiorowych chodziło o odbudowę gospodarki, o dobrobyt i znośną egzystencję. Można by to chyba porównać do epoki „pracy organicznej”. Poza tym prowizorium bez układów gwarantujących *status quo* z jednej strony dawało nadzieję podanym, że jednak coś się może zmienić, a z drugiej sytuacja niepewności odbierała Niemcom odwagę do jakichkolwiek śmielszych koncepcji w układzie sił europejskich i światowych.

Ta dziwna dychotomia ciąży wciąż jeszcze na mentalności niemieckiej i znajduje stale wyraz z polityce i publicystyce, a nawet w prywatnych rozmowach ludzi myślących kategoriami politycznymi.

Ale ważniejszą pochodną wschodnich układów Republiki Federalnej jest fakt, że średnie, a przede wszystkim młode pokolenie, nieobarzone kompleksami zbrodni hitlerowskich, wyciągnęło z nowej sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej konsekwencje, które podminowują ustrój podwójnego Niemczech Wschodnich. Stała się bowiem rzecz paradoksalna: główny rzecznik i autor wszystkich planów nowej polityki wschodniej w Bonn, Egon Bahr, ogłosił w 1963 roku tezę „Przemiany na skutek zbliżenia” (*Wandel durch Annäherung*). W międzyczasie, dzięki układom Bonn-Wschodni Berlin, doszło do masowych spotkań Niemców z RFN i NRD, oczywiście spotkań polegających na jednostronnym ruchu poprzez mur berliński: konkretnie ok. 11 milionów Niemców zachodnich co roku odwiedza wschodnią część podzielonego kraju, a z drugiej strony jedynie renciści, to znaczy mężczyźni w wieku powyżej 65 lat, a kobiety po 60-tce. Oczywiście, że spotkania te dotyczą nie tylko spraw czysto rodzinnych, porównywania karier, cen, warunków życia codziennego. Są też niemieckie „nocne rośdaków rozmowy”, których nie mogą zbadać, ani bezpieczeństwa wschod-



nioniemiecka, ani instytuty badania opinii publicznej na Zachodzie. Z tych spotkań, jak i z praktyki polityki odprężeniowej pomiędzy obydwojoma odmiennymi reżymami na Wschodzie i na Zachodzie, a wreszcie na skutek oddziaływania środków masowego przekazu, czyli radia i telewizji RFN, które pokrywają całe terytorium NRD i są głównym środkiem informacji dla tamtejszych mieszkańców — wynikało to, o co właściwie Bahrowi chodziło. Niemcy Wschodnie na skutek hegemonii rosyjskiej, niemożności odbywania swobodnych podróży na Zachód i masowego napływu Niemców zachodnich stały się Piemontem odrodzenia narodowego i czynnikiem nieustannego fermentu.

Reżym NRD'owski, idąc śladem swych rosyjskich profesorów, poszedł — jak się obecnie wydaje — na bardzo ryzykowną grę, dokonał bowiem dość wielkiej — nie tyle ilościowo, ile jakościowo — banicji pisarzy, naukowców, aktorów i w ogóle niekonformistycznych intelektualistów, zapominając przy tym, że jest kolosalna różnica pomiędzy wysiedlaniem Rosjan z Rosji i Niemców z podzielonych Niemiec. Obecnie dochodzi do tego, że grupa wyrzuconych intelektualistów ze Wschodnich Niemiec stała się swego rodzaju nową partią nie w dosłownym sensie gry parlamentarno-politycznej, ale w kontekście wpływania na opinię publiczną po obu stronach muru. W warunkach rewolucji technicznej i wspomnianych już funkcjach środków masowego przekazu, które nie są w Niemczech Zachodnich obiektem polityki rządowej, lecz korzystają z szerokiej autonomii, banicy z Niemiec Wschodnich stają się coraz bardziej rzecznikami sprawy narodowej. Jest to ruch wahadłowy, wymykający się spod kontroli podwójnej lojalności sił rządzących w obydwu krajach. Idee, które powstają w Niemczech Wschodnich, sygnalizowane są Zachodowi w rozmaity sposób, poprzez miliony rodaków odwiedzających NRD, studentów odwiedzających masowo Berlin Wschodni, lub też innymi kanałami. Idee te czy programy, lub tylko pomysły i zapłony wracają z powrotem na falach radiowych i w programach telewizyjnych do NRD i stają się tematem codziennych rozmów nie tylko w czterech ścianach, ale i w instytucjach, fabrykach, biurach, etc. Z tego ruchu wahadłowego wynikł Manifest opozycji lewicowej, pod nazwą „Związku Komunistów Niemieckich”. Jest to tylko jedna wypowiedź spośród rozmaitych prądów podminowujących *status quo* w NRD.

### Kryzys lojalizmu

Manifest wywołał istną burzę w kołach rządzących w RFN i NRD, zaniepokoił zarówno Rosjan jak i Amerykanów, a przede wszystkim biurokrację państwowo-partyjną we Wschodnim Berlinie i w Bonn. Reżym komunistyczny wysunął od razu tezę o prowokacji, uknutej w biurach wywiadu zachodnioniemieckiego, Krótko po tym przywódca partii parlamentarnej socjaldemokratów w Bonn, Herbert Wehner, poszedł mniej więcej po tej samej

linii mówiąc o prowokacji powstałej nie z inspiracji zachodnioniemieckiej, lecz ukutej w Niemczech Wschodnich, godzącej w podstawy ładu polityki normalizacyjnej i odprężeniowej. Inni krytycy Manifestu zarzucili autorom, że nie operują językiem i pojęciami marksistów i aparatu. Jest to dość dziwaczne traktowanie historii i przemian ideologiczno-społecznych. Panowie wyrażający ten pogląd nie zdają sobie widocznie sprawy, że ruchy opozycyjne w łonie bloku sowieckiego wyszły już, mówiąc językiem Lenina, z dziecięcej choroby rewizjonizmu i poszły w kierunku, który zaincjował Sacharow w Związku Sowieckim i za którym poszli opozycjoniści ukraińscy, litewscy, polscy i czechosłowaccy, odcinając się od dawnego modelu reformizmu wewnątrz partii.

Przyspieszenie tempa ruchu opozycyjnego w Niemczech Wschodnich po wielu latach stagnacji ma oczywiście głębsze i ogólniejsze podstawy, niż to było powiedziane wyżej. Wynika ono nie tylko ze zmiany pokoleń i niezadowolenia z konstrukcji ładu po-jałtańskiego i po-poczdamskiego. Rzutują na to rozmaite prądy we współczesnym układzie sił międzynarodowych. Ważną sprężyną i motorem kryzysu, podważającego tę strukturę lojalności wobec państw okupacyjnych są oczywiście wpływy idące do NRD ze Wschodu, w tym niepoślednią rolę odgrywają następstwa tzw. otwartej granicy, ustanowionej w porozumieniu między Gierkiem a Honeckerem w 1971 roku. Nie trzeba zapominąć, że przez granicę na Odrze i Nysie przepływają corocznie wielomilionowe rzesze Niemców i Polaków. I przy tych spotkaniach nie mówi się wyłącznie o cukrze, kiełbasie i benzynie. Wynika z tego wzajemne zapładnianie się ducha opozycyjnego wobec Moskwy i jej hegemonii, jak też wobec rodzimych satrapów. Również i tego nie przewidzieli architekci planu warszawsko-wschodnioniemieckiego.

Inną stroną tego zagadnienia jest kryzys wewnętrzny systemu komunistycznego w Niemczech Wschodnich, podobnego typu jak w Polsce. Chodzi tu o pochodne polityki nepowskiej, tj. socjalizmu konsumpcyjnego. Tak jak w Polsce system ten, polegający na apelowaniu do czynników czysto materialnych, w sferze moralno-etycznej również i w NRD doprowadził do podwójnej moralności w aparacie rządzącym i do niesłychanej, jak na stosunki niemieckie, korupcji. Najpopularniejszym powiedzeniem jest: „Co jest gorsze pojechać na roboty na Syberię czy nie mieć chodów”. Reżym Honeckera stworzył podwójny typ sklepów: po cenach dla biednych i po podwójnych — dla bogatych. Ustanowił wolne operowanie dewizami wewnątrz kraju, zwłaszcza walutą zachodnioniemiecką, dał szansę aparatczykom do bogacenia się na prawo i na lewo, do budowania willi, kupowania jachtów, zagranicznych samochodów, etc. W społeczeństwie NRD'owskim powstał podział na dwie kategorie ludzi: walutowców i niewalutowców, złodziei i niezdary, spryciarzy i naiwnych. Ale pomiędzy tymi kategoriami istnieje jeszcze jedna — chyba najliczniejsza — grupa ludności, rekrutująca się z niezadowolonych, sfrustrowanych i chcących jakiejś zmiany. I właśnie ten kryzys wew-



nętrzny systemu łączy się w warunkach narodu podzielonego z kwestią narodową i dążeniem do zjednoczenia. Na tym tle ludzie myślący politycznie i zdolni do aktywnej działalności stają się, jak na razie co prawda, marginesem politycznym w odniesieniu do rządzącej klikki. Stąd też powstaje nowe historyczne zjawisko, że z tej sumy przeciwieństw wewnętrznych wyrastają tendencje opozycyjne jak np. już wspomniany „Manifest”. Sprawy te zaskoczyły również rządzących w Bonn i opozycję chrześcijańsko-demokratyczną. Rzecz polega na tym, że obydwie obozy polityczne są tak uwikłane w sporach o wewnętrzne sprawy zachodniemieckie jak terroryzm, bezrobocie, nadchodzące wybory w ramach federalnych, czyli w poszczególnych „landach” — odpowiadających mniej więcej kantonom szwajcarskim lub poszczególnym stanom w USA — lub w niezafatwione kwestie społeczne, jak renty i zasiłki dla emerytów. Brak stąd czasu na dyskusje w parlamencie i wewnątrz partyj o sprawach ogólnonarodowych. Jednak głównym mankamentem jest brak jakiegokolwiek poważnej koncepcji w odniesieniu do drugiej części narodu niemieckiego, a stąd też w ogóle do Europy Wschodniej. Lojalizm prowadzi do stagnacji, która jest obecnie powszechnym zjawiskiem w Niemczech, dotyczy to niestety nie tylko obozu rządzącego, ale i opozycji która we wszystkich zasadniczych debatach politycznych unika odpowiedzi na to coraz bardziej palące pytanie.

Bohdan OSADCZUK

## W sowieckiej prasie

Lew Tołstoj rozpoczyna „Anne Kareninę” słowami: „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, ale każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Przez całe życie wierzyłem w trafność tej myśli, dopóki nie przeczytałem Manifestu Grupy Opozycyjnej. W Manifestie m.in. wyliczono grzechy reżymu: milionowe straty czasu, pieniędzy, pracy robotników, brak części zamiennych do obrabiarek i samochodów, niewiarygodne złodziejstwo, przerażający rozrost aparatu biurokratycznego, nagminne pijaństwo itd., itp.

W jakim kraju to ma miejsce? Obywatele PRL łatwo poznają znane im cechy. Ale nie omylą się też i obywatele Związku Sowieckiego, Bułgarii czy Rumunii... Okazuje się, że wszystkie nieszczęśliwe narody, znajdujące się pod władzą jednej i tej samej ideologii, są podobnie nieszczęśliwe. „Manifest”, o którym mówię, został opracowany przez grupę opozycyjną „średnich i wyższych funkcjonariuszy NRD”. Ogłoszony w *Der Spiegel* wy-

wołał skandal. Niezadowoleni byli — co jest naturalne — przywódcy NRD, ale odnieśli się do niego krytycznie również zachodniemieccy socjaldemokraci, obawiając się pogorszenia między-niemieckich stosunków. Zaczęły się szerzyć pogłoski, że „Manifest” jest sfałszowany, że jest prowokacją i że przeszkadza sprawie *détente*. Sądząc jednak z wysiłków wschodniemieckich organów bezpieczeństwa w przeszkadzaniu by „Manifest” docierał do NRD, musi on być stosunkowo wiernym obrazem sytuacji w „pierwszym niemieckim socjalistycznym państwie”.

Prawdziwy obraz sytuacji w Niemczech Wschodnich jest specjalnie pouczający, gdyż okazuje się, że nawet zdyscyplinowani, dokładni, pracowici Niemcy stają się w warunkach reżymu komunistycznego, typowego dla całej rodziny szczęśliwych narodów socjalistycznych — *homo sovieticus*. Tu już trudno powoływać się na *polnische Wirtschaft*, lub na typowo rosyjski bałagan — mowa jest o Niemczech. Tym więcej, że jak wymagają zasady prawdziwie naukowych badań, możemy rozpatrywać dwie kategorie Niemców: żyjących tu i tych, którzy żyją tam. „Manifest” porównuje: dlaczego wydajność pracy rośnie szybciej w RFN niż w NRD, chociaż Lenin uczył, że właśnie wydajność pracy jest głównym sprawdzianem postępowości społeczeństwa? Dlaczego nie opada fala ucieczek ze Wschodu na Zachód, choć grozi to śmiercią? Dlaczego 94 % obywateli NRD włącza wieczorem zachodniemiecką telewizję? (jedyna liczba w „Manifestie”, która mnie zdziwiła: czyżby 6 % oglądało rodzimą, enerdowską telewizję?!). Dlaczego NRD zajęła jedno z pierwszych miejsc w świecie jeśli idzie o ilość rozwodów, samobójstw i spożycie alkoholu? Dlaczego głównym ideałem życia stał się „daczizm”? (słowo *dacza* — jako symbol wysokiej stopy życiowej społeczeństwa — stało się, jak się okazuje, zrozumiałe nawet bez tłumaczenia dla tych, którzy mówią językiem Schillera i Goethego).

„Manifest” został napisany przez opozycjonistów. Zadaniem ich jest krytyka. Ale w końcu ub. roku w *Prawdzie* poddano surowej krytyce gospodarkę socjalistyczną. Z serią artykułów występili przede wszystkim zastępca naczelnego redaktora organu prasowego KPZS, prof. Wałowej, został opublikowany artykuł zastępcy ministra handlu zagranicznego Jurija Breżniewa, syna generalnego sekretarza i prezydenta. Pojawiły się i inne artykuły. Zaproszono czytelników do wzięcia udziału w dyskusji. Krytyczne uwagi pod adresem gospodarki sowieckiej, oskarżenia o nieefektywność, o bezmyślne marnotrawstwo, o nieruchawość gigantycznej maszyny biurokratycznej powtarzają się okresowo już od dziesiątków lat. Stoją już kością w gardle przykłady, które są bardziej humorystyczne od wielu anegdot publikowanych w *Kulturze*. Zakładom Metalurgicznym w Charkowie np. wygodniej jest dzielić 200-kilogramowe sztaby metalu na 30-kilogramowe elementy. Gdyby bowiem te elementy były 50-kilogramowe — to znaczy jeśli straty metalu byłyby mniejsze — zakłady zarabiałby mniej. A zakłady samochodowe, dla zwiększenia wagi samochodów wmontowują do nich od razu koła zapasowe, ważące 94 kg.



Surrealistyczny humor gospodarki sowieckiej przewyższa wszystko, co mógłby wymyślić najgenialniejszy satyryk.

Autorzy artykułów w *Prawdzie* nieśmiało proponowali, by wrócić do niektórych koncepcji tzw. reformy ekonomicznej z 1965. Postulowali niektóre posunięcia administracyjne, które — zdaniem „postępowych ekonomistów” — mogłyby trochę zdecentralizować kierownictwo i troszkę pobudzić inicjatywę kierowników. Jak pisał W. Kluczewskij o Piotrze I-szym: „Miał nadzieję poprzez groźbę władzy wyrobić samodzielność w niewolniczym społeczeństwie... aby niewolnik, pozostając niewolnikiem, działał świadomie i swobodnie”. Jednak nawet i ta próba, która nie zupełnie udała się Piotrowi I-mu, całkowicie już zawiodła u zastępcy redaktora naczelnego *Prawdy*. Zapowiedziana dyskusja nie miała miejsca. Krytyczne artykuły zniknęły z łamów dzienników, natomiast we wszystkich gazetach ukazało się pismo KC KPZS, Rady Ministrów ZSSR, WCSPS, WLKSM „O rozwoju socjalistycznego współzawodnictwa dla wykonania i przekroczenia planów 1978 roku i wzmocnieniu walki o podniesienie ilości i jakości produkcji”. Cytuję cały tytuł tego listu, ponieważ jest to jedyna przyjęta miara, aby przeciwdziałać trudnościom gospodarczym w ZSSR.

Dane statystyczne o wykonaniu planów 1977 r., opublikowane 27. 1. bież. roku, świadczą o trudnościach ubiegłego roku i jeszcze większych bieżącego. W ub. roku nie został wykonany plan zwiększenia wydajności pracy. Utrzymuje się tendencja spadku wzrostu gospodarki: w ub. roku wzrost wyniósł 5,8 %, w bież. roku został zaplanowany na 4,5 %.

Co prawda są już reakcje na wezwanie „rozвивać i wzmacniać”: czołowy telegrafista moskiewski zobowiązał się przekroczyć normę przyjmowania depesz o 15 tysięcy sztuk.

Nie warto byłoby powracać do wiecznych skarg na nieuleczalne wady i do szablonowych lekarstw, które nie mogą pomóc, jeśli by nie zaszły dwie nowe okoliczności: niebywała ekspansja sowiecka, daleko wykraczająca poza pozostawione jej po wojnie strefy wpływów, i rozpoczynające się bezkrólewie.

Dzisiaj wszyscy zwolennicy polityki *détente* mogą być zadowoleni: jej owoce są widoczne. Związek Sowiecki aktywnie rozdmuchuje wszystkie ogniska napięć w świecie: Bliski Wschód, Afryka — Angola, Abisynia, Azja — wszędzie strzela sowiecka broń i doradzają sowieccy eksperci.

Ale w centrum, w Moskwie, panuje niepewność. Wódz, jak księżyc, to pokazuje się, to na długo znika z pola widzenia. Kiedy pojawia się na chwilę, to telewizja moskiewska natychmiast go pokazuje, by uspokoić ludność. Widok powoduje silniejsze bicie serc widzów. Wódz ledwo się porusza, ledwo mówi. Nikt nie ma wątpliwości: musi nastąpić zmiana warty.

Przygniatająca większość obywateli sowieckich oczekuje tej zmiany ze strachem, w przekonaniu że będzie ona na gorsze, bo na lepsze być nie może. Za to politycy zachodni, specjaliści od Związku Sowieckiego, są nastrojeni niezmiernie optymistycz-

nie: oczekują zmiany pokoleń, dojścia do władzy młodych, liberalnych technokratów. I rzeczywiście, czyż można wątpić w różową przyszłość jeśli — jak obliczył *Der Spiegel* — Kosygin (73 lata) wymienił w końcu ub. roku 25 % swoich ministrów i obecnie średnia wieku sowieckich ministrów wynosi 57 lat. Do władzy dochodzą chłopięta!

Kto dochodzi do władzy? Kierownictwo sowieckie już od 60 lat stoi przed dylematem, który wydaje się nie do rozwiązania. Z jednej strony chciałoby wszystkiego zakazać, zdecydować, że wszystko jest tajne: jak zapadają decyzje, kto je podejmuje, jak następuje dobór „kadr” itd. Trzeba jednak o czymś mówić, aby wychowywać naród. Quasi rozwiązanie daje literatura sowiecka. Mądry Stanisław Jerzy Lec tak ostrzegał: „nie opowiadajcie snów, do władzy mogą dojść freudyści”. Socrealistyczna literatura opowiada sny sowieckich przywódców. Czytając (a to jest ciężka praca) utwory wiodących sowieckich socrealistów można się dowiedzieć kogo przygotowują sobie na zmianę. Wśród „mistrzów pióra”, którzy w czasie ostatnich lat wybili się w sowieckiej literaturze na pierwsze miejsce zwraca uwagę Michaił Kolesnikow. Do literatury dostał się, jak wielu jego kolegów, z KGB\*. I dziś, patrząc na popularnego pisarza, łatwiej jest go sobie wyobrazić w mundurze pułkownika, niż w cywilnym ubraniu. M. Kolesnikow, jest autorem sagi o syberyjskim kowalu Siergieju Ałtuninie, idealnym człowieku sowieckim, łatwo przechodzącym drogę (droga ta jest w Związku Sowieckim otwarta dla wszystkich) od zwykłego robotnika do zastępcy ministra. Trzecia część tej sagi o Ałtuninie nosi tytuł „Szkoła ministrów” (*Znamia*, numery 10, 11 — 1977). O zaletach literackich tej kolejnej powieści nie ma powodu się rozwodzić: jest to agresywna, bezwstydną grafomania. Wartość „Szkoły ministrów” polega na daniu obrazu idealnego kierownika, w — zmiękczonym, przyozdobionym i wylakierowanym — opisie mechanizmu podejmowania decyzji na wyższych, ale nie na najwyższych szczeblach sowieckiego kierownictwa.

Siergiej Ałtunin, młody, piękny mężczyzna i siłacz (jak wszyscy ministrowie sowieccy) skończył zaocznie Instytut, kierował zakła-

\* Hość współpracowników *organów*, pojawiających się we wszystkich dziedzinach życia sowieckiego, może dać pojęcie o roli, jaką KGB odgrywa w przygotowaniu „zmiany warty”. Wymownym przykładem wszechobecności *organów* może być nowy skład prezydium Federacji Szachowej ZSSR. Po rozgromieniu przez emigranta W. Korcznego wszystkich sowieckich pretendentów do mistrzostwa świata, skład prezydium tej Federacji został wzmocniony. Przewodniczy jej kosmonauta W. Sewastianow, prawdopodobnie dlatego, by mieć wgląd z góry. Wśród członków prezydium widzimy skromnego wielbiciela szachów, Jewgienija Pietrowicza Pitowranowa. W encyklopediach sowieckich nie ma jego nazwiska, ale za to w książce John Barrona generałowi KGB, pierwszemu zastępcy prezesa sowieckiej Izby Handlowej, Je. P. Pitowranowowi, poświęcono dwie strony. „Generał Pitowranow — pisze amerykański dziennikarz — to namiętny i bezlitosny myśliwy”. Zalety dla szachów jak najbardziej odpowiednie.



dem przemysłowym i następnie przyjechał na kierownicze stanowisko do Moskwy. Przygotowują go do wielkich zadań: „Powinniśmy — powiada żonie — zapoznać się z zachodnimi rynkami, opracować strategię zbytu naszej produkcji w krajach kapitalistycznych, ażeby i tam zakupywano nasze maszyny”. Żona nawiązuje: „Czyżby ich nie kupowano?”. — „Różnie bywa” — przyznaje Ałtunin. — „Najpierw dobrze kupowali (?), obecnie gorzej”. — Dlaczego? — pada słuszne pytanie żony. Okazuje się, zaczęto gorzej kupować maszyny sowieckie, gdyż kierownictwu sowieckiemu brakuje *marketing'u*. — „Nie doceniamy znaczenia reklamy” — samokrytycznie przyznaje Ałtunin. Jak się okazuje ma to on właśnie poprawić. — „W przyszłym roku — mówi żonie — pojedę do Anglii... nie uda mi się z tego wykręcić... trzeba będzie odwiedzić londyńską i manchesterską szkołę *business'u*, brytyjski instytut kierowania... potem machnę się do USA dla zapoznania się z doświadczeniami harwardzkiej i nowojorskiej szkoły *business'u*... Jest jeszcze Szwecja, są ogólnoeuropejskie centra...”. Siergieja Ałtunina można śmiało pokazywać za granicą — to człowiek kulturalny. Tak mówi swojej żonie: — „Lubię naprawdę Rembrandta i uwielbiam 'Jezioro łabędzie’”.

Dwie zasadnicze cechy Siergieja Ałtunina pozwalają mu robić tę zawrotną karierę: żądza władzy i zrozumienie, że władza najwyższa należy do partii.

„Władza, władza... — marzy Ałtunin. — Bez realnej władzy jesteście tylko zwykłym wykonawcą, jak wysokie zajmowałbyś stanowisko” (nr 11, str. 6).

Ale ta żądza władzy zna granice. „*Partkom* był tutaj aktywnym organem. Cały czas kontrolował robotę aparatu (ministerstwa) w wykonywaniu dyrektyw partii i rządu. Bardzo starannie kontrolował” (nr 10, str. 113). I chytry Ałtunin specjalnie sobie ceni stosunki z sekretarzem *partkomu* ministerstwa: „Siergieja zawsze ciągnie ku pracownikom partyjnym. Od wielu już lat doszedł do niezbitego przekonania: ci ludzie i myślą szeroko i duszę mają szeroką” (nr 11, str. 76).

Nic więc dziwnego, że Siergiej Ałtunin na ostatniej stronie powieści zostaje mianowany zastępcą ministra. I nie ma najmniejszej wątpliwości, że będzie takim samym jak i jego poprzednik.

Bohater powieści M. Kolesnikowa jest idealnym reprezentantem tzw. sowieckich technokratów, na których Zachód patrzy z nadzieją. Ale Siergiej Ałtunin, to obraz — jeśli tak można powiedzieć — literacki. Czym jest intelektualna elita, sowieccy ideolodzy, przedstawiciele nauk humanistycznych widać z niezmiernie ciekawego dokumentu, opublikowanego w samizdatowym piśmie „Żydzi w ZSSR” nr 14.

Dokument ten to stenogram konferencji instytutów nauk humanistycznych Akademii Nauk ZSSR na temat „Problemów udoskonalenia metodologii krytyki naukowej ideologii i praktyki syjonizmu”. Konferencja miała miejsce w lutym 1976 roku, a jej wyniki były omawiane na zebraniu moskiewskiego komitetu par-

tii przy udziale agitatorów, propagandystów, działaczy społecznych — tych wszystkich, którzy przekazują masom najważniejsze dyrektywy partii.

Wyniki konferencji, w której brali udział akademicy, profesoria i doktorzy nauk, były jak najbardziej pozytywne. Przede wszystkim trzeba koniecznie podkreślić, że przewodniczył tej konferencji dyrektor Instytutu Wschodoznawstwa, akademik B. Gafurow, który jednocześnie jest przewodniczącym stałej komisji przy sekcji nauk społecznych prezydium Akademii Nauk ZSSR dla koordynacji badań poświęconych zdemaskowaniu i krytyce historii, ideologii i praktyki syjonizmu. Stworzenie takiej stałej komisji świadczy o wadze problemu i o tym, że uczeni sowieccy, kierowani przez partię, nie odnoszą się do tego zagadnienia lekkomyślnie.

Większość zebranych była zgodna odnośnie sprawy najważniejszej: syjonizm należy zlikwidować, gdyż „nie ma on równego sobie wśród innych odmian imperializmu i burżuazyjnego nacjonalizmu”. Występujący twardo oświadczyli: walka ze syjonizmem jest zadaniem państwowym. Co prawda niektórzy z uczestników przypuszczali, że może lepiej nie używać pewnych określeń, mających zbyt znany wydźwięk np.: „syjonistyczny kapitał”, „wszechświatowy spisek syjonistyczny”, „syjonizm jest faszyzmem”. Znalazł się nawet — trzeba podziwiać odwagę tego uczono — akademik Korostowcew, który nazwał te wystąpienia tak, jak na to zasługiwały: antysemitkami; który pozwolił sobie nawet nazwać pochlebne oceny doskonałej książki W. Bieguna pt. „Pełzająca kontrrewolucja” — „hańbą dla naszej publicystyki i myśli naukowej”. Ale stary ten akademik był zupełnie odosobniony. Ton nadawali młodzi znawcy syjonizmu — duma sowieckiej nauki. Jeden z czołowych „syjonistoznawców”, Je. Jewsejew, oświadczył bez ogródek: „Dla walki klasowej proletariatu syjonizm jest większym wrogiem niż antysemityzm”.

Czytając ten stenogram naukowych rozważań na temat walki z syjonistami jako o zadaniu państwowym, myślałem o niesprawiedliwości losu. W 1923 roku rosyjski antysemita W. Gładkich, który wyemigrował z rewolucyjnej Rosji, opublikował w Grazu książkę o krótkim lecz dobitnym tytule — „Żydzi”. Książka ta zaczynała się od gorzkiego żalu: „W dobrej, starej, carskiej Rosji nieraz mówiono mi — jak to, wy, człowiek z wyższym wykształceniem a antysemita! Ten wykrzyknik był bardzo charakterystyczny. Nasi inteligenci szczerze zakładali, że Żydzi są takimi samymi ludźmi, jak my wszyscy”. W. Gładkich dumnie wykladał swoje *credo*: „Jestem całkowicie odmiennego zdania: wydaje mi się, że wykształcony człowiek nie może nie być antysemitą”. Niesprawiedliwy los nie pozwolił W. Gładkichowi dożyć czasów, gdy po zniszczeniu inteligencji rosyjskiej nadszedł wreszcie dzień kiedy każdy człowiek sowiecki powinien być antysemitą. Kto wie, być może, spełni się marzenie W. Gładkicha: „Jeszcze odwróci się jedna karta rosyjskiej rewolucji i w Rosji nie będzie już Żydów. I nie tylko będą zniszczeni jako ilość, ale na setki



lat nawet obecność Żyda na terytorium rosyjskim będzie nie do pomyślenia". W każdym razie to marzenie W. Gładkicha znajduje dziś coraz więcej zwolenników wśród strażników sowieckiej ideologii.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że „zmiana warty” na Kremlu odbędzie się spokojnie. Mimo licznych trudności sytuacja jest stabilna. Głównym źródłem słabości jest dzisiaj sprzeczność między szowinistyczną polityką wewnętrzną, a międzynarodowymi hasłami, wykorzystywanymi w polityce zagranicznej. Idee walki o niepodległość narodową republik sowieckich rozpowszechniają się i przybierają równorodne formy.

W grudniu ub. roku został rozstrzelany Władimir Żwanija, który rzucił trzy bomby: przed budynkiem Miejskiej Rady w Suchumi, przed domem Rządu w Tbilisi i w miejskim parku w Kutaisii. Tymi wybuchami chciał wzniecić u Gruzinów wolę walki. Również w zeszłym roku litewska grupa obrony wykonania uchwał w Helsinkach ogłosiła w swoim „Dokumencie nr 5” cały szereg materiałów, podpisanych przez „Organizację Związku Niezależnych Narodów ZSSR”. Wśród nich znajduje się manifest Organizacji, w którym problem narodowości zamieszkujących ZSSR rozpatruje się jako pewną całość, a ich wspólną walkę przeciwko polityce partii komunistycznej, jako cel. Manifest ostrzega, że polityka KPZS prowadzi świat do trzeciej wojny światowej i do zagłady narodów ZSSR i całej ludzkości. Podkreśla on żądania pełnej wolności religijnej, zaprzestania polityki asymilacji, a wreszcie stworzenie wolnych, narodowych państw.

Całkowicie nowym zjawiskiem jest także ruch protestu powstający wśród robotników. Pisałem już o Władimirze Klebanowie, który w Moskwie zorganizował konferencję prasową dla korespondentów zagranicznych. Po konferencji tej został zatrzymany przez KGB i umieszczony w zakładzie psychiatrycznym (poprzednio przebył w tych zakładach 4 i pół lat), ale tym razem został wypuszczony po 9 dniach. W końcu stycznia bież. roku znów zebrał korespondentów zagranicznych i oświadczył, że grupa robotników, inżynierów i techników organizuje „Wolny związek zawodowy”. W. Klebanow dodał, że ponad 200 robotników i urzędników przysłało mu deklaracje przystąpienia do „Wolnego związku zawodowego”. Robotnicy sowieccy skarżą się na panujące w przedsiębiorstwach bezprawie, na nędzne wynagrodzenia, na bezrobocie i brak produktów żywnościowych.

Wyciągając wnioski z obecnej sytuacji, w okresie rozpoczynającego się bezkrólestwa, można by powiedzieć, że chociaż wszyscy są zadowoleni, to jest coraz to więcej i więcej niezadowolonych. Szczególny sposób wyrażenia niezadowolenia ze swojego położenia znaleźli niektórzy pracownicy moskiewskiej milicji. Zaczęło się od tego, że zwykłemu człowiekowi sowieckiemu zaproponowano na czarnym rynku kupno samochodu Żyguli (to jest Fiat 124). Cena była jednak tak niska, że chociaż się mówi, że darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, to jednak sowiecki

człowiek poszedł poradzić się w milicji. Tam zaproponowano mu dogadanie się ze sprzedawcą i zorganizowano zasadzkę. Sprzedawca został zaaresztowany. Jakież było zaskoczenie i zażenowanie milicjantów, gdy okazało się że sprzedawcą tego samochodu jest ich kolega, major milicji. Bardzo szybko sprawa się wyjaśniła. Major milicji z grupą kolegów milicjantów zatrzymywali nocą samotnych kierowców Żyguli i prosili o podwiezienie. Następnie ich zabijali, trupy wyrzucali do rzeki Moskwy, a samochody sprzedawali. Major wpadł przy czternastym samochodzie.

W sowieckiej prasie oczywiście o tym nie pisano. Są przecież ważniejsze sprawy. Ale cała Moskwa o tym mówi, przy czym przyznać trzeba, że nie bez dumy. I jeśli zastanowić się — jest z czego być dumnym. Postęp osiągnięty przez kraj dojrzałego socjalizmu w ostatnim półwieczu jest bezsporny. Wystarczy wspomnieć sprawę Pietrowa-Komarowa, o którym w 1922 roku nie przestawały pisać sowieckie pisma. Chciwy chłop Pietrow-Komarow, który wyrósł w przekłętym carskim reżymie, kupował na targu konie, a potem zapraszał sprzedawcę do siebie, upijał go, mordował, a trupa wyrzucał do rzeki Moskwy. Gdy go aresztowano przyznał się do 29 ofiar.

Jakże daleko napród poszedł kraj. Zabija się już nie właścicieli koni, ale samochodów. Jak pisano: koń żelazny zastąpił chłopskiego konika. I zabija nie ciemny, nieświadomiony chłop, ale major milicji, człowiek z prawniczym wykształceniem.

Tylko rzeka Moskwa została ta sama, do której po staremu wrzuca się trupy.

Adam KRUCZEK

#### LIST A. SACHAROWA DO „KONTINENTU”

4 lutego 1978 Władimir Maksimow otrzymał następujący list od Andrieja Sacharowa:

„Trzy lata *Kontinentu*. 12 książek, na stronicach których spotkaliśmy się z autorami z ZSSR, z sowieckiej emigracji, z Europy Wschodniej i szeregu krajów zachodnich. Tak międzynarodowy charakter pisma stał się cechą bardzo ważną dla sowieckiego czytelnika.

Mnie i moim przyjaciółom nie zawsze podobała się część artystyczna pisma, nie zawsze zgadzam się z publicystycznymi wystąpieniami, przesadnym patosem, a czasami — z mego punktu widzenia — z niecisłym podejściem do spraw narodowych i innych w kolumnie Redaktora. Wydaje mi się również że nie zawsze są sprawiedliwe oceny literacko-krytyczne pisma.

Ale główny dorobek tych trzech lat: *Kontinent* stał się najbardziej interesującym, najbardziej czytany w ZSSR ze wszystkich pism rosyjskich wychodzących na Zachodzie. Ukazanie się każdego numeru *Kontinentu* jest zawsze dla nas wydarzeniem pociągającym za sobą spory i dyskusje. Takie podejście czytelników jest najlepszym dowodem żywotności i znaczenia pisma.

Andriej SACHAROW”.



## Kronika niemiecka

Na forum zachodniemieckiego *Bundestagu* deputowani opozycyjnej chadecji CDU/CSU, wystąpili ponownie z krytyką wizyty kanclerza Schmidta w Polsce. Słusznie zarzucali mu, iż w Warszawie nie poruszył realizacji praw człowieka. ■ Zakazem zatrudniania w służbie publicznej (*Berufserbot*) na podstawie tzw. dekretu o elementach radykalnych (neonaziści i komuniści), dotkniętych zostało do tej pory — tzn. przez 6 lat obowiązywania ustawy — 3 tys. osób. Uzasadnienie we wszystkich wypadkach jest jednakowe — zarzut braku lojalności wobec Konstytucji Republiki Federalnej. ■ W okresie od 1 stycznia do 31 grudnia 1977 roku — przybyło do Republiki Federalnej 32.811 przesiedleńców z PRL (1976: 29.366). ■ Zachodniemieccy muzycy jazzowi urządzili w Hamburgu *jam session*. Cały dochód przeznaczono na pokrycie operacji, której musi się poddać znany polski skrzypek — Zbigniew Seifert. Na koncert przybyło 1.800 osób; zebrano 20 tys. marek. ■ Bazylika prymasowska w Gnieźnie wzbogaciła się o nowe organy: ostatnio odbyło się komisyjne przejęcie instrumentu, który zastąpi organy zniszczone w czasie pożaru bazyliki w 1945 roku. Nowe organy, dar *Konferencji Biskupów Niemieckich*, wykonane zostały w znanej firmie *Lauhoff* w Republice Federalnej. ■ Literatura polska w NRD: w ostatnim roku wydano 17 przekładów polskich książek; w 1976 — 24 pozycje; od 1945 wydano ok. 600 książek polskich autorów. Największe nakłady osiągały książki Lema, bardzo popularni są Prus (*Faraon* miał w NRD 15 wydań), Sienkiewicz i Krasszewski. Młodzież czyta najchętniej Fiedlera i Meissnera. ■ W Monasterze (Westfalia) zostanie wystawiona sztuka Tadeusza Różewicza *Wyszedł z domu*, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. ■ Odczyt Witolda Wirpsy, wygłoszony w Marburgu (Hesja), na temat problemów związanych z integracją najnowszych przesiedleńców z PRL w Republice Federalnej, ukazał się drukiem na łamach bońskiej *Kulturpolitische Korrespondenz*. ■ Ambasada RFN w Warszawie wydała w 1977 roku 24 tysiące wiz turystycznych obywatelom PRL (1976: 14 tys.). ■ Powieść Włodzimierza Odojewskiego *Katharina oder Alles verwehen wird der Schnee* (*Zasypie wszystko, zawieje...*, Instytut Literacki, Paryż, 1973), wydana przez wielki dom wydawniczy *Paul Zsolnay Verlag* (Wiedeń - Hamburg), doczekała się bardzo pochlebnych recenzji w prasie zachodniemieckiej, a telewizja bawarska przeprowadziła z autorem wywiad. Odojewski, mieszkający obecnie w Monachium, przedstawił krótką historię *Zasypie wszystko, zawieje...*; stosunek akcji i miejsc powieściowych do autentyku (geograficznego i politycznego); mówił o źródłach swego stylu, który wywiódł z polskiej prozy pamiętnikarskiej XVIII wieku; powiedział też dlaczego ta powieść nie ukazała się w Polsce i za jaką cenę skrótów mogła uzyskać zezwolenie na druk. W dalszej części audycji telewizyjnej — odpowiadając na pytanie: jak mu się pisze na emigracji — Odojewski niewiele powiedział o sobie. Mówił za to obszernie o nastrojach opozycyjnych w środowiskach twórczych w Polsce, o publikacjach ukazujących się poza zasięgiem cenzury, i przyznał że zazdrości swoim kolegom w Polsce autentyczności ich działania. ■ Nakładem *Spranger Verlag* (Much/Nadrenia - Westfalia, 1977) ukazał się zbiór opowiadań pióra Jadwigi Żylińskiej pt. *Herberge zur Vergangenheit* (tytuł polski *Gospoda samobójców*). Przekładu dokonała Anneliese Danka Spranger. Tadeusz Nowakowski zamieścił pochlebną recenzję na łamach *Frankfurter Allge-*

*meine Zeitung*. ■ W Polsce przebywał przewodniczący rady nadzorczej koncernu *Krupp* — Berthold Beitz. Przedmiotem rozmów były „problemy dalszego rozwoju współpracy między polskim przemysłem i koncernem *Krupp*”. W kołach bońskich mówi się, że podczas wizyty Beitza omawiano m.in. sprawę prolongaty spłat należności za urządzenia przemysłowe dostarczone Polsce przez koncern *Krupp*'a. ■ Wyjazdy wakacyjne dzieci i młodzieży polonijnej z Republiki Federalnej do Polski: 1976 — 363; 1977 — 315. ■ Prasa zachodniemiecka zamieściła liczne artykuły z okazji 70-tej rocznicy urodzin prof. Stanisława Stompy, b. posła na Sejm i przewodniczącego Grupy *Znak*; podkreślono, że położył szczególne zasługi w normalizowaniu problemów polsko-niemieckich. ■ Fragmenty wspomnień Stefana Kisielewskiego pt. *Przeciw cenzurze — legalnie*, zamieszczone w kwartalniku literackim *Zapis* (Nr 4), ukazującym się poza zasięgiem cenzury, zostały opublikowane przez boński dziennik *Die Welt*. ■ Na emeryturę przeszedł długoletni naczelny redaktor czasopisma *Ostatnie Wiadomości* (Mannheim) Mieczysław Basista. Funkcję redaktora organu *Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych przy US Army* przejął mgr. inż. Jerzy T. Boryczko.

Andrzej J. CHILECKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

## MODELE I PRAKTYKA

Str. 244.

Cena F. 20,00.

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

## MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256.

Cena F. 40,00.



Przez dwa lata trwały przygotowania. Z jednej strony szukano pieniędzy (kredyty na pomnik nie figurowały w budżecie francuskiego min. b. kombatanów), zwracając się do samorządu departamentalnego, do merów poszczególnych gmin itp. Z drugiej zaś — przygotowywano projekt pomnika. Rozpisano konkurs, w którym mogli wziąć udział tylko paszportowi Polacy i paszportowi Francuzi. Kilkanaście nadesłanych projektów obejrzał w Musée Rodin Jaroszewicz w czasie wizyty oficjalnej w Paryżu.

Ze strony nie-komunistycznej obawiano się symboli i napisów na pomniku: orzeł bez korony czy wzmianka o PRL. „Wspólnota Polsko-Francuska” interweniowała w tej sprawie w prezydium komitetu francuskiego.

Wybrano wreszcie projekt rzeźbiarza francuskiego, który pokazano Gierkowi w czasie jego wizyty we wrześniu ub. roku. Nie wiadomo czy na decyzji nie zaważyła 100 procentowa banalność pomnika!

Nadeszła wreszcie chwila odsłonięcia pomnika, 13 stycznia 1978 roku. Następca min. Bord, p. Jean-Jacques Beucler rozesłał zaproszenia na otwarcie i przyjęcie w salonach jego ministerstwa. Ale ambasada PRL nie omieszczała wykorzystać tej uroczystości dla celów dalekich od spraw kombatanckich.

Data odsłonięcia pomnika wypadła w okresie kampanii przed wyborami parlamentarnymi (12 i 19 marca br.). Dla Francuskiej Partii Komunistycznej walczącej z obecną większością rządową, ale także z konkurencją Partii Socjalistycznej, zwłaszcza na terenie robotniczym — każdy głos jest drogi. Oficjalnie ambasada PRL nie pomaga FPK, która — również oficjalnie — jest „eurokomunistyczna”. Ale przedstawiciele PRL wiedzą jak łatwo można Polaków wziąć na sentyment. Toteż tow. konsulowie wzięli się do roboty, żeby z tego pomnika uszczknąć coś dla „socjalizmu”. Palma pierwszeństwa należy się tow. Janowi Sikorze, konsulowi generalnemu w Lille. Wysłał on do nawet najbardziej znanych z wrogiego stosunku do komunizmu działaczy terenowych list — z 3 stycznia br. — w którym m.in. czytamy:

„Sprawie budowy pomnika wykazały głębokie zainteresowanie i pomoc (jaką?) najwyższe władze Polski Ludowej”.

I dalej:

„Niech Pomnik Żołnierza i Partyzanta Polskiego w Paryżu STANIE SIĘ SYMBOLEM JEDNOŚCI WSZYSTKICH POLAKÓW W KRAJU I POZA GRANICAMI W SŁUŻBIE DLA ZAWSZE TEJ SAMEJ MATKI — POLSKI” [...] „Z OKAZJI ODSŁONIĘCIA POMNIKA SKŁADAM PANU SZCZERE GRATULACJE I WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI ZA JEGO WALKĘ W CZASIE WOJNY I OBECNĄ PRACĘ NA RZECZ UMACNIANIA PRZYJAŹNI MIĘDZY POLSKĄ A FRANCJĄ. Będę Panu szczerze zobowiązany, jeżeli zechce Pan życzenia moje przekazać wszystkim członkom i sympatykom Stowarzyszenia, które Pan reprezentuje.

Wyrażam jednocześnie przekonanie, że WSZYSCY WEŹMIEMY UDZIAŁ w tym historycznym fakcie odsłonięcia pomnika w Paryżu”.

Do tego listu-okólnika dołączony był bilet wizytowy tow. konsula, zachęcający do szerokiego rozpowszechnienia treści listu. A więc: KOCHAJMY SIĘ!

Odzew przyszedł z różnych stron. Mobilizacja pod pomnikiem zawiodła: dopisali... sami swoi! Niech nam wolno będzie, z przyjemnością, zacytować artykuł wstępny w *Narodowcu* — z 13 stycznia br. — podpisany przez jego redaktora Michała Kwiatkowskiego. Oto wyjątek z tego artykułu:

„Jest normalne, że Francja, utrzymująca z rządem PRL stosunki dyplomatyczne... podjęła tę inicjatywę w pełnym porozumieniu z przedstawicielami reżymu w Warszawie”. [...] „Co innego jednak Francja, a co innego społeczność polska we Francji”.

## Sprawy i troski

## Sprawa pomnika

Sprawa budowy pomnika dla uczczenia „heroicznej postawy Polaków w obronie i w wyzwoleniu Francji w czasie drugiej wojny światowej” rozpoczęła się w październiku 1974 roku. Na początku tegoż miesiąca prasa warszawska ogłosiła skład komitetów (polskiego i francuskiego) budowy tego pomnika. W komitecie francuskim znalazła się chyba połowa rządu Republiki; w komitecie reżymowym grupa luminarzy PRL, z generałem Grudniem na czele. Ani w jednym, ani w drugim nie znalazło się miejsca dla generałów którzy dowodzili na froncie francuskim w 1940 czy w 1944 roku; podobno zaszkodziły to dobrym stosunkom między Francją a PRL.

Zainteresowanych zadziwił fakt, że mimo iż decyzja zapadła w Paryżu, pierwsza o tym napisała prasa warszawska. Okazało się przy okazji, że niektórzy ministrowie francuscy (np. Poniatowski) znaleźli się na liście komitetu zanim zapytano ich o zgodę; oczywiście wycofać się im było trudno.

Było jasne, że inicjatywa wyszła od reżymu. Generał Grudzień, minister b. kombatanów, urodzony we Francji, złożył wizytę swemu francuskiemu koledze p. André Bord przynosząc ze sobą nie tylko gotowy już pomysł, ale i listę komitetu budowy. P. Grudzień wiedział wiele o Francji, p. Bord bardzo mało o Polsce; przewagę więc miał pierwszy. Dodajmy do tego, że dysponował poza tym doskonałym argumentem: przez 30 powojennych lat Francja nie uczciła polskiego udziału w jej obronie i wyzwoleniu.

Wobec protestów ze strony (nielicznych) organizacji tzw. niepodległościowych, Francuzi chcieli jakoś załatwić tę nieprzyjemną sprawę zapraszając b. kombatanów nie-komunistycznych do udziału w pracach komitetu. Polscy kombataneci odmówili, z wyjątkiem kilku jednostek, od dawna kolaborujących z ambasadą PRL.

Postawa Polaków we Francji, a zwłaszcza b. kombatanów była trudna. Z jednej strony — żałując, że inicjatywa wyszła od reżymu — nie mogli występować przeciw pomnikowi ku czci poległych, zmarłych, ale także i żyjących kolegów. Z drugiej zaś zdawali sobie sprawę, że intencją reżymu jest rozgrywanie pomnika nie tylko w polityce Polska-Francja, ale i w polityce wewnętrznej Francji (nie zapominajmy, że ok. 500.000 Polaków jest w-borcami).

Już 10 czerwca 1975 roku, na kilka dni przed oficjalną podróżą do Polski, sam Prezydent Republiki, Valéry Giscard d'Estaing położył kamień węgielny pod przyszły pomnik? Ceremonia była o tyle dziwna, że odbyła się w całkowitym milczeniu: Prezydent nie otworzył ust!



„Jako Polacy i Francuzi polskiego pochodzenia cieszymy się z hołdu, jaki Francja oddaje żołnierzowi polskiemu i rozumiemy, że czyni to z udziałem władz PRL, ale sami do takiego hołdu przyłączać się nie możemy. Pamiętamy bowiem zbyt dobrze, że obecny ustrój dyktatorski PRL został Polsce narzucony przez tych, którzy wspólnie z Hitlerem napadli na Polskę i mordowali żołnierzy polskich, czczonych obecnie przez wzniesienie pomnika na (paryskim) placu Warszawy”.

„Czy zbrodnia katyńska nie nastąpiła w tym samym roku co bitwa o Francję? Czy Polacy nie ginęli potem masowo przez całe lata Na Syberii? Czy po wojnie ten sam reżym warszawski nie więził ich i nie mordował przez długie lata? Czy panujący w Polsce ustrój nie jest właśnie wyrazem tego wszystkiego, przeciw czemu Żołnierz polski walczył bohatersko w imię ideałów wspólnych Polsce i Francji?”.

W tym samym numerze *Narodowca* ukazało się oświadczenie *Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny* podpisane przez gen. Wacława Piekarskiego, prezesa i inż. J. M. Serafińskiego, sekretarza, wyjaśniające dlaczego Federacja nie brała udziału w pracach Komitetu budowy pomnika i była nieobecna na jego odsłonięciu).

Sama uroczystość była raczej skromna. Ludzi ok. 150, wliczając orkiestrę *Garde Républicaine* i pluton honorowy tej formacji. „Mobilizacja” konsularna zawiódła.

Jerzy JANKOWSKI

Paryż, 17 stycznia 1978 r.

## Z działalności POSK-u

### PRELIMINAŻ BUDŻETOWY NA 1978 ROK

Preliminarz budżetowy na rok 1978 został opracowany na podstawie dwóch warunków Barclay's Banku, który udziela POSK'owi długoterminowej pożyczki. Pierwszym warunkiem jest obniżenie długu do sumy £ 900.000. Drugim warunkiem jest zobowiązanie spłacenia w bieżącym roku kapitału i odsetek na sumę £ 150.000.

Pierwszy warunek został spełniony, gdyż pożyczka zostaje obniżona do sumy £ 380.000.

Preliminarz budżetowy przewiduje, że drugi warunek będzie spełniony w sposób następujący:

Dochody:		Rozchody:	
Dary .....	£ 159.000	Wykończenie gmachu ..	£ 43.000
Dochód z imprez .....	£ 5.000	Administracja .....	£ 24.000
Pożyczki .....	£ 24.000	Budżet specjalny .....	£ 2.000
Dochód z gmachu .....	£ 42.500	Utrzymanie Biblioteki ..	£ 16.500
Wpływy z domów .....	£ 12.000	Procenty (nie bankowe)	£ 5.000
<b>Razem:</b>	<b>£ 242.500</b>	<b>Razem:</b>	<b>£ 90.500</b>
		Spłata długu oraz procent bankowy	£ 152.000
			<b>£ 242.500</b>

### REFERAT SPRAW KULTURALNYCH POSK'u

Skład personalny: Witymir Bienkowski, Józef Garliński (przewodniczący), Zdzisław Jagodziński, Józef Jasnowski, ks. Jerzy Mirewicz, Jan Radomyski, Halina Sukiennicka, Tadeusz Sulatycki, Ryszard Zakrzewski. Na zebraniu w dn. 14 listopada 1977 roku przedyskutowano i przyjęto wnioski, które zostały zaakceptowane przez Radę POSK'u i przesłane do zarządu.

Wnioski te dotyczą w szczególności dwóch spraw, na zrealizowanie których przeznaczona została w budżecie suma £ 2.000:

1. Uruchomienie agencji informującej w języku angielskim dla propagowania polskich osiągnięć na wszystkich polach.
2. Stypendium naukowe, które pozwoliłoby na wydawanie rocznika podającego w języku angielskim poważniejsze osiągnięcia polskie na skalę światową.

Agencja jest już w przygotowaniu i w lutym br. powinien się już ukazać miesięczny dodatek do istniejącej od wielu lat News Agency Ltd., (F.C.I.), prowadzonej przez Józefa Jostena i posiadającej około 400 prenumeratorów na całym świecie.

### LOKATORZY GMACHU POSK

Lokatorów gmachu można podzielić z grubsza na cztery kategorie:

1. Czysto „handlowi” lokatorzy, Anglicy: firma Itel, Hammersmith Borough Council, firma Magee.

2. Organizacje polskie mieszczące się w gmachu na zasadach handlowych: Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Posklub, Fundusz Społeczny Żołnierza, Polska Macierz Szkolna i — do niedawna — restauracja.

3. Organizacje, które przez poważną początkową wpłatę nabyły prawa do bezpłatnego pomieszczenia i świadczeń: Towarzystwo Popierania Nauki Polskiej, Stowarzyszenie Techników Polskich, Instytut Wschodni „Reduta”.

4. Organizacje polskie korzystające z pomieszczeń na użytek wyłączny lub do spółki z innymi organizacjami i opłacające świadczenia określone indywidualnie dla każdej organizacji. Do tej kategorii zaliczamy: Zarząd Główny Koła Armii Krajowej, Instytut im. Józefa Piłsudskiego, Polski Ośrodek Młodzieżowy, Klub Pomidor, Związek Pisarzy, Koło Lwowian, Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii, Związek Plastików, Związek Kacetonców, Związek Oficerów Marynarki Handlowej, magazyn teatru „Syrena”, magazyn zespołu tanecznego „Tatry”.

Poza wyżej wymienionymi kategoriami jest naturalnie Biblioteka Polska. Trudno ją nazwać lokatorem, gdyż stanowi ona integralną część Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. W POSK'u mieści się również Polski Uniwersytet na Obczyźnie i Szkoła Nauk Politycznych.

### RESTAURACJA W POSK'u

W końcu ubiegłego roku restauracja Panorama i kawiarnia na parterze w gmachu POSK'u zostały zamknięte, a kontrakt na dzierżawę rozwiązany. Stało się to niestety poprzez interwencję sądową w rezultacie niewywiązania się dzierżawcy z zobowiązań płatniczych. W ten sposób znikła zarazem pewna anomalia w gospodarce gmachem, zarząd POSK'u był bowiem często odbiorcą zażaleń na jakość usług gastronomicznych we własnym gmachu, nie będąc za te usługi odpowiedzialny.



W nowej sytuacji, wobec niemożności prowadzenia przedsiębiorstwa handlowego przez POSK jako organizację o celach charytatywnych, trzeba było uzyskać od Charity Commissioners specjalne zezwolenie na założenie firmy dla zorganizowania usług gastronomicznych, podporządkowanej POSK'owi, pod nazwą „Varsovia Restaurant Limited”. Podpisany został konwentant przekazujący wszystkie przyszłe dochody na POSK. Uzyskano też od urzędu podatkowego zwolnienie z podatków, z wyjątkiem VAT.

Kierownikiem będzie p. B. W. Gara, FHCI, FCFA, długoletni pracownik restauracji i sal bankietowych takich firm, jak Cafe Royal, Criterion, Bedford Hotel w Brighton, Royal Angus Hotel w Birmingham i ostatnio Prince of Wales Hotel w Southport.

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

## ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI  
SERIA « BEZ CENZURY »

## LITERATURA

Str. 180.

Cena F. 45,00.

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ  
„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

## WSPOMNIENIA POLSKIE

## WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.

## Ci co odeszli

### Tadeusz Katelbach

Można powiedzieć, że Tadeusz Katelbach zmarł jak rasowy pisarz, trzymając pióro w ręku. W przeddzień ciężkiej operacji, mającej uratować mu drugą nogę od amputacji, w doskonałym nastroju, robił notatki z mojej „Kroniki życia Józefa Piłsudskiego” by napisać recenzję do *Kultury*. Mówił mi telefonicznie z jak wielkim zainteresowaniem czyta tę książkę i z jaką pasją będzie o niej pisał.

Po dwóch dniach już nie żył. Przyszedł trzeci zawał serca, którego nie przetrzymał.

Trudno mi jest pisać o tak bliskim mi człowieku, którego znałem prawie od 60-ciu lat. Z P.O.W. na Suwalszczyźnie w 1919 roku, z Zetu warszawskiego, z jego pracy publicznej.

Tadeusz Katelbach był warszawiakiem, co zawsze z dumą podkreślał. Urodził się 24 lutego 1897 roku, kształcił się w gimnazjum Wojciecha Górskiego na ówczesnej ulicy Hortensji, dziś Górskie-go. Gdy jesienią 1915 roku otwarto uniwersytet warszawski, Katelbach rozpoczął tam studia prawnicze, które ukończył po wojnie.

Jako uczeń był w harcerstwie, potem w Związku Młodzieży Polskiej (Zet), także w tajnym Strzelcu w Warszawie. W czasie demonstracji młodzieży akademickiej 9 grudnia 1917 roku, domagającej się zwolnienia Piłsudskiego z Magdeburga, został ranny. W listopadzie 1918 roku, wysłany z grupą studentów do Lwowa, walczył tam z Ukraińcami na odcinku Szkoły Kadetów. Potem służył w szeregach 36 pp. Legii Akademickiej.

W początkach 1919 roku odkomenderowany do P.O.W. na Suwalszczyźnie brał udział w tzw. powstaniu w Sejnach. Za prace wojenne został odznaczony Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych potrójnie. Potem doszły mu ordery Polonia Restituta — kawalerski i oficerski oraz Złoty Krzyż Zasługi.

Do pióra miał zawsze wielki pociąg, współpracując w tajnych pismach szkolnych. W 1919 roku był już redaktorem *Ziemi Suwal-*



skiej, w 1920 — dziennika *Gazeta Wileńska*, w 1923, zamieszkując w Berlinie, redagował *Dziennik Berliński*. Po powrocie do Warszawy założył w 1925 roku Agencję Telegraficzną Express (ATE) i był jej pierwszym dyrektorem.

Po przewrocie majowym 1926 roku rozpoczął czynną pracę w powstałym Związku Naprawy Rzeczypospolitej, redagując przez czas pewien jego organ *Przełom*.

Od 1927 do 1933 roku Katelbach przebywał w Berlinie jako korespondent szeregu pism polskich. Był wnikliwym badaczem zagadnień polsko-niemieckich, współpracując ze Związkiem Obrony Kresów Zachodnich, a poufnie ze Związkiem Polaków w Niemczech, pomagając mu radą i piórem w walce o prawa Polaków, osiadłych w Niemczech.

Następne lata skierowują Katelbacha w inną stronę. Od 1933 do 1937 roku jest korespondentem kowieńskim *Gazety Polskiej*, a właściwie, wobec braku stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą, jakby nieoficjalnym przedstawicielem Polski. Tę trudną funkcję spełnia doskonale, a mając duże znajomości i pokrewieństwa na Litwie, mógł głęboko analizować sytuację w tym państwie. Instrukcje w tym względzie otrzymywał z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Belwederu. Parokrotnie referował te sprawy Piłsudskiemu i Beckowi.

Ostatnie lata przed wojną spędza w Warszawie, współpracując z *Gazetą Polską*. Część członków „Naprawy” zgłosiła swój akces do Obozu Zjednoczenia Narodowego („Ozonu”), wśród nich Katelbach. Z ramienia Ozonu został senatorem w ostatniej kadencji Senatu.

W czasie wojny przebywał w Paryżu, Londynie i w Niemczech, pisząc artykuły do prasy emigracyjnej. W tym czasie zbliżył się bardzo do gen. Sosnkowskiego, któremu oddał duże usługi w jego akcji nad zjednoczeniem partii politycznych w latach 1953-54.

W 1956 roku Katelbach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w Radio Wolna Europa. Kontynuował tę pracę i później, po swym przyjeździe do Ameryki w 1966 roku. Lecz tu przeważnie zajęty był pisaniem artykułów do prasy polskiej w Ameryce, Londynie i Paryżu i wiele czasu poświęcał, gdy był zdrow, pracy w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego był członkiem Rady.

Umarł w Nowym Jorku 9 listopada 1977 roku mając lat 80.

Ten sumaryczny szkic biograficzny wykazuje, jak szeroka była aktywność Katelbacha w dziedzinie politycznej. A jego talent pisarski potrafił przelać na papier wiele jego myśli i wspomnień, dając niezwykle ważki dorobek dla najnowszej historii Polski.

Pomijając setki (czy tysiące) artykułów Katelbacha, pragnę przypomnieć o jego książkach, jakże cennych dla historyka. Mogę to stwierdzić z własnego doświadczenia, cytując jego słowa w mych pracach.

Studia nad Niemcami pozwoliły mu opracować niezwykle cenne dzieło „Niemcy współczesne wobec zagadnień narodowościowych” (Warszawa, 1932, 402 str.). Rezultatem pobytu na Litwie

jest książka „Za litewskim murem” (Warszawa, 1938, 379 str.), ważny przyczynek do historii polsko-litewskich stosunków. Działalność młodzieży akademickiej w 1917 roku na uniwersytecie warszawskim opisuje książka „Strajk akademicki” (Warszawa, 1939, 136 str.). W innej swej pracy pod tytułem „Spowiedź pokolenia” (Lippstadt, 1948, 310 str.) autor daje przegląd działalności jego pokolenia na przestrzeni lat 1905-1939. Stosunkom wśród polskiej emigracji powojennej, które Katelbach znał tak dobrze, poświęcone są aż cztery jego prace: „Kartki z pamiętnika” (Paryż, 1940, 192 str.), „U kresu drugiego etapu” (Londyn, 1942, 119 str.), „Rok złych wróżb” (Paryż, 1959, 221 str.) i wreszcie ostatnia z jego większych prac politycznych, „O zjednoczenie i legalizm. Ostatni akt życia publicznego Kazimierza Sosnkowskiego” (Nowy Jork, 1975, 328 str.), którą wybitny publicysta i pisarz polityczny, Adam Ciołkosz nazwał bezcenną z punktu widzenia dziejopisarstwa. Bez niej przyszły historyk nie będzie mógł zrozumieć jak biegło życie polityczne emigracji polskiej w owych latach. Wreszcie istotnie ostatnią pracą, mniejszą w rozmiarach, był esej pod tytułem „Wódz i poeta. Lechoń o Piłsudskim” (Londyn, 1977, 52 str.).

Kilka prac w rękopisie czeka na wydanie\*.

Piękny dorobek literatury politycznej naszych czasów. Katelbach miał duży talent opisywania faktów w stylu wspomnieniowym, kronikarskim, lecz, jako pisarz polityczny, miał silny i zadzierzwyty pazur, potrafił wyrażać swe myśli z wielką odwagą w sposób ostry i bezkompromisowy, umiał walczyć o ideały, które wyznawał.

Jakież one były? Można to określić jednym słowem. Katelbach był piłsudczykiem. Pod gwiazdą Piłsudskiego się wychował, jego starał się zrozumieć i o sprawę tej Polski, jaką widział Piłsudski, umiał walczyć zajadle. W całej swej długiej pracy na emigracji walczył z pamiętalem i zdecydowanie o niepodległość dziś niewolnej Polski. I tym dobrze się dla niej zasłużył.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

\*W nrze 43 *Zeszytów Historycznych* (luty 1978) rozpoczęliśmy druk *Wspomnień Tadeusza Katelbacha* pt. „Bezdroża”; jest to ciąg dalszy „Roku złych wróżb” („Biblioteka Kultury”, Paryż, 1959). — *Redakcja*.



## Kronika kulturalna

### Konstanty Brandel 1880-1970

Spośród ilu bliskich, którzy co roku, coraz to od nas odchodzą, jest bardzo niewielu, o których tak jak o Konstantym Brandlu mogliśmy powiedzieć, że życie ich było zwycięstwem.

Zwycięstwem? Czego zwycięstwem?

Wielkiego talentu, upartej twórczej pracy całego życia artysty i zadziwiającej konsekwencji w osiągnięciu celu, który sobie od młodości wyznaczył.

Koroną tego życia jest spuścizna artysty przekazana w całości po jego śmierci — Polsce.

Mam przed sobą otrzymany tylko co katalog wystawy w Muzeum Narodowym w Warszawie; zaledwie część tego daru zapełniła siedem sal Muzeum. Katalog wystawy jest swego rodzaju pomnikiem wystawionym artyście. Wstęp dyrektora Muzeum, Stanisława Lorentza, mówi nam o tym co zawiera ten niezwykle dar: 3240 obrazów olejnych, akwarel, gwaszów, rysunków i grafik o różnych technikach. Więcej niż połowa tego zbioru została przekazana Muzeum Narodowemu w Warszawie, resztę otrzymały muzeum krakowskie, poznańskie, gabinet rycin Uniwersytetu Warszawskiego i Gabinet Grafiki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, muzeum Torunia i szereg innych jeszcze, między które reszta dorobku artysty została podzielona. Wstęp Ireny Jachimowicz (polski i francuski) powstał przy bliskiej współpracy z Witoldem Leitgeberem, który z pietyzmem i jakąś znajomością rzeczy! dar ten Polsce przekazał. Ten wstęp jest wkładem bez którego nie potrafi się dziś obejść nikt, kto o Brandlu zamierzałby pisać.

Irena Jachimowicz wprowadza nas w świat artysty, w ten dialog nieustanny bardzo długiego życia, między reakcją zmysłową, odruchową wobec świata widzialnego, a tak bogatą imaginacją artysty.

Katalog zawiera również dokładną biografię Brandla, etapy jego twórczości, jego licznych podróży (artysta bowiem od 1903

roku przebywa przeważnie we Francji, dojeżdżając jedynie do Polski), wspomina również jego wiernych przyjaciół Francuzów i Polaków, którzy go tylekrotnie gościli i do śmierci otaczali czułą opieką. Ze wspomnę chociaż tych, których w dawnych latach znałem: prof. Zygmunta L. Zaleskiego, Jana Danysza, profesora Instytutu Pasteura aż po p. Marię Wisti, Renée Hilldt i jej siostrę, które czuwały nad nim, aż do ostatnich dni życia, które Brandel spędził w Maison Nationale de Retraite des Peintres et Sculpteurs... w Nogent-sur-Marne, w pięknym gmachu otoczonym stuletnimi drzewami i wspaniałym ogrodem. Brandel był chyba jedynym artystą polskim, który — dzięki przyjaciołom francuskim — mógł tam trafić i tam życie zakończyć, bez jakichkolwiek trosk materialnych. Katalog zawiera również bibliografię katalogów jego wystaw, artykułów jemu poświęconych, oraz dokładny spis tych paru tysięcy dzieł przekazanej kolekcji. Ponad 50 ilustracji czarno-białych oraz 4 (niestety tylko cztery) kolorowe dają pojęcie wielkiej *qualité* dzieła całego życia artysty.

Tu pisząc się zawahałem: czy „dają pojęcie” ludziom, którzy prac Brandla w oryginale nie znają? Taki rysunek jak rembrandtowski pejzaż „Cmentarz podlaski” (1913 r.) albo sąsiadujący z nim również rysunek „Las w Karnkowie” (1913 r.), takie szttychy jak „Twardowski na księżycu” (1930 r.) czy „Wyspa zielonego przylądka” (1938 r.), aż po „Tęczę w Bahii” (1938 r.) lub „Jezioro Lanou” (1951 r.) — niezwyklej delikatności kreski będą musiały wcześniej czy później być przekazane inną, wyższą techniką reprodukcji aby dać widzowi odczuć najwyższą klasę jego rysunków i jego grafiki. Co się zaś tyczy dzieł malarskich Brandla, to cztery zresztą piękne kolorowe reprodukcje w katalogu (szczególnie „Chimera” — 1956 r.) nie są w stanie dać wyobrażenia o tym zasadniczym dziale jego twórczości. Ze strachem myślę, że te obrazy przeważnie matych, a nawet malutkich rozmiarów nie reprodukowane w kolorach, złożone w kolekcjach mogą w swej masie pozostać w tekach niedocenione, niedoprowadzone do widza, który by ich wartość docenić umiał.

Zadziwiająca jest tu nie tylko skala ale różnorodność treściowa olejów, akwarel, gwaszów po grafiki przeróżnych technik. Przez szereg lat artysta przed ostatnią wojną przerzucił się z malarstwa przeważnie na grafikę.

Cztery tomy, pełny zbiór wszystkich grafik Brandla oraz narzędzia graficzne, którymi się posługiwał, złożone zostały w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdzie zginęły, prawdopodobnie złupione przez niemieckich okupantów wraz z wieloma skarbami Biblioteki. Jest to jeden z powodów, że Brandel po wojnie porzucił grafikę i wrócił znów ostatecznie do malarstwa.

Uderza zadziwiająca, wnikliwa ścisłość i ostrość obserwacji w jego studiach pejzaży, drzew, roślin, postaci przy coraz to przemieniającej się wizjonerskiej imaginacji, podsycanej niezwykłą kulturą, nie tylko plastyczną, ale i literacką, z zadziwiającym przy tym wyczuciem przeróżnych epok historycznych. Od pierwszych wpływów Grecji, którymi nasiąknął za młodu, poprzez



urzeczenie gotykami, romańszczyzną, które widzi oczami symbolisty końca XIX-go i początku XX-go wieku, o zadziwiających perspektywach to przemieniających gotyk w las dziwnych roślin, to widzianych jak poprzez krzyżujące się lustra kolumn gotycznych. Tu znaleźć możemy również wpływy Dalekiego Wschodu, bogactwo baroku przeżytego jego oczami. Wystarczy się wpatrzeć w ten gąszcz niesamowitych syntez i skrzyżowań, aby się znaleźć w kręgu zaczarowanym jego sztuki. Osobny dział stanowi pejzaż z Polski, Włoch, Francji, a nawet Brazylii.

Tu wrócić chcę do moich wspomnień osobistych, które częściowo już opisałem w związku z nagrodą plastyczną *Kultury*, którą Brandel otrzymał w 1960 roku.

Dopiero w latach pięćdziesiątych odkryłem Brandla naprawdę. Cóż o nim wiedziałem, co znałem poza paru egzemplarzami reprodukowanych jego dzieł graficznych? Zналиśmy go wówczas w Paryżu wszyscy. Był seniorem artystów polskich. Jak daleko sięgam pamięcią mówiono o nim, że żyje na granicy wielkiego niedostatku. Nie tylko na los nie narzekał, ale zdawało mi się, że ten stan uważał za jedynie właściwy dla malarza. Mieszkał wówczas na Place Pigalle. Dla wielu Polaków przybyłych z Polski ten plac miał jeszcze sławę centrali wielkiej rozpusty paryskiej i nocnego, wyłączanie nocnego życia. W pamięci pozostał mi tylko ten plac w świetle dziennym: opustoszały, brudny i odpychający. Trafic do Brandla, kiedy po raz pierwszy się do niego wybrałem, nie było łatwo. Pamiętam jakieś zaspane, niegrzeczne stróżki, i brudne schody nocnych gościnnych hotelików, i kilka znudzonych, również sennie ślaniających się po chodniku prostytutek. Pamiętam mieszkanie chorej wdowy po jego przyjacielu, która mu tam gościny użyczyła. W pamięci (czy wiernej?) pozostał mi wielki zmurszały salon z oknami na plac, ciemnymi obrazami na ścianach w ciężkich ramach, fotelami i kanapą z pokrowcem, i chyba z fortepianem, również w pokrowcu. Przy jednym oknie stała sztaluga Brandla i ten jedyny kąt sali żył w tym składzie zakurzonej, ciężkich mebli. Zauważyłem również w pokoiku obok stół przykryty ceratą, na nim stary kalendarz; o ten kalendarz Brandel opierał swe małe kartony z niezrównanymi pejzażami czy serią „macierzyństwa” (zawsze „kobieta z dzieckiem”: chłopka z dzieckiem wśród gór, Madonna z Dzieciątkiem pod niebem gwiaździstym, zawsze matka i dziecko w przeróżnych gamach pejzaży).

Sam mi wyznawał, że te małe kartony maluje lata, że czas który im poświęca przechodzi granice nawet jego imaginacji: „A moja imaginacja jest wielka!”.

Tu po raz pierwszy przeżyłem sztukę Brandla nie szukając powiązań i zbliżeń do tych czy innych wątków artystycznych, czy „izmów”, ale właśnie w tym co w sztuce Brandla jest jedyne.

Tu również odkryłem człowieka, stosunek artysty do jego

dorobku — już wtedy bardzo wielkiego — i cały styl życia człowieka opanowanego nie tylko pasją malarstwa, ale jedną myślą upartą, decyzją upartą, by o ile możliwe wszystko co stworzył mogło wrócić do Polski.

Nie rozumiejąc tego z początku, niezrozumiałe były dla mnie jego opory — nawet wtedy kiedy był w najtrudniejszych warunkach materialnych — jego niechęć rozstania się, sprzedaży, jakiegokolwiek z jego obrazów i przy tym jego zupełna obojętność, z którą witał czyjeś uznanie czy nawet zachwyt.

Przyjmował w tamtym okresie nielicznych odwiedzających go gości, o ile pamiętam, we środe popołudniu w tej zakurzonej sali. Olśniony jego malarstwem (jedynie Odillon-Redon zdawał mi się jemu pokrewny), widząc przy tym w jakich żyje warunkach, sprowadziłem do niego przyjaciela Francuza, który tylko co otworzył galerię obrazów. Wrażenie które odniósł było bliskie mojemu i prosił, żebym artyście przekazał, że w każdej chwili gotów jest mu zorganizować darmo wystawę w nowopowstałej galerii.

Wróciłem do Brandla triumfalnie przynosząc mu tę propozycję. Brandel wyglądał wcale nie ucieszony, pręcej zakłopotany. Po krótkim milczeniu i paru mrukliwych, urywanych zdaniach powiedział mi, że propozycji tej przyjąć nie może.

„Dlaczego?” — spytałem go zdumiony.

„Jeszcze jestem nie gotów”. Miał wówczas około 80-ciu lat (Hokusai miał 92 czy 94 lata, kiedy umierając powiedział: „Gdybym miał jeszcze 5 lat życia może byłbym wielkim malarzem”).

W tych samych latach, gdy odwiedzałem Brandla na Place Pigalle, przyszedł dziennikarz, który mu wspaniałomyślnie obiecywał, że będzie o nim pisał. Brandel podszedł do niego i powiedział mu, biorąc go przyjaźnie za ramię: „Żeby Pan wiedział jak mi to jest obojętne...”.

Jeszcze jedno wspomnienie. Gdy jeden z gości, wzięwszy do ręki duży, na nieoprawionym arkuszu gwasz, opuścił go nie chcąc na ziemię. Brandel zwykle tak bardzo uprzejmy zaprowadził go do wyjścia i otworzył mu drzwi: ... „Pan z malarstwem nie umie się obchodzić!” i drzwi za nim zamknął.

W tych samych latach namówić go, aby sprzedał niedużą akwarelę wymagało długich pertraktacji i wtedy dopiero zrozumiałem o co chodzi. Wyznał mi sam, że jest zdecydowany co tylko się da z jego dzieł przekazać Polsce. Mówił mi o tym zająkliwie, jak wyznanie: „No, widzi Pan, chcę, aby te obrazy były w kraju zebrane, żeby młodzi mogli z nich korzystać, na nich się uczyć... Nie uczyć, broń Boże, jak malować, ale jakie błędy omijać, żeby te obrazy były tam dla... życia, dla... kultury, bo one są *konsekwentne*”.

Zaledwie wspominałem o nurtach i wpływach, które Brandla dotknęły. Dzięki rzadkiej i tak złożonej kulturze były one wielostronne i niezmiernie bogate. Nie chcę rozwijać tu tego tematu



— nawet przy przelotnym obejrzeniu obrazów artysty nie jest trudno każdego zaszkladkować, a nawet zamurować wiążąc go bliżej czy dalej z kilku artystami o światowej sławie, których osobowość na sztuce zaciążyła. Te badania związków znaczą bardzo wiele, ale odkrycie artysty polega, *przeciwnie*, na przeżyciu tego, co go różni, co dzieli od innych, co jest niepowtarzalne.

Jest taka chwila, którą różnie nazywając przeżywa każdy, najskromniejszy nawet artysta — chwila widzenia, oczyszczona ze wszystkich reminiscencji. Wyraził to najprościej Cézanne, twierdząc, że gdy artysta maluje pejzaż musi czuć, że on pierwszy ten świat widzi. Artysta w tej chwili jest również wolny od nawet przez siebie przemyślanych i przyjętych teorii, formuł i wskazań. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o malarza. Lope de Vega wyznawał, że gdy pisał swe sztuki w ogniu twórczym, zamykał na sześć kluczy *con seis llaves* wszystkie reguły i paradoksy. Taka chwila dla malarza zdarzyć się może, gdy patrzy na zachód słońca nad daleką płaszczyzną pól poznańskich, na osobliwe wnętrza katedry gotyckiej, czy również gdy spojrzy na zwykłe jabłko na zwykłym stole. Tu gra rolę sztuka zapomnienia, *ars obliviscendi*, która jest równie ważna jak *ratio studiorum*, bo chodzi o to, by człowiek nie tylko umiał się uczyć, ale umiał również zapominać o przeszłych zdobyczach, bo w tej chwili powinien być dziewiczy i nagi, jak w pierwszej chwili pierwszego poranka. Tak mówią mistycy, nie tylko chrześcijańscy, również buddyjscy.

Zwycięstwo Brandla — że tę iskłę nagiego widzenia nie tylko przytężył, ale potrafił ją przekazać.

Drugie zwycięstwo, że myśl jego życia została zrealizowana z synowskim pietyzmem przez siostrzeńca i spadkobiercę, że dzieło jego stało się własnością Polski.

Józef CZAPSKI

## 42-gi MIĘDZYNARODOWY KONGRES PEN-CLUBU

42-gi Międzynarodowy Kongres PEN-Clubu odbył się w Sydney, w dniach 11 - 17 grudnia 1977.

W kongresie wzięło udział 200 uczestników z 21 krajów. Liczebnie najliczniej wystąpili Australijczycy — 80 osób. Polska nie brała udziału.

Dzięki inicjatywie delegacji francuskiej, forum Kongresu stało się terenem kolejnej bitwy o prawa człowieka oraz o respektowanie swobody twórczości literackiej w ZSSR.

Francuski PEN-Club, reprezentowany w Sydney przez Prezesa — Georges Clancier oraz Sekretarza Generalnego — D. Stołypina tradycyjnie udostępnił członkostwo swej organizacji kolegom-pisarzom ciemionym i prześladowanym politycznie w krajach ich zamieszkania. W ten sposób pisarze francuscy mogli na forum międzynarodowym bronić swoich kolegów, a także wywierać nacisk na rządy krajów winnych takich prześladowań. Władimir Bukowski, Aleksander Galicz oraz Władimir Maksimow zostali członkami

francuskiego PEN-Clubu jeszcze w czasie ich pobytu w ZSSR. Niekrasow oraz młody poeta sowiecki Delone, zostali członkami już po przymusowym opuszczeniu Rosji. W chwili obecnej członkami francuskiego PEN-Clubu pozostaje szereg sowieckich pisarzy-dysydentów, nadal żyjących w ZSSR. Należą do nich: Edward Kuzniecowa i Władimir Osipow (oba przebywający w obozie), a także: Barabanow, Kozowoj, Kornitow, Woinowicz i Władimow.

Ten braterski gest adoptowania prześladowanych kolegów jako członków francuskiego PEN-Clubu nie ograniczał się zresztą do pisarzy sowieckich. Do zaadoptowanych należą także pisarze innych krajów, jak Urugwaj, Jugosławia (Mihajlo Mihajlov), a praktyka adoptowania kolegów stosowana jest także przez inne PEN-Cluby, jak np. holenderski, belgijski, angielski.

Jeśli idzie o sowieckich pisarzy-dysydentów, będących członkami zachodnich PEN-Clubów, Związek Pisarzy Sowieckich oraz KGB czynią oczywiście wszelkie wysiłki, aby przeszkodzić tego rodzaju związkom i kontaktom. Ostatnią próbą władz był projekt stworzenia „oficjalnej” Sowieckiej Sekcji PEN-Clubu, do której należałoby 20 uznanych sowieckich pisarzy. W zorganizowaniu takiej grupy biorą szczególnie aktywny udział: Georgij Markow — Sekretarz Generalny Związku Pisarzy Sowieckich oraz Mikołaj Fedorenko, który m.in. wstawił się gorliwym tłumieniem „Praskiej Wiosny” w roku 1968. Zorganizowanie takiej „oficjalnej” sekcji sowieckiego PEN-Clubu pogorszyłoby automatycznie sytuację pisarzy-dysydentów, będących członkami PEN.

Istniały obawy, iż Związek Pisarzy Sowieckich przez wysłanie na 42-gi Kongres do Sydney swoich trzech obserwatorów będzie się starał uzyskać sankcje Kongresu dla tej „oficjalnej” sowieckiej sekcji PEN. W rzeczy samej, na liście uczestników kongresu znajdowały się nazwiska trzech sowieckich obserwatorów: Anatoli Melnikow, Wardges Petrosian i Oleg Szestniskij. Dzięki inicjatywie francuskiego PEN-Clubu oraz jego współpracy z Australijskim Komitetem Obrony Praw Człowieka w ZSSR, sowieccy obserwatorzy nie zjawili się oficjalnie na Kongresie a zamierzona próba została czasowo udaremniona.

## KONKURS ZWIĄZKU PISARZY POLSKICH NA OBCZYŻNIE

1. Związek Pisarzy Polskich na Obczyżnie z inicjatywy pani Eudoksji Rakowskiej z Adelaide, Południowa Australia, ku uczczeniu pamięci jej rodziców, Antoniego i Rozalii Hejka, ogłasza konkurs na pracę dotyczącą walki o polskość Kresów Zachodnich, ze szczególnym uwzględnieniem Warmii i Mazur, w okresie od roku 1910 do zakończenia drugiej wojny światowej.
2. W konkursie mogą uczestniczyć wszyscy piszący po polsku, bez względu na miejsce zamieszkania.
3. Zgłoszona praca, nigdzie nie publikowana, może mieć formę pamiętnika, powieści, pracy dokumentarnej, zbioru nowel lub opowiadań, względnie długiego eseju.
4. Praca musi być napisana na maszynie z odstępem co drugi wiersz, na papierze międzynarodowego formatu, A4, z marginesem około 4 cm. po lewej stronie i z takim wyliczeniem, by przypadło około 30 wierszy na stronę.
5. Praca nie może obejmować mniej niż 25.000 słów (około 100 stron maszynopisu zgodnie z punktem 4) i nie więcej niż 80.000 słów.



6. Termin składania prac mija z dniem 1 lipca 1979 roku. W wypadku wątpliwości decyduje data stempla pocztowego.

7. Każda praca musi być opatrzona godłem oraz posiadać załączoną i zaklejoną kopertę noszącą to samo godło. Wewnątrz koperty musi się znajdować imię, nazwisko i pełny adres nadawcy. Autor może sobie zastrzec anonimowość w wypadku nagrodzenia czy publikowania jego pracy, ale jury musi znać jego imię i nazwisko. W wypadku nie podania w kopercie pełnego imienia i nazwiska, praca, nawet już wyselekcjonowana przez jury, nie będzie mogła być nagrodzona.

8. Ocena nadesłanych prac należy do jury, która zostanie powołane przez Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

9. Nagrody, ufundowane przez panią Eudoksję Rakowską, wyniosą: 1-sza nagroda — £ 500, 2-ga nagroda — £ 250, 3-cia nagroda — £ 100. Jury będzie miała prawo nie przyznać, pierwszej nagrody lub ją podzielić.

10. Wszystkie prace należy wysyłać pocztą poleconą na adres:

ZWIĄZEK PISARZY POLSKICH NA OBCZYŻNIE  
238 - 246, KING STREET,  
LONDON, W6 ORF, ENGLAND.

### PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ  
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.  
W. GERMANY

## Książki

### Głos młodszego pokolenia

Wstępna notatka od redakcji informuje, że *Puls* nie jest almanachem odpadów spod nożyc cenzora. Na pewno nie jest to ze strony autorów nowego kwartalnika chęć zamanifestowania ich inności wobec o trzy kwartały wcześniej powstałego, również jako samodruk wypuszczonego w kraj *Zapisu*. Tych „inności” — gdyby zacząć przymierzać do *Zapisu* — byłoby zresztą znacznie więcej. W każdym razie fakt, że *Puls* chce działać zapominając o istnieniu cenzury, zasługuje na dużą uwagę, może to bowiem kiedyś owocować utworami mówiącymi o rzeczywistości „pełnym głosem”, które każą nam uwierzyć, że przy ich powstawaniu autor pozbył się tzw. „wewnętrznego cenzora”. Jest to zapowiedź linii i odrzucenia pewnego ograniczenia cechującego dotychczasowe numery *Zapisu*, którego literackie materiały (w większości) były jednak przeznaczone dla oficjalnej prasy i wydawnictw, a więc autorzy liczyli się z cenzurą, co nie musiało, lecz mogło mieć wpływ na otwartość ich wypowiedzi. Nie sądzę jednak, żeby pierwszy numer *Pulsu* zarówno w pełni realizował te wstępne założenia autorów i redaktorów (bo także znalazły się tam materiały odrzucone przez cenzurę), jak i zaspakał nasz podniecony owymi założeniami głód i oczekiwania na literaturę „nabrzmiałą bólami współczesności”. Sygnalizuje problemy, sprawy, mówi o takiej czy innej wrażliwości tego czy innego autora, wskazuje co przyciąga jego uwagę, co gniewa a co cieszy, na co jest uczulony, co go porusza a co pozostawia obojętnym i (mimo że pismo, jak i poszczególni autorzy, dalecy są od jakiegoś wspólnego programu, poza, powiedzmy, wspólną platformą polityczno-moralną) zdradza nawet pewne założenia teoretyczne. Chociażby poprzez negację założeń reprezentowanych przez starsze pokolenie, na przykład w *Zapisie*. Jednym słowem: pierwszy numer *Pulsu* na razie dużo więcej mówi nam o autorach tekstów, niż poprzez ich teksty o ojczystej rzeczywistości. Ale nie bądźmy zbyt niecierpliwi. Przyjmijmy, że grupa młodych ludzi (wyobrażam sobie:



w wieku gdzieś od dwudziestu do trzydziestu lat) nie tylko potrafiących parać się piórem, ale i o gorących głowach, cywilnej odwadze, poczuwających się do odpowiedzialności tak za rzeczywistość, jak za obraz tej rzeczywistości w literaturze, postanowiła wydawać pismo literackie, w którym znajdują się utwory raz lepsze raz gorsze, albo takie i takie (doskonałe nie trafiają się przecież nigdy i nigdzie często) i deklaruje, że dołoży starań, aby pismo to było takie, jakie mogłoby być, gdyby nie istniała cenzura i inne polityczne ograniczenia. Więc choć bez sensacji, mimo to wiele.

Numer otwiera wspaniały tekst nieżyjącego socjologa, Stanisława Ossowskiego pt. „Problematyka swobody słowa w dyskusjach naukowych”, napisany w 1961 roku, jako wypowiedź polemiczna z artykułem Tadeusza Kotarbińskiego, zamieszczonym w *Przeglądzie Kulturalnym*. Zamykają go wiadomości kronikarskie i satyryczny w tonie felieton Jacka Bierzina. Poza tym numer wypełniają mały poemat Antoniego Pawlaka i wiersze Zbigniewa Dominiaka, wiersze dwóch poetów emigracyjnych: Miłosza i Czaykowskiego oraz przekłady wierszy Ginsberga i Ferlinghetti'ego. Jest także proza, fragmenty powieści albo parodii powieści Witolda Sułkowskiego, tegoż autora „Uwagi o prozie”, szkic Zdzisława Jaskuły o poezji Miłosza i drugi Bierzina o tym, jakie z tej poezji czerpał nauki. (Nawet jeśli się do tego dorzuci to i owo o Kotakowskim, młodzieńcze i w panegirycznym raczej stylu, wszystko to ukazuje dość wąski zakres problematyki). A w części publicystycznej zwraca uwagę artykuł o sytuacji w filmie polskim ostatnich dni, świetnie udokumentowany, podpisany K.W.

Z utworów literackich (pomijając importy) najciekawiej przedstawiają się poemat Pawlaka i proza Sułkowskiego. Redakcja nie zamieściła notatki biograficznej o autorze poematu, miast niej natomiast znajdujemy pod utworem uwagę, że krąży on w maszynopisie po kraju i publikowany jest bez wiedzy i zgody autora. Nie wyjaśnia to niczego więcej nad to, że Pawlak z redagowaniem kwartalnika nie ma nic wspólnego. I być może jeszcze, że najprawdopodobniej nie mieszka w Łodzi. A szkoda, że nie wyjaśnia więcej. Kwartalnik przeznaczony jest chyba nie tylko dla grona sympatyków, którzy znają życiorys poety na pamięć, skoro zdołał przebyć kilkaset kilometrów docierając do mnie. Przyznam się, że o Antonim Pawlaku wiem mało, prawie nic, a to co wiem, to niemal same przypuszczenia. Czytałem na przestrzeni ostatnich lat parę jego wierszy, pewnie w *Życiu Literackim*, na pewno raz w *Nowym Wyrazie*. Wierszy z czasopism nie wycinam i nie zbieram, a pamięć jest zawodna. Skłonny jestem Antoniego Pawlaka łączyć raczej z literacką młodzieżą Krakowa niż Łodzi, czy Warszawy, ale oczywiście, biorę to dosłownie z powietrza. Do super-awangardowego towarzystwa poetów i innych twórców, specjalizujących się we wszelkich politycznie neutralnych działaniach i niezrozumiałym, zgrupowanych wokół miesięcznika *Nowy Wyraz* Pawlak mi nie pasuje. „Swoich” poetów i prozaików *Nowy Wyraz* publikuje bardzo często, jeszcze częściej za-

mieszczą o nich krytyki, omówienia i recenzje. A wiersz Pawlaka pojawił się w tym miesięczniku tylko raz przed pięcioma laty. Przed trzema laty *Nowy Wyraz* wydrukował jeszcze jego recenzję z tomiku jednego z czołowych poetów grupy „Teraz”. Wspominam ją dlatego, że dziś, w zestawieniu z poematem „Ponad siły”, brzmi ona jak twórcze credo poety. Warto parę zdań z niej zacytować. Oto co Antoni Pawlak wtedy napisał:

„Jeszcze nie tak dawno przedstawiciele 'nowej fali' w naszej literaturze toczyli ostrą polemikę z tak zwanym 'pokoleniem 60'. Do głównych zarzutów stawianych temu pokoleniu należał zarzut pozornego zaangażowania, zaangażowania za wszelką cenę. Z tą pozornością wiązała się najczęściej ucieczka od otaczającej rzeczywistości w historię (na przykład martyrologia narodu polskiego podczas drugiej wojny światowej), lub też zaangażowanie w problemy ogólnoswiatowe. A więc zupełne stracenie z pola obserwacji tego, czym naprawdę żyje (czy też żyła w tym okresie) większość mieszkańców tego kraju”.

I dalej, w swej recenzji Pawlak bezlitośnie odstawia i demaskuje zaangażowanie autora omawianego tomiku, należącego do pokolenia lat 70-tych, również zaangażowanie za wszelką cenę, tyle że polityczne, niebывale odważne i z odsoniętą przyłbicą, bo... w Irlandii, na uniwersytecie amerykańskim w Kent, gdzie Gwardia Narodowa zastrzeliła studenta, gdzie tam w odległej Afryce, gdzie ludzie cierpią głód i prześladowane są Murzynów i tak dalej, i tak dalej.

Poemat Antoniego Pawlaka, który za pośrednictwem kwartalnika *Puls* dotarł na Zachód, jest odwrotnością tamtego zaangażowania, owego zaangażowania za wszelką cenę, a dosłownie: pozornego. Poemat ten jest zaangażowany autentycznie w to co bliskie, w rzeczywistość własną autora i własnego kraju, w sprawy, które — jeśli się w nie człowiek angażuje czynem, a nawet chociażby słowem — stają się niebezpieczne. „Ponad siły”, to realizacja zaangażowania tak, jak je autor rozumie. Monolog wezwanego do służby wojskowej młodego człowieka, skierowany do Ojczyzny, który nie odczuwa już wzruszenia wymawiając jej imię, nie rozumie słowa patriotyzm i którego nie napawa dumą fakt, że jak mówi, urodził się w kraju nieustannie szlochających wierzb. Bohater poematu Pawlaka zapytuje sam siebie, jak to się dzieje, że tak wszystko zobojętniało, spowszedniało (w domyśle: socjalistyczna normalka), że nawet z dwunastu miesięcy w roku w tym kraju pamięta się tylko trzy (zapewne: marzec, grudzień i czerwiec, bo październik już dawno zapomniano) i co się stało z nami, że nie potrafimy uwierzyć w odwieczne uczucie się miłości i instynktowne pragnienie odrodzenia, a wreszcie: co zrobić, żeby było inaczej. Odpowiada sam sobie: oddziel Ojczyznę od Państwa, Naród od Rządu. Zaraz jednak tę swoją odpowiedź radę dezawuuje: w tym kraju może być tylko to oddzielone, co oddzielić da się bez skalpela, bez gwałtu. I to pesymistyczne stwierdzenie racji stanu (w domyśle: sowieckie czołgi) podkreślone jest dodatkowo deklaracją autora o braku nadziei. Ale czyż



ten brak nadziei jest rzeczywiście szczery? Czyż właśnie powstanie takiego poematu, jak „Ponad siły” Pawlaka, nie jest faktem podnoszącym na duchu i nie stanowi dowodu, że i sam autor tę nadzieję jeszcze żywi?

Powieść Witolda Sułkowskiego „Dysiek” objawia się czytelnikowi we fragmentach i od razu na wstępie mrugając doń porozumiewawczo okiem: Jestem we fragmentach, ale bodajże pierwszy raz w dziejach piśmiennictwa ułożonych wcale nie chronologicznie, a pomieszanych ze sobą byle jak. Trafnego wyboru każdorazowo dokonywać będzie autor i czytelnik niech biedzi się nad oceną jego wysiłku i rozwiązaniem kompozycyjnej zagadki. Bo, jak pisze Sułkowski w zamieszczonym w tymże *Pulsie* artykule pt. „Kilka uwag o prozie”: „...z elementów normalni smętnie pływających w zawieszonym nudy, apatii i zidiocenia trudno jest skleić coś, co w czasach pozytywizmu przyjęto za wzorzec sprawnej prozy narracyjnej”. Dlatego „nową powieść”, która ma trafnie oddawać rytm współczesnego świata trzeba budować „...z kawałków codzienności powiązanych raczej asocjacją niż związkiem przyczynowo-skutkowym (...) stosując kolaż, pastisz, parodię, organizując z chaosu maskultury i masideologii rzeczywistość wyższego rzędu, w której owe demony tracą swą magiczną moc”.

Jeśli powiem, że powieść „Dysiek” jest próbą realizacji tychże właśnie założeń, to nie będę daleki od prawdy. I to próbą błyskotliwą. Bo czegoż tam nie ma! Jest opowiadanie zwierzęce z podtekstami, pisana przez jednego z bohaterów powieści (więc jednak Sułkowskiemu nie udało się uniknąć krytykowanego uprzednio oryginalnego bohatera pisarza), są pełne fantazji przebudzenia po wódce bohaterów wywodzących się z aparatokracji polskiej i inne ich nie mniej heroiczne czyny. Jest „politgramota” i halucynacje kelnera, izba wytrzeźwień i działalność „panów smutnych” czyli ubeków oraz fragment socrealistycznej powieści z typowym i pozytywnym bohaterem podróżującym po zaprzyżnionych krajach pt. „W 80 dni dookoła świata”, którą to powieść usiłuje czytać komendant „panów” przeprowadzających właśnie rewizję. Jest wreszcie typowe zebranie i typowy kawałek z takich zebrań, czyli „wspomnienie z dawnych lat” uczestnika heroicznych zmagani.

Powieści Sułkowskiego nie można streszczać, zwłaszcza, że *Puls* prezentuje dopiero jej fragmenty i to jeszcze „nie ułożone chronologicznie”; trudno więc dociec co z takiej czy innej sceny, z takiego czy innego opisanego zdarzenia wyniknie. Jedno da się powiedzieć: ten z werwą realizowany ciąg asocjacji, któremu jednocześnie trudno odmówić — odrzucanego przez autora w jego teoretycznym artykule — następstwa zdarzeń i czasu (choć następstwa pojmowanego z dużą swobodą), jest naśladowany po brzegi polską współczesnością. „Dysiek” Sułkowskiego jest rzeczywiście utworem sklejonym ze strzępków naszej codzienności. I to widzianej przez niego w ostrym satyrycznym skrótce, odbitej jak gdyby w krzywym zwierciadle groteski, codzienności zdeformo-

wanej przez skrót i równocześnie poszerzonej o własne komponenty. Parodia połączona z karykaturalnym przejawieniem obrazów ludzi, zwierząt i rzeczy idzie w parze z założoną z góry przez autora banalnością, wręcz schematycznością niektórych scen. Pozorna dowolność w doborze materiału i powoływanie do życia licznych fabuł w formie skondensowanych opowieści anegdotycznych, wtrąconych, stwarzają powieściowemu czytelnikowi i że w konsekwencji chodzi autorowi o pamflet na pewne formy świadomości i sposób widzenia świata.

Jeśli to rzeczywiście powieść (a w to nie wątpię: czego bowiem dziś przy odrobinie dobrej woli pod to pojęcie nie da się podciągnąć), to jest to powieść czerpiąca swą siłę z rozbitcia powieściowej struktury, przez co uzyskuje ona labilną i pozornie niekonsekwentną, niemal przypadkową formę zapisu wędrowni skojarzeń. Jest to jednak wędrowni po przestrzeniach społecznych. I to przestrzeniach ważnych. Wielość przestrzeni powoduje zmienność ról bohatera, którego kolejno oglądamy jako pisarza, aparatczyka, uczestnika popijaw, kelnera, ubekę, czy też postać z powieści socrealistycznej. Ta zmienność roli, a co za tym idzie i funkcji, ma znaczenie kompozycyjne; w sytuacji, kiedy jedność nie zapewnia fabuła, nie pozwala ona utworowi rozpaść się na elementy niespoiste. W „Dysku” Sułkowskiego wyczuwa się odległe echa teorii „workowatości” Witkacego, może jeszcze powieści „szkatułkowej” Leopolda Buczkowskiego, na pewno zaś pewne wpływy lektury autorów pop-artu, na co zresztą sam powieściopisarz w swym artykule wskazuje. Czy zademonstrowana stylistyka i metoda twórcza rzeczywiście pozwolą Sułkowskiemu ująć bliżej i wyraziściej współczesność, niż to udaje się fabularnemu „realizmowi polskiemu”, pozostaje dalej zagadnieniem otwartym. Zapewne jest to interesująca próba.

Przyznam się, że lektura samodruków krajowych napawa mnie zawsze pewnym lękiem. Ten lęk towarzyszył mi w trakcie czytania kolejnych numerów *Zapisu*, również łódzkiego *Pulsu*. To, z czym tak bardzo boję się zetnąć i od czasu do czasu jednak, niestety, się stykam, najtrafniej formułuje profesor Ossowski w swym szkicu pt. „Problematyka swobody słowa w dyskusjach naukowych”, zamieszczonym na wstępie *Pulsu*. Oto co między innymi pisze:

„...przy ostrych ograniczeniach swobody słowa, warunki podziemnego życia nauki (...) łatwo powodują zatrącenie zwykłego poczucia proporcji, sprzyjają różnym formom egocentryzmu, powodują skłonność do przeceniania niekonformistycznych wyników tylko dlatego, że są niekonformistyczne...”.

Poezja Pawlaka i proza Sułkowskiego są od tej skłonności wolne.

Włodzimierz ODOJEWSKI



## «Postludia»\*

### Zygmunta Mycielskiego

W ubiegłym roku Zygmunt Mycielski, pisarz muzyczny, krytyk i kompozytor w jednej osobie obchodził siedemdziesięciolecie urodzin zbiegające się też z półwieczem działalności, działalności przede wszystkim pisarskiej gdyż artykuły i recenzje sygnowane jego nazwiskiem znaleźć możemy z łatwością w rocznikach kulturalnych czasopiśmie z początku lat trzydziestych, a chyba nawet i z końca dwudziestych, czasopiśmie takich jak *Tygodnik Ilustrowany*, *Świat* itd.

Stąd też chyba tak charakterystyczny i kokieteryjny nieco tytuł ostatniej książki — „Postludia”. Przynosi ona wybór felietonów i artykułów publikowanych głównie w *Ruchu Muzycznym*, zasadniczo między rokiem 1973 a 1975, oraz pewną ilość fragmentów recenzji z festiwalu muzyki współczesnej „Warszawska Jesień” sięgających nawet początków tej imprezy organizowanej do-rocześnie od roku 1956. Do tego dodał autor kilka artykułów okolicznościowych, głównie sylwetek polskich kompozytorów jego pokolenia, oraz wspomnień.

Mycielski w przeszłości wydał już kilka innych książek opartych na tej samej redakcyjnej zasadzie, ale obecna wydaje się posiadać wagę szczególną. Bo wiele mówi już sama chronologia tekstów. Rok 1971 to początek nowej ery działalności autora, powrót do pisania po zmieceniu przez wydarzenia na Wybrzeżu gomółkowskiej ekipy władzy i wraz z nią zakazu druku, spowodowanego przeszło dwa lata przedtem listem Zygmunta Mycielskiego do muzyków czechosłowackich. I przyznać trzeba że jego pisarstwo muzyczne tego okresu uwolnione od nieuniknionych serwitutów związanych poprzednio z piastowaniem stanowiska redaktora naczelnego *Ruchu Muzycznego*, ukazuje pod wieloma względami nowe oblicze.

Sukces czytelniczy ostatniej książki wrażenia te jak najbardziej potwierdza. A jednocześnie pisarstwo Mycielskiego nie przestaje w polskim środowisku muzycznym wywoływać sprzecznych ocen i niekiedy polemik, od skrajnej aprobaty: — „Muzyka i Mądrość” (Bohdan Pocięj) do równie gwałtownej oceny całkowicie negatywnej: — „Pięćdziesiąt lat bredzenia o nowej muzyce” (Bogusław Schaeffer). Danie choćby subiektywnej odpowiedzi zbliżonej do prawdy jest w tej sytuacji szczególnie trudne, zwłaszcza dla kogoś mało obznajmionego i mało zainteresowanego arkanami twórczości awangardowej. Bo jest to chcąc nie chcąc cen-

tralne zagadnienie publicystyki muzycznej w Polsce i żaden piszący, a szczególnie już kompozytor nie może problematyki tej uniknąć, czy choćby uznać ją za sprawę dalszego rzędu. Z natury rzeczy dominuje ona więc też w pisarstwie Zygmunta Mycielskiego.

Ale z drugiej znów strony ton jego wypowiedzi bardzo rzadko jedynie określić by można jako polemiczny. We wszystkim niemal przeważa refleksja, dążenie do jaśniejszego widzenia spraw muzycznych, do objaśnienia ich czytelnikowi. Czytelnik ten traktowany jest zresztą przez autora na stopie równorzędnej, Mycielski dzieli się z nim swymi lekturami partytur i książek nie pomijając wątpliwości i rozterek. Tam gdzie nie wie lub nie jest pewien swoich wniosków wyraźnie o tym mówi, nie poucza i nie prowadzi wykładu *ex cathedra*. I to właśnie wspólnie z walorami czysto stylistycznymi nadaje zbiorowi esejów i felietonów ton szczególnie ujmujący, choć nie jest to bynajmniej lektura łatwa, możliwa bez zaangażowania poważnego wysiłku umysłowego.

Z drugiej jednak strony spotka zawód każdego kto by chciał w tej lekturze znaleźć poglądy wyrażone z siłą i przekonaniem, zdanie własne autora, choćby jak najbardziej dyskusyjne, ale zdecydowanie dominujące nad referowaniem poglądów innych.

Myślę, że z dużym prawdopodobieństwem trafności można by zaryzykować twierdzenie, że cecha ta nie wynika tylko z temperamentu autora, że korzeni pewnych postaw szukać należy także w jego dziejach na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat i w jego działalności w tym okresie.

Juliusz Mieroszewski w jednym ze swych ostatnich artykułów pisał, że historia nie potępi polityków ugodowych jeśli motywem ich działania będzie nie dążenie do kariery, ale ratowanie tego co się jeszcze da uratować. I odnosi się to nie tylko do polityków, ale w równej co najmniej mierze do ludzi grających wybitne role w życiu kulturalnym kraju. A wydaje się, że nie popełnimy błędu przyjmując, że taką właśnie postawę przyjął Mycielski w pierwszych latach powojennych. Nie wybrał wówczas ani zewnętrznej ani wewnętrznej emigracji, swą działalnością w Związku Kompozytorów czy też jako publicysta i krytyk starał się bronić zagrożonych wartości nie wahając się nawet szukać możliwości jakiegoś porozumienia z samym „diabłem socrealizmu” ucieleśnionym na początku lat pięćdziesiątych w przysłanych właśnie z Moskwy „ludziach z nie-polskiej nomenklatury”, jak ich barwnie określa żargon partyjny.

Wówczas nie bez powodów mogło się wydawać, że droga ta nie jest całkiem beznadziejna tym bardziej, że reżym świadom swej choćby tylko liczbowej słabości starał się jak mógł pozyskiwać twórców wszelakiego rodzaju. Tak oto ówczesną sytuację charakteryzuje kapitalny jej świadek, Andrzej Kijowski w jednym z esejów tworzących zbiór wydany niedawno w Warszawie na powielaczu przez Niezależną Oficynę Wydawniczą: „Každy artysta, urzędnik i stróż bezpieczeństwa, każde dziecko w szkole, 'cały naród' przyuczano szanować 'postępowych pracowników

\* Wyd. P.W.M., Kraków, 1977, str. 339, nakład 1.000 egzemplarzy.



pióra', 'Inżynierów dusz ludzkich' jak ich nazwał pięknie Wielki Przyjaciel pisarzy Józef Wissarionowicz Stalin.

Oczywiście trzeba było być „postępowym”, ale któż wtedy nie był postępowy? Bojowników i sojuszników postępu zgarniano niemal siłą i obdarzano przywilejami za tę tylko cenę, aby jeśli już nie mogą, nie potrafią czy nawet nie chcą napisać czegoś specjalnie dla Polski Ludowej czy o Polsce Ludowej, po prostu nie pisali, a tylko przyłączyli czasem swój głos np. w obronie pokoju... Któż nie pragnie pokoju” („Pisarz i Urząd”).

I choć niebawem, bo już w 1956 roku sytuacja ta miała się dość istotnie zmienić, nie zmieniły się przesłanki. Bo przecież za miedzami, od Wschodu, Zachodu i Południa, obowiązywał wciąż w kulturze ten co poprzednio „model socjalistyczny” a w Polsce nie brakło przepowiedni gwałtownego „przymrozka” i powrotu do dawnych złych praktyk.

Przepowiednie te nie sprawdziły się w najmniejszym stopniu, swoboda twórczości muzycznej w Polsce trwa od przeszło dwudziestu lat i dziś wydaje się niezagrożona. Ale naszkicowana sytuacja wystarczyła, aby w całym tym okresie zabrakło twórczej i ostrej dyskusji i odważnej krytyki nie zawsze zdrowego stanu rzeczy. Polemikę próbowali niekiedy wzbudzić Stefan Kisielewski czy Bogusław Schaeffer, ale na ogół bez rezonansu. Robili to chyba zresztą bez głębszego przekonania, bardziej dla „robienia draki” niż w nadziei, że wzbudzą dyskusyjny ferment. Ci zaś, którzy pragnęli inicjować rzeczywiste dyskusje nad istotnymi problemami polskiej twórczości awangardowej byli systematycznie wyciszani. Krytyka wyznawcza, „nieustająca symfonia wzajemnych komplementów” zastąpiły w słowie pisany naturalne w życiu artystycznym starcia i konflikty.

I odbicie tego stanu rzeczy znajdujemy też w omawianej obecnej książce. Zawiera ona m.in. sylwetki kilku polskich kompozytorów (Szałowski, Szeligowski, Szymanowski). Są to znakomite, subtelną kreską rysowane szkice charakterologiczne, celne charakterystyki ich muzycznych postaw ale celowo chyba pozbawione jakiegokolwiek próby wartościowania, widzenia zamkniętego już ich dorobku w perspektywie choćby tylko polskiej muzyki naszego stulecia. Podobnie jedynie dytyrambiczny ton na najwyższym diapazone obecny jest w analizach kompozycji, coraz bardziej dyskusyjnych, Krzysztofa Pendereckiego z okresu który nastąpił po słynnej „Pasji według Św. Łukasza”. Zastrzeżenia jakie wysuwano już pod adresem tego dzieła zbijane były twierdzeniem, że „nie można podważać wartości kompozycji torującej drogę muzyce polskiej w świecie”, ale dziś, z perspektywy przeszło dziesięcioletniej argument ten odpada, bo choćby znikanie kompozycji Pendereckiego z estrad zagranicznych (pomijam tu wykonania polskie realizowane na zasadzie wymiany międzynarodowej) winno co najmniej zastanawiać.

A przecież Mycielski nie stroni bynajmniej od krytycznej analizy dzieł uznanych wielkości, znakomite jej przykłady znajdujemy choćby na kartach poświęconych Strawińskiemu (z okazji

omówienia monografii tego kompozytora pióra Romana Vlada) czy klasykom dodekafonii (przy omówieniu książki Theodora W. Adorno „Filozofia Nowej Muzyki”). Celowo skupiam uwagę na momentach dyskusyjnych tym bardziej, że w ramach krótkiej relacji ogarnięcie całokształtu tematyki książki (od studiów specjalistycznych aż po relacje z egzotycznych podróży) jest po prostu niemożliwe.

Jeśli „Postludia” górują zdecydowanie nad poprzednimi zbiarami publicystyki ich autora, zasługa to w pierwszym rzędzie większej w ostatnich latach *osobistej* swobody jego wypowiedzi, podjęcie szerszego niż poprzednio wachlarza tematów a nade wszystko znakomitego przygotowania materiału do ostatecznego wydania. Mycielski nie modyfikuje swych poprzednio wydanych tekstów, nie gra roli proroka, którego przepowiednie się sprawdziły, ale usunął z nich to co było elementem chwili, pozostawiając to co ma stałą aktualność. W sumie znakomite materiały do „refleksji i zadumy” choć nie w atmosferze bezkrytycznego zafascynowania.

Adam SUTKOWSKI

## Mniejszości narodowe w W. Brytanii

W następstwie ostatniej wojny światowej Wielka Brytania m.in. przestała być imperium kolonialnym, a wyspy brytyjskie straciły swój niemal jednorodny skład ludnościowy. W Londynie i w wielkich ośrodkach przemysłowych ilość „widocznych” cudzoziemców jest duża, spotyka się ich wszędzie. Wskutek tego powstał tu zupełnie nowy problem mniejszości narodowych, problem złożony. Zajmują się nim politycy, społecznicy i różni naukowcy.

Ostatnio ukazała się pod redakcją Jamesa L. Watsona praca zbiorowa grupy antropologów pt. „Between Two Cultures”\*, rozpatrująca 10 grup etnicznych w Wielkiej Brytanii. Redaktor tomu, autor wstępu oraz eseju o grupie chińskiej jest Amerykaninem, wykładowcą antropologii Azji w School of Oriental and African Studies University of London. Podkreśla on, że wszystkie badania prowadzone były oddzielnie, że tom nie tworzy jakiegś organicznej całości, nie jest wyrazem wspólnych poglądów, ale że każda praca jest plonem własnych badań terenowych. Autorem przyświecał jeden cel: jak najbardziej obiektywne i ściśle przedstawienie stanu faktycznego.

\* *Between Two Cultures — Migrants and Minorities in Britain*, Edited by James L. Watson, pp. VIII, 338; Basil Blackwell, Oxford, 1977.



W omawianym opracowaniu znajdują się studia o następujących grupach: Sikowie (Hindusi), Pakistańczycy, Montseratianie (Indie Zachodnie), Jamajczycy, zachodni Afrykanie, Chińczycy, Polacy, Włosi, greccy Cypryjczycy, tureccy Cypryjczycy, z tych 10 grup tylko 4 są europejskie, a pozostałe należą do imigracji określonych jako *visible*, a więc odróżniających się zewnętrznymi cechami od ludności tubylczej. Interesuje nas tylko grupa polska, opracowana przez Sheilę Patterson.

Autorka jest rdzenną Angielką, która z Polakami i z polskimi sprawami zetknęła się w czasie wojny, pracując w Ministerstwie Informacji. Wyszła za mąż za Tadeusza Horkę, znanego dziennikarza, wieloletniego redaktora *Dziennika Polskiego*, zmarłego pod koniec 1976 roku. W latach 1952-1954 badała powojenną imigrację polską w Kanadzie i ogłosiła kilka artykułów na ten temat, w 1962 roku napisała pracę doktorską na temat „The post 1939 Polish Ethnic Group in Canada”, a następnie obszernie studium o grupie polskiej w Wielkiej Brytanii. Ponadto w innych pracach z dziedziny problemów ludnościowych, imigracyjnych w Wielkiej Brytanii zajmuje się grupą polską.

„The Poles: An exile community in Britain” jest — jak zaznacza sama autorka — przerobioną i zaktualizowaną pracą ogłoszoną po raz pierwszy w 1961 roku. Właściwie jednak tylko metoda badawcza jest ta sama, ale wszystko inne — poza bazą historyczną — uległo zmianom.

Tylko praca o grupie polskiej dotyczy imigrantów w zasadzie politycznych, którzy przybyli masowo w krótkim okresie czasu, podczas gdy inne grupy rekrutują się z poszukujących pracy i lepszych zarobków. Znacznej ilości tych przybyszów nie można nawet określać jako imigrantów, ale jako migrantów. Jest to element przebywający czasowo w Wielkiej Brytanii, świadomie nie starający się zapuścić korzeni, ponieważ po zdobyciu odpowiednich środków materialnych powróci do kraju rodzinnego. Natomiast Polacy w Wielkiej Brytanii stanowią społeczność uchodźców politycznych. Oblicze to z biegiem lat uległo pewnej zmianie, ale — jak dotychczas — jest to zasadniczy rys tej społeczności, jej znamie.

Sheila Patterson wskazuje, że — po upadku Francji, latem 1940 roku — przybyło do Wielkiej Brytanii około 3.000 osób polskiej ludności cywilnej, składającej się z pracowników władz rządowych i ich rodzin oraz około 27.500 żołnierzy. Następnie przybyła jeszcze pewna ilość żołnierzy, którzy znajdowali się w różnych obozach na terenie ZSSR. Skierowano także do Wielkiej Brytanii kandydatów do służby w lotnictwie i marynarce wojennej. Po zakończeniu działań wojennych dołączyli żołnierze Drugiego Korpusu, pewna ilość jeńców z obozów niemieckich a jeszcze później władze brytyjskie przyjęły 14.000 Polaków, osób cywilnych, uwolnionych z obozów niemieckich. Sheila Patterson przyjmuje, że w okresie 5 lat powojennych około 10.000 Polaków — chodzi tu oczywiście wyłącznie o byłych żołnierzy — wyemi-

gowało w ramach akcji państwowej, to znaczy że mieli pokryte koszty transportu.

Dane liczbowe Patterson są raczej szacunkowe. Dane źródła oficjalnych wywołują pewne zastrzeżenia, gdyż spisy ludności nie rejestrują jako przynależnych do grupy polskiej dzieci Polaków, względnie małżeństw mieszanych, urodzonych w Wielkiej Brytanii.

Jak liczna jest obecnie grupa polska?

Sheila Patterson, wprowadzając poprawki do danych z kilku źródeł, przyjmuje iż w 1960 roku liczba Polaków wahała się w granicach 130-135 tysięcy, a w 1976 roku od 100 do 105 tysięcy, czyli że nastąpił wcale poważny spadek, jakkolwiek w tym okresie zanotowano pewien stały napływ Polaków z kraju. Spis ludności z 1971 roku wykazał m.in., że 13.470 Polaków, w tym 75 % kobiet, przybyło w latach 1950-1971, a Patterson uzupełnia te dane utrzymując, że w latach 1972-75 osiedliło się w Wielkiej Brytanii jeszcze około 2.600 osób, głównie kobiet. Grupa polska — jako zaawansowana w wieku — będzie się jednak zmniejszać w następstwie naturalnego ubytku, tj. zgonów.

Starzenie się w społeczności polskiej obrazuje wyraźnie stały wzrost liczby osób w wieku emerytalnym. I tak w 1961 roku wynosiła ona nieco ponad 6 % mężczyzn, a w 1971 roku 11 %, podczas gdy w tym samym okresie było 3,5 % i 19,4 % kobiet.

Zdaniem autorki grupa polska jest względnie ustabilizowana na średnim poziomie zarobkowym. Poprawa bytu materialnego w stosunku do pierwszych lat powojennych jest znaczna i świadczy o tym ilość właścicieli domów, własnych małych zakładów pracy itp. Wzrosła poważnie ilość polskich lekarzy i dentystów, inżynierów, architektów itp. Patterson zaznacza, że przytłaczająca większość Polaków rozpoczęła pracę po wojnie w Wielkiej Brytanii jako niewykwalifikowani robotnicy. Ten stan rzeczy zmienił się. Z najczęściej pracującej i najmniej zarabiającej grupy przesunęli się do średniej. O ile starsze pokolenie jest w gorszych warunkach, o tyle młodsze w grubo lepszych. Otrzymało już wykształcenie w tym kraju i zajmuje różnorakie stanowiska w gospodarce narodowej.

Polacy usadowili się w wielkich miastach, w ośrodkach przemysłowych, z tym że największe skupisko jest w Londynie. Nie ma tam wprawdzie ściśle polskiej dzielnicy, ale są okręgi, w których skupia się znaczna ilość Polaków. Życie organizacyjne koncentruje się również w Londynie. Grupa polska utrzymuje łączność z Polską, głównie rodzinną. Zdaniem Patterson jest mało prawdopodobne, by nawet ci starsi, cierpiący na nostalgię, skłonni byli powrócić do Polski. Na podstawie przeprowadzonych rozmów utrzymuje ona, że nastąpiło zbyt „zadomowienie”, przyzwyczajenie do brytyjskich warunków. Wzrost małżeństw mieszanych będzie nieuchronnie prowadził do rozluźnienia więzów polskich i do przenikania do społeczeństwa angielskiego.

Najliczebniejszą i najruchliwszą organizacją dobrowolną jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. W latach 1948-1953 liczyło



197 kół, osiągając 14.600 członków. Według danych uzyskanych w 1975 roku SPK liczyło 7.200 członków, przy czym zanotowano przystąpienie młodszych pod względem wieku tak mężczyzn jak i kobiet. SPK jest najbardziej politycznym członem polskiej emigracji i poświęca wiele uwagi oraz środków na zachowanie „polskości” na emigracji. Przykładowo autorka wskazuje, że na 88 „specjalnych szkół” (zapewne chodzi o naukę języka polskiego, oraz historii i kultury) SPK utrzymuje 42. Istnieją różnego typu dobrowolne organizacje społeczne, zaspakajające niemal wszystkie potrzeby grupy polskiej. Zdaniem Patterson niewątpliwie opóźniły one asymilację, niemniej jednak wydaje się, że w miarę upływu lat organizacje z „emigracyjnych” stają się „polonijnymi”, będą popierać proces integracji grupy polskiej w społeczeństwo brytyjskie.

Sheila Patterson wskazuje na pewne wahania zarówno gdy chodzi o ilość dzieci uczęszczających na lekcje języka polskiego, liczebność organizacji i ich aktywność. Zaznacza, że młodzież wychowana w Anglii odnosi się negatywnie do organizacji starszego pokolenia; średnie pokolenie ma również wiele zastrzeżeń. Jest ono przede wszystkim zainteresowane zabezpieczeniem swojej pozycji w tym kraju, a więzy polskie mają charakter rodzinny i przyjacielski, dodatkowo podtrzymywane przez lekturę polskich publikacji, lub udział w życiu parafialnym.

Na terenie Wielkiej Brytanii w 1976 roku istniały 73 polskie parafie, obsługiwane przez 110 księży. Najliczniejszą jest parafia w londyńskiej dzielnicy Ealing (około 6.000 parafian), obsługiwana przez 5 księży. Parafie wywierają silny wpływ na życie społeczności polskiej w kierunku zachowania języka i tradycji. W swej działalności zbliżone są do organizacji polonijnych w USA i Kanadzie. Nie sposób jednak przewidzieć przyszłości polskich parafii: czy potrafią zachować swój specyficzny polski charakter, czy też stopniowo upodabniać się będą do brytyjskiego katolicyzmu. Brak jest danych odnośnie zmiany wyznania, przejścia na protestantyzm, natomiast ujawnia się odejście od „religii zorganizowanej” pewnej ilości robotników oraz młodej inteligencji.

Patterson daje zwięzły zarys ośrodka politycznego, orientacji politycznej, podkreślając że patriotyzm jest czynnikiem górującym i cementującym społeczność polską. Notuje, iż w okresie 1939-1949 ukazywały się w Wielkiej Brytanii 202 polskie czasopisma, a w 1976 roku tylko 33 — w tym 1 dziennik i 3 tygodniki. Nakład *Dziennika Polskiego* w 1951 roku wynosił 31.560 egzemplarzy, a w 1976 już tylko 15.000.

Zdaniem Sheili Patterson przesunięcie się społeczności emigracyjnej w kierunku „polonijnym” jest nieuchronne. Orientacja czysto polityczna zanika z różnych powodów, w tym i z oportunistycznych. Młode pokolenie wzmacnia swoje poczucie „polskości” odwiedzinami w Polsce, które jednocześnie uświadamiają je o głębokich różnicach jeśli chodzi o styl życia, warunki pracy itp.

W zakończeniu swoich wywodów autorka wskazuje, że Wielka Brytania nie wystąpiła z żadnym programem asymilacji czy integracji pierwszego pokolenia imigrantów polskich. Zdaniem jej nie oczekuje się od nich, by stali się Anglikami. Nie wywierano więc na nich żadnego nacisku. Tworzyli dowolną ilość różnorodnych organizacji. Z upływem czasu Polacy zadomowili się i Brytyjczycy tak dalece przyzwyczaili się do nich, że dziś praktycznie nie ma żadnych tarć. Zdaniem Patterson — jeśli nie zajdą jakieś poważne wypadki w Europie Wschodniej — proces integracyjny społeczności polskiej będzie się pogłębiał, aż do zupełnego jej wchłonięcia. „W ciągu jednego pokolenia, lub nieco dłużej — kończy swoją analizę Sheila Patterson — nazwiska jak Kowalski czy Maślak będą w Wielkiej Brytanii równie popularne jak O'Brien, Lebrun, Levy, Freyberg czy Janson”.

Studium Sheili Patterson jest obiektywne, wnikliwe i wysoce informacyjne. Autorka jest bardzo ostrożna, jeśli chodzi o wnioski wychodząc z słusznego założenia, że przyszłość zawsze jest pewną niewiadomą.

Benedykt HEYDENKORN

## «Opus magnum» Jana Kowalika

Jan KOWALIK: *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku*. T. I-IV. Lublin, 1976, Katolicki Uniwersytet Lubelski, 8°, t. I: A-J, str. 299, portr. autora, 16 pl. (faks. nagłówków pism); t. II: K-O, str. 245, 9 pl. (j.w.); t. III: P-S, str. 264, 1, 8 pl. (j.w.); t. IV: T-Ż, str. 224, 1, 6 pl. (j.w.); indeksy umieszczone na końcu poszczególnych tomów opracował Stanisław Draganowski. (Bibliografia ukazała się z inicjatywy Zakładu Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego).

Wydana obecnie w Kraju „Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku” jest właściwie wznowieniem opracowania, które w xerograficznej odbitce ukazało się w roku 1969 w Kalifornii w nakładzie sześciu egzemplarzy. Po kilkunastu latach starań o wydanie „Bibliografii” na Emigracji znalazł się wydawca — w Kraju. Tekst jest wiernym powtórzeniem „World Index of Polish Periodicals” w wydaniu fotooffsetowym opartym na maszynopiśmie autora.

„Bibliografię” poprzedziły dwa zasadniczej wartości opracowania autora: t. I „Materiałów do historii prasy polskiej na obczyźnie, 1939-1962. Bibliografie”, wydane w „Bibliotece Kultury”, t. 94, Paryż, 1963 i rozdział „Czasopiśmiennictwo” w „Literaturze polskiej na obczyźnie, 1940-1960”, wydanej w Londynie w roku 1965 pod redakcją Tymona Terleckiego. To ostatnie opracowanie, umieszczone w t. II na str. 373-548, jest szczególnie wartościowe. Jest ono, według terminologii Andrzeja Paczkowskiego, zarówno „historią naturalną prasy” z naciskiem na odtworzenie historii i okolicz-



ności ukazywania się pism, jak i analizą celów poszczególnych wydawnictw. Można je określić jako szeroko rozbudowany komentarz do ukazującej się obecnie „Bibliografii”; ta zaś jest podbudową wszelkich dalszych prac nad historią czasopiśmiennictwa na obczyźnie po wrześniu 1939 roku.

Wyraznym poprzednikiem Kowalika był Stanisław Zieliński, który w oparciu o kolekcję dawnego Rapperswilu opracował i wydał w roku 1935 „Bibliografię czasopism polskich za granicą, 1832-1934”. Między owym dawnym opracowaniem a obecnym zarysowuje się przeto luka pięcioletnia, 1934-1939, niesłychanie trudna do odtworzenia. W obu wypadkach były to rezultaty wieloletniej pracy „instytucji jednego człowieka” przy minimalnym poparciu z zewnątrz a wielu przeszkodach i rozczarowaniach. Dobrze więc, że choć w formie powielonego maszynopisu i w skromnym nakładzie 700 egzemplarzy, „Bibliografia” Kowalika dochodzi do rąk najbardziej nią zainteresowanych czytelników.

W czterech tomach, na ponad tysiącu stron, podał Kowalik opisy bibliograficzne 3.902 wydawnictw periodycznych polskich i Polski dotyczących, co nie pokrywa się z tytułem, ograniczającym zawartość do „czasopism polskich”. Przedmowa rozbudowuje to pojęcie, ale i ona nie usprawiedliwia umieszczenia kilkudziesięciu pism niemieckich wydawanych w Zachodnich Niemczech przez Niemców pochodzących z miejscowości na obszarze Polski. Owe pisma „ziomkostw” niemieckich (a także żydowskich na obszarze np. Argentyny) nie wydają mi się w „Bibliografii czasopism polskich” na miejscu. Te zwłaszcza, które dotyczą miejscowości leżących poza granicami wersalskimi.

Andrzej Paczkowski w „Prasie polonijnej w latach 1870-1939” (Warszawa 1977) ocenia ilość tytułów z objętego jego opracowaniem okresu na ok. 1.700. Tu mamy 3.902 co oznacza więcej niż podwojenie. Temu wybuchowi aktywności prasowej sprzyjała oczywiście wojna i związane z nią migracje, których rezultatem jest szerszy rozrzut skupisk polskich na obu półkulach. To nie wyjaśnia jednak w stu procentach tak wysokiej cyfry. Przyczyną natury technicznej jest niewątpliwie to, że ogromny procent opisanych „pism” stanowią wydawnictwa powielane możliwe do realizowania w prymitywnych warunkach obozowych. Nie mają one odpowiednika w okresach wcześniejszych. Stąd jednak zalew sprawozdań i okólników nasuwający pytanie: gdzie się zatrzymać? co jest odpowiednikiem czasopisma a co załącznikiem do preliminarza budżetowego i sprawozdania finansowego? Kowalik słusznie docenia znaczenie dokumentów życia społecznego dla historyków i socjologów naszych czasów — w rezultacie rozbudowuje jednak „Bibliografię” materiałami z pogranicza.

Jeszcze jednym powodem jest przyjęcie skomplikowanych kryteriów geograficznych, wyrażające się ścisłym przestrzeganiem formalnej przynależności do określonych organizmów państwowych. Dlatego np. „Bibliografią” objęte są czasopisma ukazujące się w okresie okupacji na ziemiach włączonych do Rzeszy (np. w Litzmannstadt'cie tj. Łodzi na terenie Warthegau) albo na Litwie (= państwie litewskim) w Wilnie. Wydaje mi się, że są one objęte opracowaniami Instytutu Bibliograficznego Biblioteki Narodowej i nie kwalifikują się jako „polonia”. W naszych szczególnych warunkach bliższy prawdy obraz daje stosowanie nie tak formalnych kryteriów. Przed rokiem 1914 Gloger i jemu podobni używali określenia „ziemie zamieszkałe przez Polaków”, co pozwalało na wyminięcie raf, czających się w oficjalnych granicach. Rezultaty zastosowanych przez Kowalika kryteriów występują w sposób szczególnie zgrzytliwy w indeksach topograficznych, gdzie wielokrotnie występuje Wilnius, Wilna a tylko w nawiasie (Wilno).

Za oddzielne pozycje bibliograficzne uważa Kowalik dodatki do pism opracowane zazwyczaj łącznie z pismem macierzystym; wystarczyłby odsyłać. Wątpliwości budzi także niejednolite traktowanie pseudoczasopism a w rze-

czywistości serii: „Kurs Spraw Wschodnich” wydawany przez Instytut Bliskiego i Środkowego Wschodu „Reduta” w formie serii I-IV z datą 1949 dla całości nie jest czasopismem ale „pracą zbiorową”. W „Bibliografii” figuruje pod nrem 2630, jako pismo. Analogiczne przedsięwzięcie YMCA we Francji („Materiały do prac kulturalno-oświatowych” (10 serii) otrzymało nry 1508-1517, co przyczynia się do podwyższenia i tak już wysokiej liczby tytułów.

Uwagi powyższe nie wynikają z intencji pomniejszenia rozmiarów prasy polskiej, której znaczenie w pełni doceniam. Wielokrotnie zwracałam uwagę na doniosłość gromadzenia i scalenia kolekcji pism emigracyjnych, widząc w nich podstawę do badań historycznych nad naszą ubogą w archiwalia epoką. „Bibliografia” Kowalika imponuje wkładem pracy utopionym w starania o dotarcie do rozproszonych po bibliotekach i zbiorach prywatnych tytułach. Na końcu każdej pozycji podaje Kowalik skróty oznaczające instytucję czy osobę, w posiadaniu której (lub których) jest dane pismo. Nie informuje jednak, czy jest to adres kompletu danego pisma, a nie czekając na odpowiedź mogę poświadczyć, że „nie”, bo jako b. kierowniczka Biblioteki Polskiej w Londynie (gęsto cytowanej w „Bibliografii”) i współautorka katalogu topograficznego czasopism z jej zbiorów wiem, że w większości wypadków w ciągach czasopism występują luki. Analogiczna sytuacja występuje w olbrzymim zbiorze prasy emigracyjnej w Bibliotece Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie i jego szkockim oddziale w Glasgow — a także w Bibliotece Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte. Ze zdziwieniem stwierdzam, że obie te instytucje nie figurują w spisie objętych ewidencją placówek; brak także wzmianek o konsultowaniu takiego znawcy prasy emigracyjnej jak prof. Leon Koczy.

Wszelkie prace bibliograficzne, jak słusznie podkreślił to Kowalik w słowie wstępnym, domagają się dalszego ciągu, ulepszeń i uzupełnień. To, co otrzymaliśmy od niego, jest jednak więcej niż punktem wyjścia a fakt, że wyszedł poza ścisłe ramy tematu, znaczenia opracowania nie pomniejsza, a ma i dobre strony.

Starannie opracowane indeksy: „Subject index”, „Editor-in-chief index” i „Place of publication index” (zasługa Stanisława Draganowskiego) są wielką pomocą w korzystaniu z „Bibliografii”; szkoda, że opracowano je oddzielnie dla każdego tomu a nie dla całości. Dobrym pomysłem było umieszczenie 393 nagłówków pism na planszach kończących odpowiednie tomy.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## O Polsce na Zachodzie

André Martin: *La Pologne défend son âme*, Editions Saint Paul, Paris, 1977.

Z. Erard i G. M. Zygier (wyd.): *La Pologne: une société en dissidence*, Maspero, Paryż, 1978.

A. Ostoja-Ostaszewski, T. Musioł, K. Stepan, A. Zakrzewski (wyd.): *Dissent in Poland*, Związek Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie, 1977.

Powyższe trzy książki poświęcone są Polsce nieoficjalnej, równoległej.



Polsce tyłów — by użyć metafory Barańczaka z jego referatu przedstawionego na Biennale w Wenecji — rozpościerających się za oficjalną, potomkinowską fasadą „zgody i poparcia dla władz”. Każda z tych książek ma nieco odmienny charakter, ale wspólne im jest postrzeganie konturów owej Polski nieoficjalnej. Podobna jest też koncepcja wydawnicza: dominują w nich dokumenty obrazujące działania i myśl opozycji, rolę kościoła.

W książce A. Martin — znanego publicysty katolickiego, specjalizującego się w problemach obrony wiary i praw człowieka w krajach komunistycznych — dominuje problem polskiego Kościoła, jego powojennej historii, stosunków z władzami, oporu przeciwko represjom, obrony interesów narodowych i godności jednostki ludzkiej.

W tomie znajduje się szereg dokumentów nieznanymi nie tylko czytelnikowi francuskiemu, ale również czytelnikowi polskiemu. Znaleźć więc można kapitalny list Kardynała Wyszyńskiego napisany do Bieruta w przededniu aresztowania, konfidencki raport pułkownika MSW Morawskiego na temat metod walki z religią i kościołem, notę Kardynała Wyszyńskiego dotyczącą działalności PAX'u, dokumenty Episkopatu związane z obchodami Millennium i polityką państwa. Jest też w tomie szereg dokumentów obrazujących postawę Kościoła wobec represji wymierzonych przeciwko studentom (w 1968), robotnikom (w Grudniu i po Czerwcu), wobec rozwijającego się ruchu oporu.

Drugim wątkiem książki jest rozwój świeckiego ruchu w obronie praw człowieka. W książce zaczyna się on opisem wydarzeń z marca 1968, kończy się szeregiem dokumentów KOR'u, znanymi polskiemu czytelnikowi listami robotników i intelektualistów, protestujących przeciwko bezprawiu. Dla A. Martin — podobnie jak i dla wydawców dwóch innych wyborów — istnieje fundamentalna zbieżność celów polskiego Kościoła i rozwijającego się świeckiego ruchu oporu; obrona praw człowieka zakreśla ramy owej wspólnoty.

Pozostałe dwie książki: dając reprezentatywny wybór dokumentów świadczących o postawie Episkopatu, koncentrują uwagę na rozwoju niezależnych inicjatyw obywatelskich i niezależnej myśli ostatnich dwóch lat. Autorzy wyboru „Dissent in Poland” starają się pokazać, poprzez starannie dobrane dokumenty i komentarze im towarzyszące, rozwój ruchu od listu 59-ciu w grudniu 1975 do lata 1977, kiedy tom oddany został do druku. Najważniejsza część książki poświęcona jest wydarzeniom czerwcowym, działalności KOR'u i jego współpracowników. Sporo miejsca zajmują teksty analityczne i programowe. Są więc znane listy otwarte E. Lipińskiego i W. Bienkowskiego, wywiad z J. Kuroniem i artykuł Michnika opublikowane w *Le Monde*. W wyborze znajduje się również dokument programowy PPN, oraz oświadczenie o powołaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W krótkim wstępie A. Michnika zawarta jest charakterystyka podstawowych cech i funkcji rozwijającego się ruchu.

Książka powyższa została wydana staraniem Związku Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Przygotowali ją do druku ludzie urodzeni już na obczyźnie. Ta inicjatywa — jak również na przykład działalność Studium Spraw Polskich w Stanach Zjednoczonych, w którym wielu członków wywodzi się z drugiego i trzeciego pokolenia emigracji — pokazuje jak ogromnie pomocna dla opozycji w kraju może być działalność informacyjna emigracji.

Ostatnia z książek, którą chcieliśmy zasygnalizować — „La Pologne: une société en dissidence” — nie rezygnując z przedstawiania faktów dotyczących owej Polski nieoficjalnej (dotyczących przede wszystkim postawy Episkopatu i działalności KOR'u), większy niż poprzednie pozycje kładzie nacisk na analizy sytuacji i propozycje programowe. Wszystkie teksty znane są czytelnikowi polskiemu.

W wyborze umieszczone są m.in. artykuły: L. Kołakowskiego: „Tezy o nadziei i beznadziejności”, fragmenty z książki W. Bienkowskiego: „Motory i hamulce socjalizmu”, ostatnie publikowane opracowanie PPN: „Rachunek naszych słabości”, artykuł B. Sulika o robotnikach i J. Lityńskiego o Radomiu (z *Biuletynu Informacyjnego*), dokument Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z 3-go numeru *Opinii*, „Jedność w różnorodności”, artykuł A. Michnika: „Nowy ewolucjonizm” i J. Kuronia: „Myśli o programie działania”. Tom opatrzony jest zwięzłym wstępem A. Smolara, zawierającym analizę źródeł historycznych i roli dzisiejszej opozycji.

Tom powyższy wydało lewicowe wydawnictwo francuskie „Maspero”. Opublikowanie przez nie tomu, w którym sugeruje się, że „klasa robotnicza walczy o prawdziwy socjalizm (czy komunizm)”, w którym podkreśla się ogromną rolę Kościoła, w którym sugeruje się, że tradycyjne podziały polityczne w łonie Polski nieoficjalnej mają drugorzędne znaczenie w porównaniu z tym co łączy wszystkich ludzi dobrej woli, jest drobnym wskaźnikiem zmian, które zachodzą w świadomości francuskiej lewicy, jej percepcji rzeczywistości krajów komunistycznych.

A. S.

## Nadesłane nowości wydawnicze

Głos Episkopatu Polski. „Nasza Rodzina”, numéro spécial 1978. Str. 192+16 nlb. (kalendarz na 1978). (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).

Chrystus żyje wśród nas. Część druga. Katechizm religii katolickiej. Str. 173 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).

STABIŃSKA (Jadwiga). *Danina krwi*. Z wojennych dziejów klasztoru S.S. Sakramentek w Warszawie. Str. 209 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1977).

GARLIŃSKI (Józef). *Ostatnia broń Hitlera V-1 — V-2*. Str. 220. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1977).

KAWECKI (Bohdan). *Z wędrówek wileńskiego prokuratora*. Str. 248. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).

ŁYSEK (Paweł). *Jano i jego zbójnicy kamraci*. Str. 204. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).

MOSTWIN (Danuta). *Odchodzą moi synowie*. Str. 148. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).

SZUŁDRZYŃSKI (Tadeusz). *Wspomnienia wielkopolskie*. Wstęp: Jan Szuldrzyński. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).

ZANIEWICKI (Zbigniew). *Moje pełnoletie*. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).

BRAUDE (Zygmunt). *Spotkanie z samym sobą*. Poezje. Str. 99 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

NAWROCKA-DONSKA (Barbara). *Słubna suknia*. Str. 144 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1977; cena zł 25).

KARREN (Tamara). *Pani Gabriela*. (Autoportret z listów). Sztuka w dwóch aktach. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1977).

PASZKIEWICZ (Mieczysław). *Muzeum polskie*. Tom II (Zeszyt I/IV). Str. 61 i 2 nlb. + Dodatek do T. I — *Postowie*, str. 273-275. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1977).



- Pamiętniki imigrantów polskich w Kanadzie*. Tom II. Wybór pamiętników nadesłanych na konkurs Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w 1972 roku. Do druku przygotował i wstępem zaopatrzył Benedykt Heydenkorn. Str. 259 i 1 nlb. (Wyd. Kongres Polonii Kanadyjskiej, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto, Ont., 1977).
- FISCHER (Lipa). *Wiersze opowiadają*. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Tel Aviv, Izrael, 1976).
- LUBELSKIE PREZENTACJE POETYCKIE — seria I:
- GASZYŃSKI (Stanisław Piotr). *Barzo długo prawda*. Str. 30 i 2 nlb.
- GEMBAL (Paweł). *Tam w nas chcąc nie chcąc*. Str. 30 i 2 nlb.
- GRAUMAN (Piotr). *To właśnie światło jakże już nieprześcignione*. Str. 38 i 2 nlb.
- LISTOWSKI (Cezary). *Słowo „nie”*. Str. 37 i 3 nlb.
- ŁUKOWSKI (Stanisław Andrzej). *I nie tylko pamięć*. Str. 35 i 1 nlb.
- MICHAŁSKI (Waldemar). *Ogród*. Str. 35 i 1 nlb.
- OPOLSKI (Dominik). *Bohater*. Str. 31 i 1 nlb.
- WRÓBLEWSKI (Bogusław). *Zerowy zmysł*. Str. 34 i 2 nlb. (Wyd. Związek Literatów Polskich, Oddział w Lublinie, Koło Młodych Pisarzy; wydano z funduszu Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, Lublin, 1977).
- HENNELOWA (Józefa). *My rodzice*. Str. 361 i 3 nlb. (Wydawnictwo Znak, Kraków, 1977; cena zł 60).
- PUTRAMENT (Jerzy). *Hiszpańska szkoła jazdy*. Str. 208 i 4 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1977; cena zł 56).
- 70 *żywołów*. Portrety, sylwetki, wywiady i wspomnienia — wybrał i zredagował Andrzej Paluchowski, przedmową opatrzył Jan Turo-
- wicz. Str. 558 i 2 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1975; cena zł 120).
- BONIECKI (Adam, ks. MIC). *Notes*. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków, 1977; cena zł 56).
- RUDNICKI (Adolf). *Hier soir à Varsovie*. Traduit du polonais par Jean-Yves Erhel. Str. 310 i 10 nlb. (Wyd. Gallimard, Paryż, 1978).
- 1956 *Varsovie - Budapest — La deuxième révolution d'Octobre*. Textes réunis par Pierre Kende et Krzysztof Pomian. Str. 262 i 10 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Collection Esprit, Paryż, 1978).
- WYRWA (Tadeusz). *Monarchie électorale et démocratie nobiliaire en Pologne au XVI<sup>e</sup> siècle*. (Nadbitka z *Revue historique de droit français et étranger*, vol. 55 (1977), Ed. Sirey, Paryż, str. 579-612).
- Cahiers de l'Association pour une lecture critique de la presse*. Décembre 1977. Str. 32. (Wyd. Numéro spécial Hors-Série de L'Echo de la Presse et de la Publicité, N° 1068 bis, Paryż, 26. 12. 1977; cena F. 10).
- SCHEPS (Samuel). *Armand Lévy — compagnon de Mickiewicz révolutionnaire romantique*. Préface de Andrzej Vincenz. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- Auguste Zamojski 1893-1970 — Sculptures*. (Centre Culturel de la ville de Toulouse, novembre 1977).
- IWANSKA (Alicja). *The Truths of Others*. An Essay on Nativistic Intellectuals in Mexico. Str. 124. (Wyd. Schenkman Publishing Co., Inc., Cambridge, Mass., 1977).
- ŁYSEK (Paweł). *At the Border*. Wity an introduction by Thomas E. Bird. Chief Translator John Zbigniew Kłosek. Str. 181 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-12-77

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa artysty malarza i grafika Konstantego Brandla, który zmarł 7 lat temu w Paryżu, gdzie przebywał przez całe niemal życie. Spuściznę artystyczną przekazał Muzeum Narodowemu w Warszawie jego siostrzeniec i spadkobierca Witold Leitgeber. Katalog wystawy został opracowany przez dr Irenę Jakimowicz.

16-12-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Julian Wołoszynowski, wybitny poeta, prozaik i dramaturg, aktor Teatru Wysokiej i Reduty.

18-12-77

Zmarł w Polsce, w wieku 72 lat, dr Tadeusz Przykowski, historyk kultury, nauki i sztuki, postać prawdziwie renesansowa. Kolekcjonował i rekonstruował zegary słoneczne, zajmował się sprawami papieru czerpanego i druku, jak również gastronomią. Był mistrzem Kapituły Orderu Pomiana, i członkiem Kapituły Orderu Białego Kruka.

20-12-77

Nowe władze PAN: prezesem wybrano prof. Witolda Nowackiego, wiceprezesami zostali — prof. Jerzy Litwiniszyn, prof. Szczepan Pieniążek, prof. Jan Szczepański, prof. Andrzej Trautman.

29-12-77

*Dziennik Ustaw PRL* nr 38 zawiera teksty Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych oraz Międzynarodowego Paktu Praw Gospodarczych, Społecznych i Politycznych ONZ, które zostały ratyfikowane przez Radę Państwa PRL.

1-1-78

Nagrodę im. Wilhelma Macha za najciekawszy debiut prozatorski otrzymał Donat Kirsch za powieść „Liście croatoan”, wydaną przez Czytelnika. ■ Władze PRL poszerzyły polskie morza terytorialne z 3 do 12 mil morskich. Znacznie też powiększono polską strefę rybołówstwa morskiego, znajdującą się na zewnątrz morza terytorialnego. ■ W okolicach Tarnowa odkryto bogate pokłady soli, znajdujące się jednak na dużej głębokości. ■ Ekipy, drążące pierwszy szyb w nowopowstającym zagłębiu lubelskim, dotarły do złóż węgla. ■ *Pamiętnik Literacki*, wychodzący we Wrocławiu, a poświęcony literaturze polskiej, krytyce i teorii literatury, obchodził 75-tą rocznicę swego istnienia. ■ PLL LOT zarządziły, że pasażerowie ruchu międzynarodowego muszą zgłaszać się do odprawy na lotnisku na co najmniej 90 minut przed odlotem, a w wypadku lotu do Sofii czy Stambułu na dwie godziny wcześniej. Dla ilustracji: do Pragi i Berlina leci się 50 minut, a do Stambułu niecałe dwie godziny. ■ Z okazji 60-tej rocznicy powstania ekspresjonistycznej grupy „Zdrój” odbył się w dniach 16-18 grudnia 1977 roku cykl imprez pt. „Impresjonizm w sztuce polskiej”.



7-1-78

W województwie Suwalskim, na Pojezierzu suwalsko-augustowskim — i to na terenie suwalskiego parku krajobrazowego — odkryto złoża rud żelaza w odległości 11 km. od Suwałk. ■ Stan zatrudnienia w budownictwie PRL w 1977 roku spadł poniżej poziomu z roku 1976. Jest to powodem ogromnych opóźnień w budownictwie. ■ Poziom zaspokojenia potrzeb ludności PRL jeśli idzie o usługi motoryzacyjne szacuje się na 50 - 60 %, remontowo-budowlane — 40 %; na podobnym poziomie zaspokajania są naprawy sprzętu gospodarstwa domowego i radiowo-telewizyjnego.

10-1-78

W 65-tą rocznicę urodzin Edward Gierek został odznaczony sowieckim orderem Rewolucji Październikowej, oraz Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski. Pierwsze odznaczenie jest zrozumiałe — ale drugie...?

15-1-78

W związku z powszechnym brakiem taksówek w Krakowie postanowiono, że każdy posiadacz prywatnego auta może się zarejestrować i w miarę chęci i wolnego czasu, po ukończeniu swojej zasadniczej pracy, może wozić ludzi jako taksówkarz. Ta metoda ma być rozszerzona i na inne miasta. ■ Prof. Jan Szczepański, wybitny socjolog, a jednocześnie członek Rady Państwa PRL, otrzymał ostatnio Komandorię Orderu Brytyjskiego Imperium (CBE). W ciągu 15 lat był on przewodniczącym polskiego zespołu na dorocznych anglo-polskich dyskusjach okrągłego stołu. Od czasów prof. Chałasińskiego jest już smutną tradycją, że wybitne osiągnięcia naukowe nie wykluczają politycznego oportunisty.

17-1-78

W Katowicach zmarł senior Polskiego Episkopatu, ks. bp Juliusz Bieniek — liczył lat 86.

20-1-78

W Bydgoszczy zmarł, w wieku 87 lat, Teofil Ociepka, wybitny malarz prymitywista.

25-1-78

Na XI-ty Światowy Festiwal Studentów i Młodzieży, który odbędzie się na Kubie w dniach 28. 7. - 3. 8. br. wyjedzie z Polski 470-osobowa delegacja. W Festiwalu weźmie udział około 16 tysięcy delegatów z 70 krajów świata. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 71 lat, Roman Koloniecki, poeta, laureat nagrody m.st. Warszawy i nagrody PEN-Clubu, redaktor tygodnika literackiego *Pion* w okresie międzywojennym.

28-1-78

Zmarł w Krakowie, w wieku 83 lat, Jerzy Kuryłowicz, wybitny uczonek, profesor językoznawstwa indoeuropejskiego.

29-1-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 63 lata, Stanisław Dygat, wybitny prozaik, felietonista; tłumacz i scenarzysta filmowy.

4-2-78

Warszawska *Polityka* podaje, że tzw. straty na brakach, poniesione w ub. roku przez przedsiębiorstwa przemysłowe, wyniosły 20 miliardów zł. Większość tej kwoty stanowią tzw. braki ostateczne, czyli takie których nie da się usunąć w drodze napraw.

10-2-78

Lucjan Motyka, b. kierownik Biura Kultury KC PZPR został mianowany ambasadorem PRL w Bułgarii. ■ Nowowybrany Komitet Warszawski PZPR wybrał jednogłośnie I-szym sekretarzem KW Warszawskiego (ponownie) Alojzego Karkoszkę. ■ Wiceminister Spraw Wewnętrznych PRL „dr. docent, gen. bryg.” Tadeusz Pietrzak został dymisjonowany ze stanowiska wiceministra Spraw Wewnętrznych. Przechodzi on do służby zagranicznej PRL.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

21-11-77

Zmarł w Rzymie, w wieku 60 lat, Roman Szenwic, adwokat Świętej Roty rzymskiej. Był żołnierzem 2-go Korpusu i brał czynny udział w pracach SPK we Włoszech.

1-12-77

Fundusz Pomocy Prześladowanym Robotnikom w Polsce w Danii (Postboks 41.2880 BAGSVAERD) zebrał od 6. 12. 1976 do 15. 6. 1977 kor.d. 6.356,28

15-12-77

Po śmierci Ołeha Sztula-Zdanowycza, szefa Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (PUN), w myśl statutu organizacji jego funkcje objął pierwszy zastępca, Denis Kwitkowski i będzie je pełnił aż do najbliższego zjazdu. D. Kwitkowski jest współautorem wielkiej monografii pt. „Bukowina — przeszłość i teraźniejszość”; od 1973 roku był naczelnym redaktorem pisma *Samostijna Ukrajina*.

16-12-77

Ludwik Hass wygłosił w Sorbonie odczyt w języku francuskim o wolnomularstwie rosyjskim w latach 1906 - 1914.

31-12-77

Iwan Koszeliweć, wybitny krytyk literacki i literaturoznawca oraz redaktor miesięcznika *Suczasnist'*, obchodził 70-lecie swoich urodzin. Na własną prośbę ustąpił ze stanowiska naczelnego redaktora *Suczasnosti*. Obowiązki redaktora wykonuje p. Marta Skorupska.

1-1-78

Za najlepszą książkę roku dla dzieci we Francji uznano antologię polskich wierszy „Dlaczego ogórek nie śpiewa”. Książka ukazała się w paryskim Editions Saint-Germain des Près pod patronatem UNESCO. Książka zawiera 42 wiersze 7-miu autorów: Brzechwy, Broniewskiego, Fredry, Gałczyńskiego, Iłakowiczówny, Szelburg-Zarembiny i Tuwima; tłumaczyła Zofia Bobowicz. ■ Nagrodę literacką S.P.K. (Londyn) za rok 1977 przyznano: ks. dr. Stanisławowi Belchowi za pracę historyczną pt. „Św. Stanisław — biskup męczennik — patron Polaków” (wyd. Veritas), oraz płk. Franciszkowi Wyslouchowi za tom opowiadań pt. „Na ścieżkach Polesia” (wyd. Polska Fundacja Kulturalna, 1976). ■ Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, poeci i tłumacze poezji, są laureatami francuskiej nagrody Prix de Traduction.

10-1-78

Austriacka państwowa nagroda literacka za rok 1977 została przyznana czeskiemu dramaturgowi Pavelovi Kohoutowi. Nagroda wynosi 150.000 szylingów. Nie jest pewne czy Kohout będzie mógł przyjechać i nagrodę tę



odebrać, gdyż oświadczył, że wyjedzie z Czech tylko wówczas gdy zostanie mu zagwarantowana możliwość powrotu.

**13-1-78**

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór Haliny Mikołajskiej, która wystąpiła w monodramie pt. „O długim czekaniu” według „Historii jakubowych” Tomasza Manna. Tekst w tłumaczeniu Marii Sicińskiej, w adaptacji Wincentyny Stopka-Wodzinowskiej.

**15-1-78**

W paryskim wydawnictwie Albin Michel ukazała się książka Andrzeja Kuśniewicza „Le roi des Deux-Siciles” w przekładzie Christopha Jezewskiego i François-Xavier Jaujard.

**19-1-78**

Zmarł w Londynie na skutek wypadku samochodowego generał Marian Józef Smoleński w wieku 83 lat. Przed wojną był ostatnim szefem Oddziału II-go Sztabu Głównego, w czasie wojny był zastępcą dowódcy 3-ej DSK Drugiego Korpusu; był prezesem Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie.

**20-1-78**

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Julii Hartwig, Pawła Hertza i Artura Międzyrzeckiego. Utwory były częściowo czytane przez Halinę Mikołajską.

**26-1-78**

Selekcja najlepszej książki roku, zorganizowana przez Radio Wolna Europa nie przyznała pierwszych nagród tylko wyróżnienia pewnych pozycji. Z książek wydanych na emigracji wyróżniono Czesława Miłosza „Ziemię Ulro” i St. Świaniewicza „W cieniu Katynia”. Z pisarzy krajowych wyróżniono dwóch nieżyjących autorów: K. Moczarskiego za „Rozmowy z katem” i prof. Wykę za „Generacje literackie”. Na dalszym miejscu wyróżniono książkę prof. Kieniewicz za monografię „Warszawa 1894-1918” oraz Sandauera za przekład biblii i tekstów biblistycznych. W obu wypadkach w dyskusji zgłoszono różne zastrzeżenia. Dyskutowano ponadto nad książką Kazimierza Koźniewskiego „Historia co tydzień” i mówiono o książce Konwickiego „Kompleks polski”, ale ponieważ tylko dwie osoby z jury tę książkę czytały — dyskusję odłożono.

**27-1-78**

Z inicjatywy Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego we Francji odbył się w Bibliotece Polskiej w Paryżu odczyt dr. Jerzego Monda o kolkliwym polsko-ukraińskim w Toronto, które miało miejsce w ub. roku.

**31-1-78**

W POSK'u, w Londynie, została otwarta wystawa pod nazwą „Fasada i tyły” obrazująca ruch wolnościowy w Polsce. Wystawę urządziło Zrzeszenie Absolwentów i Studentów Polskich w Wielkiej Brytanii. Po otwarciu wystawy odbyła się konferencja prasowa dla prasy angielskiej zagona przez Józefa Garlińskiego z ramienia POSK'u; w konferencji tej wzięła udział, między innymi, Halina Mikołajska; przybył też na nią Władimir Bukowski. ■ Wieczorem, także w POSK'u, odbył się wieczór dyskusyjny „Kontynentów” pt. „Bez cenzury” z udziałem Haliny Mikołajskiej i Pawła Bąkowskiego. W wieczorze wzięło udział kilkaset osób, przewodniczył Jan Radomyski.

**3-2-78**

Staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie odbył się w Londynie w POSK'u wieczór autorski Tad. Nowakowskiego. ■ Teatr dla Młodych „Syrrena” w Londynie wystawiał w ciągu stycznia i lutego w Londynie i okolicach sztukę Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej o udziale młodzieży w Powstaniu Warszawskim pt. „Jesienny deszcz” w reżyserii Reginy Kowalewskiej, scenografia — Feliks Matyjaszkiewicz. Sztuka znalazła duży oddźwięk wśród polskiej młodzieży emigracyjnej. ■ Wacław Zagórski, wybrany 29. 10. 1977 prezesem PPS na Obczyźnie, zrzekł się swego stanowiska. Jego obowiązki pełni p. Żmigrodzki.

**3-2-78**

W paryskim wydawnictwie Gallimard ukazała się książka Adolfa Rudnickiego „Hier soir à Varsovie” w przekładzie Jean-Yves Erhel.

**4-2-78**

W Brukseli odbyło się posiedzenie Społecznego Klubu Dyskusyjnego poświęcone tematowi „Książka polska na emigracji i samizdat”. Referentami byli: Andrzej Stypułkowski z Londynu i Andrzej Drawicz współredaktor *Zapisu*.

**6-2-78**

W Centre de Civilisation Polonaise, Université Paris IV — Sorbonne, odbył się wieczór poetycki poświęcony Cyprianowi Norwidowi. Wiersze były czytane po francusku i po polsku przez Daniela Olbrychskiego i Catherine Lery.

**10-2-78**

W POSK'u, w Londynie, odbył się wieczór poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Stanisława Barańczaka i Czesława Miłosza. Wieczór zagał Józef Garliński, a Bronisław Przyłuski wygłosił „Słowo o poezji”, charakteryzując jednocześnie wyżej wymienionych poetów. Wiersze recytowała Halina Mikołajska.

**11-2-78**

Ukazał się w Londynie pierwszy numer agencji informacyjnej w języku angielskim *Polish News Agency*, mającej informować prasę angielską o osiągnięciach Polaków w świecie. Agencję wydaje referat kultury w POSK'u; będzie się ona ukazywać co miesiąc w ilości 400 egzemplarzy.

**14-2-78**

W Londynie, w Ognisku Polskim odbył się staraniem ZASPU występ Haliny Mikołajskiej w monodramie „O długim czekaniu” według „Historii Jakubowych” Tomasza Manna.

**16-2-78**

*Groteska*: Paryski *France Soir* podaje — powołując się na informację z Tel Avivu — że rząd emigracyjny w Londynie mianował premiera izraelskiego, Menahem Begin, generałem. Begin w czasie wojny był kapralem w 2-gim Korpusie gen. Andersa. Powiedzenie, że śmieć zabija nie ma, niestety, potwierdzenia w rzeczywistości.

**18-2-78**

W Domu Polskim w Zurychu odbył się wieczór literacki poświęcony poezji Polski Walczącej 1939-1945. Referat wygłosił inż. Stanisław Owsianko, recytowali wiersze Jerzy Surowiec, Andrzej Stefaniak i Ewa Owsianko.



20-2-78

Francuski premier Raymond Barre dekorował Jerzego Jankowskiego w Hôtel Matignon orderem „Ordre de Merite” za zasługi położone w współpracy polsko-francuskiej.

22-2-78

Ludwik Hass wygłosił w Ecole de Langues Orientales w Paryżu odczyt w języku rosyjskim o wolnomularstwie rosyjskim.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

W październiku odbył się doroczny zjazd naukowy Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa „Medicus”. Nadano złoty medal Towarzystwa „Medicus” Janowi Józefowi Lipskiemu, znanemu krytykowi literackiemu i pisarzowi, aktywnemu członkowi KOR’u. ■ Ks. Kardynał Jan Król, arcybiskup Filadelfii i przewodniczący zbiórki na Amerykańską Częstochowę, podał do wiadomości, że zebrano do tej pory Dol. 4.100.000. ■ Nagrody Fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego na rok 1977 otrzymali: w dziedzinie medycyny Stefan S. Fajans, przebywający w Stanach Zjednoczonych; z zakresu biologii — Michał Laskowski, senior i Michał Laskowski, junior obaj ze Stanów Zjednoczonych; z zakresu matematyki — Jan Mycielski, pracujący w Stanach Zjednoczonych; z dziedziny historii — Aleksander Geysztor, z PRL; z zakresu nauk społecznych — Adam Podgórecki, przebywający obecnie w Wielkiej Brytanii; z zakresu literatury pięknej — Adam Ważyk z PRL; z zakresu muzyki — Irena Dubiska i Eugenia Umińska — obie z PRL; z zakresu plastyki — Władysław Hasior z PRL; z zakresu publicystyki społeczno-kulturalnej — Jerzy Turowicz z PRL. Nagrody dla tłumaczy otrzymali: Catherine Leah z USA oraz Maciej Słomczyński z PRL. Nagroda literacka wywołała powszechne zdziwienie, nie najlepiej świadcząc o orientacji jury we współczesnej literaturze polskiej. ■ *Dziennik Związkowy* w Chicago obchodzi 70-lecie swego powstania. ■ Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce otrzymał na własność w spadku po śp. Aleksandrze Korczyńskim bogatą kolekcję obrazów szeregu najwybitniejszych polskich malarzy. Kolekcja ta składa się z 45-ciu obrazów i rysunków, wśród których wymienić należy jeden z wariantów słynnej „Czwórki” Józefa Chełmońskiego, „Główkę dziewczynki” Stanisława Wyspiańskiego, dwa rysunki Jana Matejki, 5 akwarel Juliusza Kossaka, 4 akwarele Juliana Fałata, 12 akwarel Leona Wyczółkowskiego, duży obraz Teodora Axentowicza o typowej dla niego technice pastelu, obrazy i rysunki Michała Elwira Andriollego, Daniela Chodowieckiego, Artura Grottgera, Józefa Brandta, Alfreda Wierusz-Kowalskiego i wielu innych. Ten zapis testamentowy obejmuje ponadto przeszło 30 obrazów mniej znanych malarzy, przeznaczonych na sprzedaż na dobro Instytutu, meble i dywany, jak również 20.000 dolarów gotówką. ■ W dn. 16 grudnia 1977 roku zmarł po ciężkiej chorobie, w wieku 67 lat, Mieczysław Kościuch, długoletni przedstawiciel *Kultury* w Detroit. Przyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1950 roku, był działaczem SPK i Harcerstw Polskiego w Detroit, jak również jednym ze współzałożycieli Unii Kredytowej przy Kongresie Polonii Amerykańskiej i jednym z pierwszych członków Północno-amerykańskiego Studium Spraw Polskich. ■ *Z działalności Północno-amerykańskiego Studium Spraw Polskich*: Komitet wykonawczy Studium dokooperował dwu nowych członków: prof. Jana Grossa z Yale University i prof. Andrzeja Kawczaka z Concordia University w Montrealu. Ponadto z inicjatywy Studium miał miejsce odczyt prof. Jana Grossa o sytuacji w Polsce, odbyła się dyskusja na temat metod walki (ze wstępnym referatem prof.

J. Grossa) i „wymiana kulturalna” (ze wstępnym referatem prof. Jerzego R. Krzyżanowskiego). Zorganizowano również symposium na temat „Polskie dziś i jutro między sąsiadami” pod przewodnictwem prof. Jerzego Wojciechowskiego z udziałem prof. Jerzego Hauptmanna, dyr. Jana Nowaka, prof. Andrzeja Kawczaka i red. Wojciecha Wasutyńskiego.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA

20. 11. 1977 r. w sali Sanktuarium Maryjnego w Melbourne (w dzielnicy Essendon) odbyła się prapremiera adaptacji „Kordiana”, wystawiona przez teatr polski „Prolog”. Akcja sztuki toczyła się nie na scenie, lecz na środku widowni. Efekty muzyczne opracował Krzysztof Bielecki. Inscenizację opracowała i reżyserowała artystka dramatyczna Halina Bielecka. W roli tytułowej wystąpił Aleksander Staśkowski. ■ Polska Fundacja Artystyczna zorganizowała wystawę prac Władysława Dutkiewicza, seniora polskich artystów plastyków w Australii. Otwarcie wystawy, która miała miejsce w Sth. Yarra Library w Melbourne, dokonał 14. 12. 1977 r. dyrektor Victorian Ministry of Arts, dr Eric Westbrook. ■ Halina Nieckarz, młoda śpiewaczka polskiego pochodzenia, występująca w Victorian Opera Company, uzyskała pierwszą nagrodę w wysokości Dol.A. 1.000 w dorocznym konkursie „Sun-Aria” (do finału konkursu zakwalifikowano 6 osób) oraz stypendium w wysokości Dol.A. 3.000.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

## KRONIKA KANADYJSKA

19. 12. 1977 r. w Toronto zmarł nagle, w wieku 86 lat, Komandor Witold Zajęczkowski, dowódca flotylii rzecznej Marynarki Wojennej. ■ W końcu ub. roku, w krótkich odstępach czasu, w Montrealu i Toronto wystąpili przed publicznością polonijną z prelekcjami: Władysław Bartoszewski z Warszawy, Józef Łobodowski z Madrytu i Jerzy Mond z Paryża. Nieco wcześniej w Kanadzie przebywali dwaj znakomici reżyserzy z Warszawy Zygmunt Huebner, dyrektor Teatru Powszechnego i Krzysztof Zanussi. ■ W ostatnim tygodniu listopada, w Bibliotece Publicznej dzielnicy Parkdale w Toronto, odbył się wieczór autorski Wacława Iwaniuka. Recytowano jego wiersze w języku polskim i angielskim. ■ Redlight Teatre w Toronto wystawił „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza w reżyserii Saskia Nord-hook Heghta z New Yorku. Recenzenci miejscowych dzienników określili przedstawienie jako słabe. Zdaniem ich sztuka nie jest wprawdzie najlepsza, ale reżyser i aktorzy nie potrafili z niej nic wydobyć — po prostu położyli ją. ■ Polska parafia, pod wezwaniem św. Jadwigi, w Oshawie — centrum przemysłu samochodowego zakładów General Motors — obchodziła w październiku 1977 roku 25-lecie swego istnienia. Jest to jedna z parafii erygowanych w oparciu o encyklikę *Exul familia*, nakazującą tworzenie parafii narodowościowych dla zaspokojenia potrzeb religijnych imigrantów. Parafia ta od początku znajduje się pod opieką księży z polskiej prowincji OO. Oblatów. ■ Henryk Lopiński został powtórnie wybrany prezesem Zarządu Głównego Związku Polaków w Kanadzie. W składzie zarządu zostały nieznaczne zmiany personalne. Jedną z zasadniczych spraw, a mianowicie rokowania z Kongresem na temat powrotu nie była przedmiotem obrad. ■ Zarząd Główny KPK koncentruje się na przygotowaniu konferencji



„Polonia jutra”, która ma się odbyć w maju bież. roku. Główną troską jest zdobycie funduszy na tę wielką imprezę. Wystosowano apele publiczne, skierowano listy do organizacji i ich członków z prośbą o dotacje. Niezależnie od tego KPK czyni wysiłki, by uzyskać dotacje od władz prowincjonalnych i federalnych. ■ W ramach publicznych wykładów, organizowanych przez Wydział Slawistyki University of Toronto, 9. 1. br. odbyła się prelekcja w języku polskim Zdzisława Najdera, wybitnego znawcy twórczości Conrada. Korzystając z pobytu p. Najdera na stypendium w Stanach Zjednoczonych prof. Louis Iribarne zaprosił go do Toronto. Wykład pt. „Historia we współczesnej literaturze polskiej” wywołał żywe zainteresowanie. ■ W listopadzie 1977 r. zmarł nagle w Toronto wybitny artysta malarz William Kurelek, syn imigrantów ukraińskich, urodzony i wychowany na farmie w prowincji Alberta. Kurelek był twórcą kilku wielkich cyklów malarskich, zdobiących galerie kanadyjskie. Niemal wszystkie ukazały się w formie albumów z tekstami objaśniającymi pióra artysty. Ostatni cykl — 24 obrazy — poświęcony jest grupie polskiej. Po nabyciu go przez grono protektorów zostanie umieszczony w galerii miasta Hamilton. ■ Ottawski Komitet Pomocy Robotnikom w Polsce zebrał w ciągu ub. roku dol. 1.205,00. Dalsze ofiary należy wpłacać na: Polish Aid Fund, c/o C. F. Namieśniowski, 1013-150 MacLaren St., Ottawa, K2P 1L2. ■ Ks. Donald M. Malinowski z Winnipegu w ostatnich wyborach prowincjonalnych w Manitobie w dn. 11. 10. 1977 został po raz trzeci wybranym posłem większością 65 % głosów.

B. H.

## NAKLADEM ANEKSU

## „CZARNA KSIĘGA CENZURY PRL”

KILKusetSTRONICOWY ZBIÓR TAJNYCH DOKUMENTÓW  
GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY, PUBLIKACJI  
I WIDOWISK W WARSZAWIE.

„Uświadomiwszy sobie ogrom niszczyielskich możliwości i zasięg destrukcyjnego wpływu cenzury na kulturę narodową oraz świadomości społeczną Polaków, zdecydowałem się wyostać i ujawnić opinii światowej część dokumentacji tajnej GUKPPiW” —

Tomasz Strzyzewski.

„... Z lektury całości zbioru wyłania się obraz przerażający... Nie wahamy się powiedzieć, że mamy do czynienia z jedną z największych demaskacji całego okresu powojennego, z aktem, który porównać można jedynie z odległymi już w czasie rewelacjami Światły... Działalność cenzury w PRL musi zostać jak najszerzej ujawniona...” —  
Z Oświadczenia Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą prosimy przysyłać na adres:

61 DORSET ROAD, LONDON W.5., ENGLAND.

TOM I-szy — Cena: £3.50, \$ 8,50, Skr. 35,00

Listy do Redakcji

Vancouver, 12 stycznia 1978.

Droga Redakcjo!

Jako urozmaicenie, w miejsce niektórych polemik, proponuję czytelnikom *Kultury* i ich przyjaciółom hasło „INFORMACJA 78”.

Wszyscy ci, którzy w tym roku zamierzają odwiedzić Stary Kraj postarają się w ramach hasła o zabranie ze sobą artykułu czy książki stanowiących ich zdaniem interesującą informację. Dotyczyć ona może tak teraźniejszości jak i przeszłości historycznej.

Kto wie, czy nie będzie to dla wielu w Polsce KONKRETNYM dowodem naszego nimi zainteresowania. Mam przy tym uzasadnione powody do tego, by stwierdzić, że w gronie moich znajomych w Polsce ten rodzaj działalności przyjęty byłby z ogromnym entuzjazmem i wdzięcznością.

I jeszcze jedna sprawa: proponuję *Kulturze* i jej czytelnikom pomysł modyfikacji „Listów do Redakcji”.

Sugeruję formę przyjętą przez *Time* i *Neevweek*. Kosztem niektórych kwiecistych i przydługich wywodów zyskamy na miejscu i w związku z tym poznamy lepiej zapatrywania naszych Czytelników.

Przy okazji zdopinguje to rodaków do ćwiczenia sztuki zwięzłości i precyzji wypowiedzania się na piśmie.

Z poważaniem,

Zbigniew DRZEWIECKI

Malmö, 10 grudnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze!

Od niedawna jestem poza granicami kraju i od niedawna czytelnikiem *Kultury*. Dotychczas miałem okazję zapoznania się z wszystkimi numerami wydanymi w 1976 roku i numerami 4 i 5 1977 roku. Moją uwagę głównie skupiłem na artykułach traktujących o ostatnich wydarzeniach w kraju, jego sytuacji politycznej i gospodarczej. Po zapoznaniu się i dokładnym przestudiowaniu tych ostatnich, stwierdziłem, że choć trafność ich jest niewątpliwa, to niemniej zaskakuje w nich zbyt powierzchowna analiza poruszanych zagadnień. I tak: Nr 4 (1977) *Kultury* — artykuł pióra Antoniego Gutowskiego — „Manowce polityki gospodarczej PRL”; Autor szkicuje w wielkim uprosz-



czeniu strukturę sowieckiej gospodarki, wykazując zbieżność doń polskiej, po czym następuje „ryk gorzkiej prawdy” — treść słowną zastępują liczby i... czarno na białym mamy ogrom polskiego kryzysu, a „minicud” rzekomy okazuje się wielką lipą. To wszystko się zgadza! O tym każdy, jak Polska długa i szeroka wie, jak wie również, że kryzys jest nie przejściowy i nie niewielki, jak informują oficjalne źródła w Polsce. W wyżej wymienionym artykule Autor całą winę przypisuje za stan obecnej, polskiej gospodarki „schematom myślowym produkowanym na linii Moskwa - Warszawa” — i to budzi moje poważne zastrzeżenia. Broń Boże! Nie kwestionuje! Wydaje się to wielkim uproszczeniem, modnym i... wygodnym. Bo przecież nie w wyniku „schematu myślowego linii Moskwa - Warszawa” ktoś nie pomyślał, że wydobycie węgla kamiennego będzie rosnać, że powstający przemysł ciężki (czy słusznie, rzecz inna — ale Nowa Huta stoi i nikt jej nie zburzy), będzie wymagał dobrze zorganizowanego transportu, dodatkowych trakcji kolejnictwa towarowego, które powinno się budować równolegle (transport polski to obraz nędzy i rozpaczy — a pociągi pospieszne spóźniają się 4-6 godzin). Nie wspomniany „schemat myślowy” sprawił, że Zagłębie Konińskie nie nastarcza paliw powstałemu (wbrew projektowi) na jego bazie przemysłowi i sznury wagonów z węglem ze Śląska płyną nieprzerwanym strumieniem, przemierzając setki kilometrów, uzupełniając braki. Nie schemat ten kazał kupić niesprawdzonej licencji, istniejącej na jej podstawie w Kołbaczu (szczecińskie), fermy przemysłowego tuczu trzody chlewnej (ok. 60.000 sztuk rocznie), która z oczywistych dla polskiej służby weterynaryjnej powodów, musiała przynieść straty i będzie przynosić je nadal. (Licencję, Polska nabyła w firmie włoskiej Be-Ge — na okładce włoskiego projektu, widnieje polskie imię i nazwisko (?), a Włosi takiej fermy nie wybudowali...).

Takich przykładów mógłbym przytoczyć znacznie więcej, które dałyby niemałą sumę w miliardach złotych, a która nie trafiła i nie trafi nigdy do wskaźników ekonomicznych.

Są sprawy jednak, według mnie, dużo większej wagi, bo wspomniane przeze mnie nieliczne z wielu, jakie można by przytoczyć przykłady, hamują rozwój polskiej gospodarki, ale go nie wykluczają (transport można usprawnić, fermę zreorganizować). Sprawa tej większej wagi to sprawa stosunków międzyludzkich, które zagrażają wszelkiemu postępowi na znacznie dłuższą metę, mogą nawet uniemożliwić go. Tym hamującym postęp stosunkom międzyludzkim (napięcia, wrogości, zawiści), dało początek obsadzanie przez partię wszystkich stanowisk kierowniczych „swoimi ludźmi”, bez baczenia na ich kwalifikacje i umiejętności. Ale... Ilość osób należących do partii (PZPR) w Polsce rośnie, w dość dużym tempie — obecnie ponad 3 miliony obywateli polskich jest posiadaczami czerwonych legitymacji. Ilość ta daje bardzo wysoki wskaźnik „upartyjnienia” (rosnący!). W tej trzymilionowej rzeszy są rektorzy, dziekani, docenci i kierownicy katedr, którzy obnoszą tytuły i dzierżą kierownicze stanowiska polskich uczelni, bardzo często bez poparcia osiągnięć naukowych (znałem docenta, którego jedyna, wydrukowana publikacja nosiła tytuł „Moje wrażenia z podróży po NRD”). Są w tej rzeszy magistrzy („magistry”), inżynierowie, nauczyciele, majstrowie, są też urzędnicy i robotnicy, są lekarze, sprzedawcy etc., etc. Taka rzesza „swoich ludzi” we wszystkich grupach społecznych i zawodowych naszego społeczeństwa jest ewenementem na dużą skalę. Świadczy on, że samo SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE (3 miliony dorosłych osób to już nie grupa społeczna), utrwała system, buduje go. „NARÓD Z PARTIĄ” przestanie być w końcu szafowanym sloganem, a stanie się smutną rzeczywistością. Dlaczego tak się dzieje? Bardzo proste: nikt nie próbuje choćby części ciężaru win położyć na barki tego społeczeństwa — łatwiej i wygodniej zwalić na karb sowieckiej Rosji. Tymczasem SPOŁECZEŃSTWO staje się

coraz bardziej bierne na sprawy „pozachlebowomięsne”, na sprawy polityczne. Dodam, że bierność ta datuje się od dość dawna, czyli od czasów, kiedy mięso było dostępne, a cukier nie był na kartki. Przykłady, którymi się chce posłużyć dla udokumentowania moich racji, są aż nadto jaskrawe: brak ze strony SPOŁECZEŃSTWA potępienia władz, za wkroczenie Armii Polskiej do Czechosłowacji (1968); brak poparcia dla wystąpień studenckich w marcu 1968 i brak protestu ze strony SPOŁECZEŃSTWA na stosunek władz do studenckich wystąpień; brak protestu SPOŁECZEŃSTWA na zmianę Konstytucji PRL (nie oszukujemy się — lista „59” i dalsze memoriały z okresu przedzmiannowego i po zmianie konstytucji — to niestety kropla w morzu); brak protestu SPOŁECZEŃSTWA na brutalne stłumienie strajków w Radomiu i Ursusie (KOR i jego przedstawiciele to, niestety, stanowi zaledwie cząstkę wielkiego, polskiego społeczeństwa, daleko mniejszą od tych tysięcy tłumów, które okraszone czerwienią transparentów, kłębiły się na stadionach wszystkich większych miast polskich i skandowały Gierkowi, Jaroszewiczowi i polityce Partii, a w obrzydliwy sposób potępiały „wyrodne elementy” z Ursusa i Radomia. Te wyreżyserowane widowiska miały zbyt wielu aktorów! Smutne, ale TO BYLI POLACY!!!).

Tymczasem to samo SPOŁECZEŃSTWO potrafi zareagować w 1970 roku, w 1976 gdy chleb i mięso drożeje?! Czy ktoś w kraju, poza prof. Lipińskim, upominał się o szukanie winnych przelewu krwi na Wybrzeżu? Czy ktoś poza prof. Lipińskim walczył o uwolnienie skazanego za działalność antypaństwową, na podstawie prywatnej korespondencji, studenta KUL'u w Lublinie? Wreszcie, czy ktoś poza prof. Lipińskim walczył o prawo do wykonywania zawodu, dla tych, których władze tego prawa pozbawiły za ich aktywne, polityczne stanowisko?

I wreszcie student, który w 1968 roku potrafił walczyć o wolność słowa drukowanego, o PRAWA CZŁOWIEKA — nie protestuje (1973), kiedy jego własną, samodzielną studencką organizację — Zrzeszenie Studentów Polskich — zlikwidowano i utworzono na jej miejsce na bazie Związku Młodzieży Socjalistycznej — studencką, socjalistyczną organizację!?

I dochodzę do sedna: Nie bądźcie łagodni w swojej krytyce dla SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO — to szansa, że społeczeństwo znacznie uzdrawiać system, miast go utrwalac i szansa, że to społeczeństwo zrozumie, że „nie samym chlebem człowiek żyje”. Wyniki nie dadzą na siebie wówczas długo czekać!

Z wyrazami szacunku,

Marek GRUDZIECKI

Sztokholm, 18 stycznia 1978.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Niezwykle interesujący artykuł Zbigniewa Byrskiego pt. „Przemiany społeczne epoki technologicznej” zawiera dwie tezy, z którymi nie bardzo można się zgodzić. Chodzi o homogeniczność narodowościową Szwecji oraz twierdzenie o braku „dyskryminowanych mniejszości”. Pierwszą obala raport szwedzkiego Urzędu Do Spraw Cudzoziemców, który mówi: „Na ludność kraju składa się 700 tys. obcych obywateli lub naturalizowanych Szwedów. Natomiast 300 tys. dzieci pochodzi ze związków mieszanych. W ten sposób milion osób jest obcego pochodzenia. Tak więc nie ma już Szwecji jednolitej kulturowo i nigdy już takiej nie będzie”. (tłum. wł.). W 1977 Szwecja liczyła niewiele ponad 8 milionów mieszkańców.



Drugą tezę natomiast podważają rozruchy na tle rasowym, jakie miały miejsce latem 1977 w kilku miastach południowej Szwecji, zaś wyżej wymieniony raport stwierdza na ten temat: „Pomimo dużego wkładu różnych grup jak i osób prywatnych, stosunek Szwedów do cudzoziemców jest często otwarcie negatywny a w najlepszym wypadku obojętny”.

W związku z tym obecne Władze coraz poważniej zastanawiają się jak zaradzić w przyszłości nowym konfliktom społecznym.

Pozostaję z głębokim szacunkiem,

Kazimierz GRUSZKA

Northridge, Calif., 29 grudnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kronice amerykańskiej” listopadowego numeru *Kultury* podana została wiadomość o nadaniu przez Prezydenta Cartera obywatelstwa amerykańskiego 7-miu milionom nielegalnych imigrantów.

Wiadomość ta nie odpowiada prawdzie.

Po pierwsze, Prezydent Stanów Zjednoczonych nie nadaje obywatelstwa. Nie należy to do jego uprawnień.

Po drugie, procedura nadania obywatelstwa ciągnie się zwykle przez szereg miesięcy i każde podanie jest rozpatrywane indywidualnie. Nadanie obywatelstwa 7-miu milionom ludzi naraz jest biurokratyczną niemożliwością.

Prawdą jest natomiast, że w swoim czasie Prezydent Carter wystąpił z nieszczyśną propozycją nadania niektórym z cudzoziemców, nielegalnie przebywającym w Stanach (przeważnie obywatelom meksykańscy) obywatelstwa amerykańskiego.

Opinia publiczna jest temu w większości przeciwna.

Łączę wyrazy poważania,

Aleksander J. HARDY-MIKUCKI

Parыз, 2 lutego 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mojego felietonu „Złote myśli na 60 lat” w numerze 1/364-2/365 *Kultury* obok pomniejszych wkrańł się jeden błąd poważny: zamiast „dyletant” było dwukrotnie „dyktant” („w ręce dyktantów”, „dyletant” w środku decyzji ekonomicznych). W sprawie tej powstała różnica zdań między mną a Redakcją. Redakcja twierdziła, że winne jest moje niewyraźne pisanie — ja, że zawinił brak interwencji adiustacyjnej ze strony Redakcji. W końcu jednak zgodziliśmy się, że winna jest poczta, bo gdyby funkcjonowała dobrze, można by posłać korektę do Warszawy.

Przepraszam, dziękuję!

KISIEL

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie będę ukrywał, że artykuł p. Jana Drewnowskiego pt. „Kapitulacja ideologiczna i ofensywa polityczna” publikowany w nr. 12 (1977) *Kultury* przeczytałem z niesmakiem. Autor pisze: „Michnik określa lewicę laicką

jako grupę opozycyjną. Oznacza to, że akcja, którą przedsięwzięcie to ofensywa opozycji przeciw ośrodkom aktualnie sprawującym władzę w Polsce. Ale możliwe są dwa różne od siebie kierunki takiej ofensywy. Pierwszy polega na dążeniu do odzyskania wpływu na politykę, którą prowadzi partia. Może to nastąpić, jeśli członkowie grupy opozycyjnej odzyskają utracone pozycje w aparacie władzy rządzącym Polską”.

Mam zaszczyt znajdować się wśród ludzi, o których Adam Michnik pisze jako o lewicy laickiej. Pan Drewnowski jako jeden z możliwych kierunków działania moich przyjaciół i mojego widzi odzyskanie naszych pozycji w aparacie władzy p. PRL. Jedno z dwojga albo p. Drewnowski jest aż tak niekompetentny, że lepiej byłoby gdyby nie zabierał głosu w tych sprawach, albo jest kompetentny, ale mija się w tym co pisze z tym co wie. Jaką utraconą pozycję w aparacie władzy p. PRL miałbym odzyskiwać? Ani przez pięć minut nie byłem ani w PZPR ani w jej przybudówkach młodzieżowych. Większość mych przyjaciół znajduje się w tej samej sytuacji. Są również wśród ludzi laickiej lewicy, zaangażowanych w działalność opozycyjną w Polsce tacy, którzy kiedyś w PZPR byli. Wypomniane to bywa np. Jackowi Kuroniowi. Publicystów występujących jak p. Drewnowski z tym zarzutem prosilibym, by wydając cenzurki na dobrego Polaka i obywatela nie zapomnieli Kuroniowi (a nie jego jednego ten problem tyczy) tych niemal sześciu lat więzienia, które przesiedział za walkę o demokrację w Polsce i za które trochę szacunku należy mu się i od p. Drewnowskiego. Sądzę, że szacunek należy się i byłemu członkowi partii, prof. Edwardowi Lipińskiemu, od lat będącemu jednym z liderów oporu społecznego, Jerzemu Andrzejewskiemu, którego odwadze zawdzięczamy, że sierpień 1968 roku był nie wyłącznie miesiącem hańby narodowej, że odezwały się nieliczne, lecz istotne głosy protestu — i innym.

W młodszym pokoleniu — tyczy to np. Michnika — cały krótki staż w organizacjach młodzieżowych był stażem bardzo konsekwentnej działalności, która doprowadziła aż do relegacji z uczelni i do więzienia. W starszym pokoleniu — była to na przykład taka droga od niepodległościowej części PPS do więzienia stalinowskiego, jaką przeszedł Ludwik Cohn.

Zdanie p. Drewnowskiego, że koncepcje książki Adama Michnika mają na celu „usunąć niechęć i opory społeczeństwa wobec wszystkiego co pochodzi z PZPR” uważam za insynuację, z którą nie będę próbował polemizować. Wygłaszanie takich sądów jest dla mnie problemem nie postaw politycznych i intelektualnych, lecz moralnych.

„Żadna grupa, która wywodzi się z PZPR w Polsce zaufania na dłuższą metę nie uzyska” — pisze p. Drewnowski pod adresem „młodej” lewicy laickiej. P. Drewnowski był łaskaw napisać o nas: „Sytuacja lewicy laickiej Michnika była rozpacziwa. Nie miała ona żadnej przyszłości jako grupa polityczna. Aby wyjść z impasu musiała zacząć się starać o uzyskanie pewnej popularności i zapewnienie sobie choćby ograniczonego poparcia w społeczeństwie”.

Rzeczywiście, staraliśmy się jak mogli — często ponad siły i zdrowie. Wraz z naszymi przyjaciółmi — katolikami uzyskaliśmy „pewną popularność” i „ograniczone poparcie społeczeństwa” za stworzenie KOR-u i półtoraroczną pracę w nim, która uchroniła wielu ludzi od nędzy i obroniła częściowo przed nieograniczoną samowolą bezpieczeństwa; za wskazanie społeczeństwu drogi oporu — co było opłacone ceną osobistą bardzo wysoką: od pobici i więzienia przez nieustanne rewizje, zatrzymywanie, utratę pracy przez wielu z nas — aż do codziennych szykan na każdym kroku. To nie p. Drewnowski wziął na siebie ten ciężar. Tą drogą uzyskaliśmy rzeczywiście „pewną popularność” i zaufanie, które p. Drewnowski chciałby nam dziś odebrać swymi insynuacjami. *Cui bono?*



Jeśli p. Drewnowski i stu innych publicystów (lub „życzliwych” uprawiających swego rodzaju szeptaną propagandę) będzie to z uporem powtarzać — może rzeczywiście ktoś uwierzy, że chodzi o grupę wywodzącą się z PZPR („fantazjujcie, fantazjujcie, zawsze coś z tego zostanie”). Zresztą p. Drewnowski nie wyklucza, że część „młodej” grupy laickiej przyłączy się do opozycji niepodległościowej, natomiast ci z grupy „starszej” wezmą co najwyżej udział w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych. Bóg zapłać!

Chciałbym tu poważnie ostrzec przed nadużywaniem sformułowań w rodzaju „opozycja niepodległościowa” (do której przyłączyć się może kiedyś tacy jak Michnik — bo na takich jak niżej podpisany już p. Drewnowski machnął ręką). Otóż nie znam wśród grup opozycyjnych w Polsce innej orientacji niż niepodległościowa. Sugerowanie, że określenie to nas nie dotyczy — jest tyleż warte intelektualnie i moralnie, co zarzucanie nam w prasie partyjnej, że jesteśmy antypolscy (*nota-bene* jest jeszcze inna zbieżność: prasa typu *Życie Warszawy* od dawna specjalizuje się w sugerowaniu swym czytelnikom, że opozycyjne grupy laickie to splajtowani działacze partyjni; głęboko współczuję p. Drewnowskiemu tej zbieżności). Prosiłbym, by słowa „niepodległość” nie monopolizować na swój użytek i nie nadużywać. P. Drewnowski prawdopodobnie tak jak i my nie ma recepty na odzyskanie niepodległości, która jest marzeniem prawie wszystkich Polaków — a jako człowiek odpowiedzialny nie chce zapewne stwarzać złudzenia, że jest to cel łatwy do osiągnięcia i od jutra realny, gdyż może nas to złudzenie wiele kosztować. Nie o własną skórę wyrażam tu obawę, bo nigdy ani przed trzydziestu kilku laty ani dziś nie uważałem jej za coś najcenniejszego — i tę samą postawę zauważam u moich przyjaciół. Chodzi tu jednak o coś znacznie więcej: o świadomość, że na dziś realny jest program wydzierania przez społeczeństwo takich ograniczonych choćby swobód, które pozwoliłyby na organizowanie się zdeintegrowanego dziś społeczeństwa, bez czego jutro nie osiągnie się żadnego z istotnych celów narodowych, a dziś nie będzie się umiało zapobiec klęskom, podobnym do tej jaka spadła na Czechosłowację w 1968 roku, zmniejszając i tak ubogie elementy niezależności.

P. Drewnowskiego prosiłbym na koniec uprzejmie, by był powściągliwszy z posyłaniem innych do PZPR, z wyznaczaniem im ról o których nie śnił — i z arbitralnym dzieleniem Polaków na niepodległościowców i antyniepodległościowców; a życzyć by na przyszłość nigdy mu się nie zdarzały zbieżności z *Życiem Warszawy*.

Jan Józef LIPSKI

Monachium, 27 grudnia 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaskoczyła mnie skarga p. Bogdana Szarlaka z Monachium, ogłoszona w *Kulturze* (Nr 12/363 z grudnia 1977), wycelowana w redakcję *Przemian* i Adama Ciołkosza — wieloletniego przewodniczącego Centralnego Komitetu P.P.S. Chodziło o artykuł Ciołkosza pt. „My powrócimy” zamieszczony w *Przemianach* (numer październik-listopad 1977).

„My — to kto?” — ironizował w nagłówku swojej korespondencji p. Szarlak. I dążył do wywołania u czytelników *Kultury* wrażenia, że Ciołkosz jest politykiem nieodpowiedzialnym, pokłóconym rzekomo z całą emigracją. Zabrakło natomiast w tej korespondencji wyjaśnienia iż p. Szarlak wchodzi w skład grupy CKZ PPS, która poczynając od 1960 roku zesłała na pozycje wyodrębniania się od emigracji powojennej i — moim zdaniem — tkwi uparcie w izolacji. Co gorzej, polemizując z Ciołkoszem, zastosował

p. Szarlak metodę, która musi budzić zasadniczy sprzeciw. Przytaczał treść wypowiedzi Ciołkosza według własnego sformułowania, przechodząc przy tym do porządku nad podanymi przez przew. CK PPS faktami i dokumentami. Otóż uważam, że taka forma zwracania się do czytelników *Kultury* sprostowała się jedynie do zdeformowania myśli i opinii Adama Ciołkosza o zadaniach PPS na obczyźnie oraz jego oceny stosunków emigracyjnych.

Jako redaktor *Przemian*, które zamieściły artykuł Adama Ciołkosza, poczuwam się do obowiązku sprostowania pomówień p. B. Szarlaka. Najpierw jednak stwierdzenie istotnych faktów:

*Przemiany* są miesięcznikiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Ukazują się w Niemczech, w Monachium, wydawane przez terenową organizację PPS. Artykuł Adama Ciołkosza pt. „My powrócimy” był przedjazdową wypowiedzią przew. CK PPS — z czego p. Szarlak zdawał sobie sprawę. Artykuł zawierał zwięzłą ocenę położenia politycznego Polski w chwili obecnej i formułował skrótkowo aktualne zadania PPS na obczyźnie. W tym kontekście określił również stosunek CK PPS wobec różnych ośrodków i ugrupowań politycznych na emigracji.

Uważam, że wypowiedzi tego typu, zwłaszcza przedjazdowe, stanowią dobre prawo każdej partii i każdej organizacji politycznej. Nie wydaje mi się żeby p. Szarlak nie zdawał sobie z tego sprawy, chociaż rozumiem z jakich powodów nie podziela on stanowiska zajmowanego przez A. Ciołkosza.

Tytuł artykułu Ciołkosza — „My powrócimy” — miał oczywiście wymowę. Głosił, że socjaliści polscy zakładają powrót z emigracji do kraju po załamaniu się w Polsce dyktatury komunistycznej. W zakończeniu artykułu było odniesienie do doświadczeń socjalistów hiszpańskich, którzy po 37-miu latach działalności na obczyźnie „powrócili do kraju i są w nim dzisiaj na nowo społeczną, ideologiczną i polityczną potęgą”.

Wreszcie artykuł Ciołkosza zawierał zapowiedź zasadniczej uchwały VII-go Zjazdu PPS o zadaniach naszej partii na obczyźnie i wskazywał na potrzebę zaktualizowania historycznej uchwały I-go Zjazdu PPS na emigracji. Zwracam od razu uwagę, że po VII-mym Zjeździe PPS (odbyłym w dniach 29 i 30 października 1977 roku w Londynie) przyjęta na nim uchwała o zadaniach PPS na obczyźnie była natychmiast ogłoszona w wielu pismach emigracyjnych o szerokim zasięgu, a nie wywołała żadnych tego rodzaju wystąpień co list p. Szarlaka do *Kultury*.

Pełne wyjaśnienie stosunku Adama Ciołkosza do śp. Zygmunta Zaremby i ocena działalności tego ostatniego przez ogół socjalistów polskich na obczyźnie — wymaga dłuższej rozprawy. Natomiast sugestia p. Szarlaka, że Ciołkosz prowadzi ze zmarłym Zarembą „ustawiczną” i „niesmaczną” dyskusję da się wyjaśnić krótko. Pan Szarlak i grupa CKZ PPS uważają, że winę za rozłam w PPS w latach 1959-61 ponosi Ciołkosz. Natomiast organizacja CK PPS, rozwijająca się pomyślnie w wielu krajach, wini za ten rozłam Zarembę. Różnica w traktowaniu tego przykrego faktu polega na tym, że CKZ PPS nie jest w stanie przytoczyć historycznych wypowiedzi i uchwał potwierdzających słuszność stanowiska zajmowanego w momencie rozłamu przez Z. Zarembę. Natomiast organizacja CK PPS operuje w tym przedmiocie konkretnymi dowodami i faktami, które na użytek młodych roczników przypomina w okresie swoich zjazdów. Rzecz w tym, że stawiając Ciołkoszowi zarzut „niesmacznej” polemiki p. Szarlak pominał milczeniem przytaczane przez Ciołkosza wypowiedzi Zaremby.

Znam te sprawy z pierwszej ręki, gdyż w latach krytycznego rozłamu w PPS byłem członkiem Centralnej Rady tej partii i wraz z paroma innymi jej członkami zabiegałem przez z górą dwa lata o uniknięcie podziału organizacyjnego. Miałem też rozmowy z Zygmuntem Zarembą, które — przy całej sympatii jaką go zawsze darzyłem — nie wywarły na mnie



budującego wrażenia. Są to sprawy wewnętrzne PPS, ale być może, że dla dobra socjalizmu demokratycznego czas już wyświetlić je publicznie, aż do dna (oczywiście nie kwestionując zasług Zygmunta Zaremby na innym polu i w innym czasie).

Wydaje mi się, że znajomość tych spraw przez p. Szarlaka jest po prostu tylko ułamkowa, skoro daje on do zrozumienia czytelnikom *Kultury*, że przejrzał na wyłot stosunek Ciołkosza do Zaremby, a nie wie np. że za pieniądze Ciołkosza ukazała się staraniem CK PPS praca historyczna Wandy Czapskiej-Jordan pt. „W.R.N. — PPS pod okupacją niemiecką 1939-1945”, wydana w 1976 roku, której głównymi bohaterami są dwaj czołowi wówczas przywódcy PPS — Kazimierz Pużak i Zygmunt Zaremba. Zapytuję: czy to też ma potwierdzać zarzut p. Szarlaka o „ustawicznej” i „niesmacznej” dyskusji Ciołkosza ze zmarłym Zarembą?

Na zakończenie sprostowanie oczywistego błędu historycznego. Pan Szarlak podaje, że Polską Partię Socjalistyczną „odtworzono na emigracji we Francji w 1948 roku”. Wyjaśnijmy zatem, że przedstawicielstwo PPS na obczyźnie działało przez całą wojnę; najpierw we Francji, a następnie po upadku Francji, od 1940 roku — w Londynie. Z chwilą rozwiązania okupacyjnej, podziemnej organizacji PPS w kraju, straż nad programem i linią polityczną demokratycznego socjalizmu polskiego przejęła od razu, w 1945 roku, odbudowywana organizacja PPS na obczyźnie — równolegle w Wielkiej Brytanii, w wyzwolonej Francji, w Niemczech, a nawet w 2-gim Korpusie we Włoszech. Natomiast programowo ujęte ustalenia zadań PPS na obczyźnie uchwalił I Zjazd PPS na emigracji w grudniu 1948 roku, ale też nie we Francji tylko w Ponte-à-Lesse w Belgii.

Osoby bliżej zainteresowane emigracyjną działalnością PPS i rozłamem w jej szeregach w 1960 roku odsyłam do wypowiedzi i uchwał z tamtego okresu oraz do roczników *Robotnika*, *Drogi* i numerów *Lewego Nurtu*, jak też do ulotnych publikacji.

Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, wyjaśniam zarazem, że z p. Bogdanem Szarlakiem (dla mnie zawsze towarzyszem, mimo dzielącej nas różnicy zdań) łączą mnie od lat serdeczne osobiste stosunki. Spotykamy się okresowo i dyskutujemy. A nasza organizacja PPS widzi go chętnie na swoich zebraniach, gdyż zdajemy sobie z tego sprawę, że grupa CKZ PPS nie dysponuje w Niemczech własną organizacją.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Tadeusz PODGÓRSKI

Redaktor miesięcznika PPS *Przemiany*

◆  
Paryż, 11 stycznia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

#### N I E M C Y

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł pod powyższym tytułem (*Kultura* Nr 12/363) i moja pierwsza reakcja to podziw dla odwagi z jaką Panowie wyrażają swoje przekonania. Jestem pewny, że w sowieckich krajach satelickich nastąpi na *Kulturę* atak w prasie. Będzie Pan tendencyjnie niezrozumiany, w tendencyjny sposób cytowany i potępiany, nie mając żadnych możliwości obrony. Nie mogę sobie nawet na chwilę wyobrazić, żeby na przykład naczelny redaktor *Trybuny Ludu* pozwolił opublikować na łamach tego pisma list w obronie Pana poglądów. Nawet gdyby w głębi serca chciał, to tego nie zrobi, bo musi przede wszystkim dbać o swoją oportunistyczną skórę. Taki jest jego los i na to nic nie poradzimy.

Mimo wielkiej admiracji dla *Kultury*, którą Pan stworzył, nie mogę się zgodzić z wypowiedziami na temat Rudolfa Hessa. Píše Pan, że Hess to już nie ten sam człowiek; że on nie brał udziału w tym, co Niemcy robili podczas wojny; że jest chory i obłąkany i dlatego powinien być wypuszczony ze Spandau, czyli ułaskawiony.

To, że Hess nie brał udziału w masowych likwidacjach, to że sam ani nie zabijał, ani — co gorsze — nie torturował niewinnych ludzi, nie zwalnia go od winy. Jako prawa ręka Hitlera przed wojną był współautorem systemu państwowego, który podczas wojny pozwolił Niemcom na systematyczne morderstwa całych narodów w Europie i — jak dobrze wiemy — nie tylko narodowi żydowskiemu, choć ten najwięcej ucierpiał. Rudolf Hess jest ofiarą okoliczności (*victim of circumstances* — jak to określają Anglicy). Jest żywym, lub żyjącym symbolem pewnej niezmiernie ważnej epoki nie tylko w historii Europy, ale i całego świata. Oczywiście, że to nie ten sam człowiek; chory, obłąkany starzec, który wzbudza litość i sympatię wśród wielu ludzi różnych narodów. Ale żyjące jeszcze ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych, do których stworzenia Hess się wybitnie przyczynił, to też nie są ci sami ludzie. Ci kalesy, coraz więcej cierpiący na starość z powodu okrutnych eksperymentów medycznych, dokonywanych na nich w niemieckich obozach; ci inni więźniowie tych obozów — chorzy, obłąkani, przebywający do dziś w szpitalach dla umysłowo chorych bez żadnej nadziei na jakąkolwiek zmianę na lepsze w ich brutalnie złamanym życiu. Dlatego, dopóki oni żyją, Hess powinien zostać w więzieniu. Te słowa nie są dyktowane pragnieniem zemsty lub chęcią odwetu, ale tu chodzi o Zbrodnię i Karę — jeden z fundamentów naszej cywilizacji.

Oczywiście, że to są moje osobiste poglądy. Nie należę do żadnej partii, ani ruchu za lub przeciw czemukolwiek, albo komukolwiek i może w końcu zmienię swoją opinię na ten temat, ale będzie to trudna i bolesna dla mnie sprawa.

Na zakończenie tego listu, w tonie już bardzo osobistym i nie mającym nic wspólnego z powyższymi argumentami, opowiem Panu, że jeszcze do niedawna miałem od czasu do czasu koszmarne sny. Budziłem się spocony ze strachu nad ranem, ciągle słysząc wyraźnie krzaki i szloch kobiet i dzieci w komorze gazowej. I wyraźnie czułem zapach gazu w całym pokoju. Wrażenie bywało tak silne, że zdarzało mi się biec do kuchni, żeby na wszelki wypadek sprawdzić czy gaz nie ulatnia się z kuchennego pieca. A ten płacz umierających ciągle mi brzmiał w uszach, dopóki nie wyjrzałem przez okno i nie stwierdziłem z wielką ulgą, że to tylko śpiew budzących się rano ptaków.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku i uznania.

Stanisław RADWAŃSKI

◆  
Monachium, 7 lutego 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

Upriejmię proszę o opublikowanie w rubryce listów mojego poniższego listu:

Jako słowacki działacz emigracyjny znający język polski jestem czytelnikiem *Kultury*. W charakterze dziennikarza i obserwatora brałem udział w Hearingu Sacharowa w Rzymie z końcem listopada 1977 roku. Jestem niemiłe zaskoczony sprawozdaniem o Hearingu w *Kulturze* Nr 1/2 (1978), str. 144/147. O sprawach polskich jest tam tylko takie jedno zdanie:







## ODPOWIEDZI REDAKCJI

PRAWDZIC oraz anonimowy Autor polemiki z prof. J. Drewnowskim — nie zamieścimy, gdyż z zasady nie drukujemy listów anonimowych. Jeśli nawet są poważne powody tej anonimowości, to prawdziwe nazwisko wraz z adresem powinno być podane do poufnej wiadomości Redakcji.

Klaudiusz HRABYK. — Nie zamieścimy.

## SPROSTOWANIE

W *Kulturze* Nr. 1/364-2/365 w *Korespondencji z Rzymu* na str. 141 na końcu pierwszego akapitu cytowany komentarz powinien brzmieć: „... masy robotników i młodzieży które nie przyznają się do komunizmu...”.

Ponadto na str. 222 w liście do redakcji D. Morawskiego wypadł jeden wiersz, co wypaczyło kompletnie sens zdania zaczynającego się od słów: „Krytyczne uwagi dr. Hahna... „neo-Znak”. Należy dodać „i znanych faktów dot. postawy autentycznego „Znaku”.

## LIST PROF. DR. JANUSZA GROSZKOWSKIEGO

Prof. dr Janusz Groszkowski.

Warszawa, 15 stycznia 1978 r.

Wielmożny Pan prof. dr Jan Kielanowski.

Wielce Szanowny Panie Profesorze!

W związku ze zwróceniem się Pana Kolegi do mnie o wyrażenie opinii co do zamiarów powołania do życia Towarzystwa Kursów Naukowych o celach i zadaniach zawartych w udostępnionej mi uprzejmie krótkiej notatce od razu, z mojej skromnej strony chciałbym powitać z uznaniem tego rodzaju inicjatywę, jak również wyrazić szacunek i podziw dla osób, które tę inicjatywę podejmują i zamierzają realizować.

Za słusznością sprawy przemawia wiele względów, o których jest w notacie mowa. Niektóre z nich chciałbym uwypuklić. Z jednej strony coraz bardziej w dzisiejszych czasach odczuwa się potrzebę poszerzenia, wzbogacenia i uzupełnienia wiedzy, zwłaszcza w zakresie nauk społecznych i humanistycznych, wpływających w sposób decydujący na kształtowanie i charakterów i postaw ludzkich, tak ważnych dla właściwego rozwoju społeczeństw i ludzkości. Znikają bowiem obecnie wszelkie wartości i kryteria natury moralnej, panuje się kłamstwo, a w tym służalczość i cwaniactwo; powszechnie zaś coraz bardziej wchodzi w życie podwójna moralność, ta na użytek wewnętrzny, dla swych najbliższych i godnych zaufania przyjaciół i ta zewnętrzna, doposażona do otaczającego ogólnego zakłamania i obłudy, podyktowana instynktem utrzymania się na powierzchni zalewającego bagna. Istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że w tej sytuacji społeczeństwo zamieni się w stado dzikich bestii a kraj w wielką dżunglę. Z drugiej strony, nagminne ukrywanie lub fałszowanie prawdy, przeinaczanie wydarzeń i faktów wysuwa pilną konieczność, zwłaszcza w naukach historycznych, uzupełniania wiadomości i prostowania fałszerstw, konieczność tym bardziej pilną, gdyż stopniowo ubywają świadkowie różnych zdarzeń, oraz znikają odpowiednie dokumenty.

W tych warunkach młode pokolenie, nawet to które krytycznie przyjmuje wiedzę jej podawaną, nie ma wprost fizycznej możliwości poznawania obiektywnej prawdy faktów. Wyniki, jakie przynosi kształcenie oficjalne na różnych poziomach i w różnych dziedzinach są na ogół dobrze znane. Zatem pobudzanie, zwłaszcza młodzieży, do samokształcenia poza systemami oświaty oficjalnej, albo obok nich, będzie niezmiernie cenne.

Oto kilka moich uwag na temat kursów. Sądzę że podjęte przedsięwzięcie, jeśli uda się je zrealizować, czego serdecznie życzę, będzie bardzo pożyteczne i mam nadzieję dobrze przyjęte i poparte przez społeczeństwo.

Łączę wyrazy szacunku i koleżeński uścisk dłoni,

Janusz GROSZKOWSKI

## OŚWIADCZENIE TWA KURSÓW NAUKOWYCH

## OŚWIADCZENIE

W dniu 11 lutego 1978 roku w Krakowie funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej wkroczyli do prywatnego mieszkania, w którym odbywał się wykład



Adama Michnika z najnowszej historii Polski, prowadzony w ramach zajęć samokształceniowych Towarzystwa Kursów Naukowych. Wykład został przerwany, słuchaczy zmuszono do opuszczenia lokalu przy użyciu gazu łzawiącego. Teżsame nocy wykładowca został pobity i zatrzymany na kilka godzin w Komendzie MO w Krakowie.

Powyższy przypadek ingerencji w działalność oświatową oraz sposób potraktowania wykładowcy i słuchaczy są nie tylko sprzeczne z Konstytucją PRL i paktami Praw Człowieka ale i głęboko niemoralne oraz społecznie szkodliwe. Wyrażamy nadzieję, że tego rodzaju wypadki nie będą więcej się zdarzały na prowadzonych przez nas zajęciach.

#### KOMISJA PROGRAMOWA TKN

Warszawa, 13 luty 1978.

### OŚWIADCZENIE STUDENCKIEGO KOMITETU SOLIDARNOŚCI W KRAKOWIE

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOŚCI  
W KRAKOWIE

Kraków, 15 lutego 1978.

#### OŚWIADCZENIE

Dnia 11 lutego br. w Krakowie funkcjonariusze MO i SB przerwali przemocą trzeci z cyklu wykład Adama Michnika „Z dziejów politycznych Polski Ludowej”. Oto przebieg wypadków:

10-go bm. o godzinie 10.30 na dworcu w Krakowie zatrzymano Adama Michnika i Stanisława Barańczaka. Stanisława Barańczaka zwolniono po 30 minutach a Adama Michnika po 12 godzinach. Dom, w którym odbywał się o godzinie 19-tej wieczór autorski Stanisława Barańczaka był otoczony przez licznych funkcjonariuszy MO i SB. Każdy wchodzący fotografowany był (z użyciem flesza) przez funkcjonariuszy SB. Zatrzymano i przewieziono na Komendę MO Józefa Barana, Jakuba Meisnera i Bogusława Sonika. Zwolniono ich po czterech godzinach. Pomimo tych incydentów, wieczór autorski przebiegał spokojnie. Obecnych było 80 osób.

11-go lutego w czasie wykładu Adama Michnika, ulica Floriańska została ponownie obstawiona przez MO i SB. Wykładu słuchało około 120 osób. Po upływie niespełna godziny do mieszkania wkroczyli funkcjonariusze MO, SB i wydziału Spraw Wewnętrznych Urzędu Prezydenta Miasta Krakowa domagając się rozwiązania nielegalnego zebrania. Po wyjaśnieniu, że zebranie ma charakter samokształceniowy wykładowca kontynuował odczyt. W odpowiedzi, milicjanci usiłowali siłą wyprowadzać słuchaczy, szarpiąc ich przy tym i kopiąc. Wywelekli studenta J. Skórę, którego pobito i wrzucono do radiowozu. Aby bronić się przed przemocą uczestnicy spotkania wzięli się za ręce. Wtedy użyto gazu łzawiącego. Słuchacze wykładu odśpiewali Hymn Polski, Boże Coś Polskę oraz Warszawiankę 1905 roku. Jeden z oficerów SB nakazał opuszczenie mieszkania grożąc pobiciem przez „wzmoczone siły MO i SB” wszystkich zgromadzonych i zapewniając zarazem o możliwości swobodnego rozjęcia się. Po zakończeniu wykładu i ustaleniu terminu następnego spotkania studenci wyszli na nieoświetloną i zamkniętą dla przechodniów ulicę Floriańską. Tam wywiązała się szarpanina, którą spowodowali funkcjonariusze MO usiłujący przemocą wyrwać z tłumu Adama Michnika.

Znów jedyną obroną było chwytywanie się za ręce i okrzyki „ratunku!”. Otoczeni przez liczne radiowozy i samochody milicyjne studenci odprowadzili Michnika do mieszkania na ulicę Grodzką. Latarnie ulicy Grodzkiej, Floriańskiej i Rynku były wygaszone. Spośród rozchodzących się do domu studentów patrol milicyjny zatrzymał 7 osób. Po paru godzinach wszyscy zatrzymani zostali zwolnieni. Tej samej nocy, o godzinie 4.30 funkcjonariusze MO i SB napadli na Michnika oraz na odprowadzających go na dworzec troje studentów. Pobito Elżbietę Krawczyk: czterech milicjantów trzymało ją zaś osobnik w cywilu bił ją po twarzy, po głowie i szarpał za włosy. Najbardziej Lesława Maleszkę pobito i leżącego zaciągnięto do radiowozu. Wszędzie brutalnie obchodzono się z Adamem Michnikiem. Milicjanci bili go pięściami po twarzy, ciągnęli za włosy. Kiedy Michnik upadł, leżącego kopano i zawleczono za włosy do radiowozu, gdzie bito go w dalszym ciągu. Wszędzie zatrzymanych zawieziono na Komendę Dzielnicową MO przy ulicy Szerokiej. Michnika czterech milicjanci wciągnęli po schodach do budynku Komendy. Rzucili na podłogę krzycząc „Zdychaj ty narkomanie! Przyjdiesz jeszcze raz, to zdechniesz!”. Lilianę Batko, Elżbietę Krawczyk i Lesława Maleszkę zwolniono po trzydziestu minutach. Adama Michnika po pięciu godzinach.

Stosowanie przemocy jako reakcja Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej na wykłady z historii PRL nie wymaga komentarzy. Studencki Komitet Solidarności w Krakowie oświadcza, iż wykłady i spotkania samokształceniowe będą odbywały się nadal.

Józef Baran — Akademia Ekonomiczna; Liliana Batko — UJ, Filologia Polska; Joanna Barczyk — ASP; Bogusław Bek — UJ, Filologia Polska; Ewa Kulik — UJ, Filologia Angielska; Anna Krajewska — UJ, Etnografia; Ziemowit Pochitonow — Akademia Rolnicza; Bronisław Wildstajin — UJ, Filologia Polska.

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 277 — SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

**KOŚCIÓŁ,  
LEWICA, DIALOG**

Str. 176.

Cena: F. 40.



(Ciąg dalszy ze str. 2-giej)

Adam Zalewski, Sztokholm — miesięczne wpłaty na pomoc dla opozycji w Polsce (styczeń i luty 1978) ..... F. 100,00

## DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA KSS « KOR »

Bezimiennie z Bad Sooden (FRN) .....	F. 42,00
Z. M. Hasztrakiewicz, Wilmette, Ill. (USA) — w imieniu grupy rodaków zamieszkałych od blisko 30 lat w Chicago i okolicy	F. 240,00
Honoraria otrzymane za przedruki materiałów KOR'u .....	F. 2.500,00
St. Łoziński, Göteborg (Szwecja) .....	F. 100,00
Janusz Łukaszek, Newark, N.J. (USA) .....	F. 96,00
Komitet Pomocy Obrońcom Praw Człowieka w Polsce, Chicago, Ill. (USA), suma przekazana na ręce p. Haliny Mikołajskiej	F. 1.440,00
Krzysztof, Astryda i Jaga z Birmingham, Mich. (USA) .....	F. 212,00
J. Masiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) .....	F. 51,00
Stanisław Radwański, Paryż .....	F. 50,00
Stowarzyszenie Wolnych Polaków w Szwecji, Sztokholm .....	F. 200,00
Werkgroep, Hilversum (Holandia) .....	F. 15.630,66
Janusz Zembrzusi, Angelet (Francja) .....	F. 100,00
Przez pomyłkę w numerze 1/2 Kultury z br. podaliśmy wpłatę p. Czesława Kiendysia z Göteborga — F. 15,00 podczas gdy wpłacił F. 50,00, a zatem jeszcze .....	F. 35,00

## WPLATY NA P.P.N.

Bezimiennie z Bad Sooden (FRN) .....	F. 42,00
Z. M. Hasztrakiewicz, Wilmette, Ill. (USA) — w imieniu grupy rodaków zamieszkałych od blisko 30 lat w Chicago i okolicy	F. 240,00
Honoraria otrzymane za przedruki z materiałów P.P.N. ....	F. 1.500,00
Jan ze Sztokholmu .....	F. 50,00
Dr Stanisław Radwański, Paryż .....	F. 50,00
Janusz Zembrzusi, Angelet (Francja) .....	F. 100,00

## WPLATY NA ROBCIO

Bezimiennie z Holandii .....	F. 20,00
Bezimiennie z Bad Sooden (FRN) .....	F. 42,00
Tadeusz Brzostek, Paryż .....	F. 100,00
Z. M. Hasztrakiewicz, Wilmette, Ill. (USA) — w imieniu grupy rodaków zamieszkałych od blisko 30 lat w Chicago i okolicy	F. 240,00
Dr Stanisław Radwański, Paryż .....	F. 50,00
Tadeusz Szpigiel, Oslo .....	F. 200,00
Janusz Zembrzusi, Angelet (Francja) .....	F. 100,00
Żołnierz AK „Fundament” spod Racławic .....	F. 80,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI.  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 21 267.  
Dépôt Légal: 1<sup>er</sup> Trimestre 1978.

Imprimé en France

## KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: 962-19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....		R. 15,00	R. 29,00
<b>ARGENTYNA</b> : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
<b>AUSTRALIA</b> : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
<b>AUSTRIA</b> : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
<b>BELGIA</b> : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
<b>BRAZYLIA</b> : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury” .....	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
<b>DANIA</b> : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 3,75	\$ Can. 18,00	\$ Can. 35,00
<b>NIEMCY</b> : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM 8,00	D.M. 50,00	D.M. 85,00
<b>NORWEGIA</b> : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ....	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
<b>SZWECJA</b> : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziejwanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt 10, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 .....	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ US 35,00
<b>W. BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	£stg. 1.85	£stg. 10,00	£stg. 19,00
<b>WLOCHY</b> : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 160; półroczna — F. 85.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

**TOM 285 — KAZIMIERZ BRANDYS**

**SERIA « BEZ CENZURY »**

### **NIERZECZYWISTOŚĆ**

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PISARZA.

Str. 128.

Cena F. 25,00.



**TOM 286 — WŁADYSŁAW GNOMACKI**

### **TOWARZYSZ SZMACIAK**

SATYRA WIERSZEM NA APARAT PARTYJNY I UB.

Str. 72.

Cena F. 20,00.



**TOM 287 — ZESZYTY HISTORYCZNE**

### **ZESZYT CZTERDZIESTY TRZECI**

Zawiera m.in. prace: Kazimierza Okulicza — *O Piłsudczykach, Instytucie im. Piłsudskiego i „Niepodległości”*; St. Wójcika — *Na trzydziestolecie wyborów*; Anatola Mühlsteina — *Pamiętnik*; W. W. Kulskiego — *Pamiętnik b. polskiego dyplomaty (dok.)*; W. Krzyżanowskiego — *Lata budapeszteńskie (3)*; P. Korca — *Przyczynek do dziejów Powstania Warszawskiego 1944*; M. Malinowskiej — *Cztery listy Gomułki*; POLEMIKI, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.